NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELLA)

Biała Róża

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ
BOY'A-ŻELEŃSKIEGO

WARSZAWA 1929
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

BIAŁA RÓŻA

NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELLA)

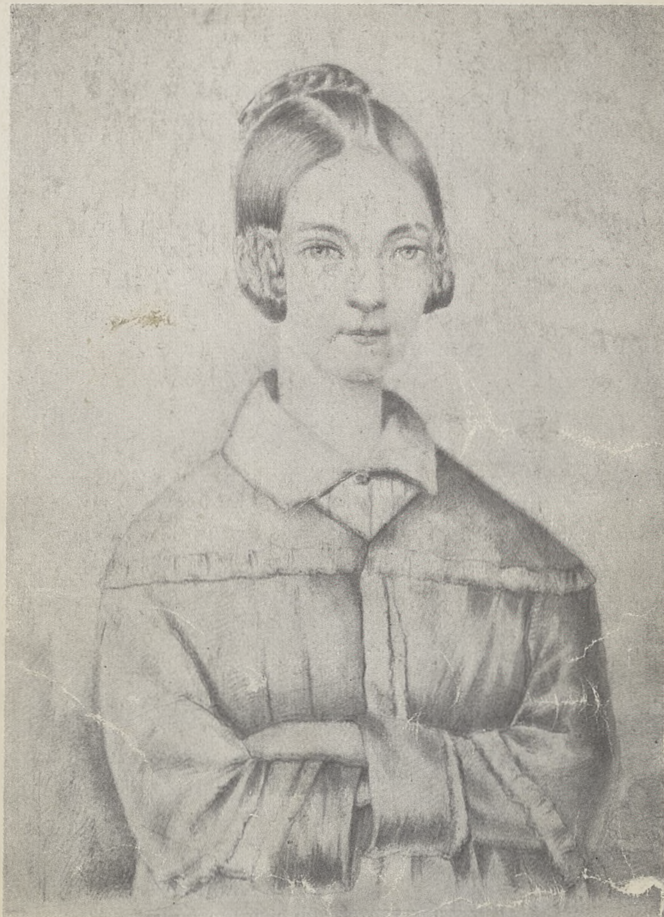
BIAŁA RÓŻA

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ
BOY'A-ŻELEŃSKIEGO

WARSZAWA 1929
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie



NARCYZA ŻMICHOWSKA

Rysunek ołówkowy nieznanego autora.
Ze zbiorów Boy'a-Żeleńskiego.

PRZEDMOWA

W r. 1919, dziesięć lat temu, przypadało stulecie urodzin Narcyzy Żmichowskiej. Utworzony komitet, z panią Paderewską na czele, postanowił uczcić tę datę wmurowaniem plakiety pamiątkowej w mury domu przy ulicy Miodowej. *Miodogórze!* — nazwa tak wiele ongi mówiąca, nietylko dla przyjaciół poetki, ale dla całej Warszawy. Przemawiał reprezentant ministerstwa Sztuki, przemawiało parę innych osób, czciciele talentu Gabryelli podpisywali się na pergaminie aktu pamiątkowego, wyszło parę popularnych broszur, nieco artykułów w pismach...

Wszystko tedy odbyło się bardzo pięknie. Mamy wprawę w takich obchodach. Do pełni uczczenia znakomitej pisarki brakło tylko drobnostki. Mianowicie, można było obejść ze świecą wszystkie księgarnie, nie znalazłoby się ani jednego tomu jej utworów...

Wiele rzeczy złożyło się na to, aby oddalić już wczorajsze pokolenia od Narcyzy Żmichowskiej. Nawet wówczas gdy żyła i działała, utwory jej wydawane drukiem nie wyczerpywały ani jej indywidualności, ani jej talentu, ani jej znaczenia. *Entuzjastki*, *Narcyzanki*, to były niemal zamknięte kościółki; ona sama była ogniskiem, które skupiało najgorętsze w pewnej epoce serca, z pośród tych, którzy, po rozbiciu się wszystkich nadziei, nie uszli na emigrację, ale cierpieli w kraju twardą dolę

pokonanych. Podziemna robota konspiracyjna, oddziaływanie ciągłej korespondencji jaką prowadziła, potem nauczanie, rozmowa, — to wszystko jakże dopełniało te dość nieliczne, rwące się, cenzurą i atmosferą skrępowane jej wypowiedzenia się literackie. Stąd w całej pełni znali ją tylko bliscy; ona, która miała swoich fanatyków, wyznawców, ogółowi była mało znana, kiedy zaś umierała, niemal zapomniano o niej.

Do wszystkich okoliczności, które sprzysięgły się przeciw popularności Narcyzy, przyłączyła się nieszczęśliwa forma księgarska, w jakiej ukazywały się jej utwory. Wystarczy powiedzieć, że najgłośniejsza jej powieść, wybuchowa *Poganka*, pojawiła się pierwszy raz w... *Przeglądzie naukowym*, a potem aż w zbiorowem wydaniu jej pism (1861). Przez kilkanaście lat największego rozgłosu, utwór ten nie istniał w wydaniu książkowem; stał się raczej legendą; potem uwięziono go w „*Dziełach*": oczywiste morderstwo dla powieści. Toż samo inne jej utwory przeważnie uwięzgły w *Dziełach*. W roku 1885 wydano je na nowo — znowuż w Dziełach, tym razem w 5 tomach. Od tego czasu, po wyczerpaniu tej edycji, nie było prawie nic. Ogół nie miał tedy prawie żadnej możności zapoznać się ze Żmichowską.[1]

Powracająca od czasu do czasu doktryna, że jedynie dzieło twórcy trzeba rozważać, że jedynie do niego mamy prawo, życie zaś pisarza nic nas nie obchodzi i nawet nie należy w nie wglądać, jakże często okazuje się zawodna! A jeżeli twórcy — z takich czy innych przyczyn — nie wyczerpuje jego dzieło, jeżeli nie daje jego pełnej miary? Jeżeli to dzieło zrośnięte jest najściślej z jego życiem? Sądzę, że niepodobna w tych rzeczach

---

[1] Patrz Boy-Żeleński: *Ludzie żywi*.

stosować żadnych niezłomnych zasad. Jednym z wielkich klasyków literatury francuskiej jest pani de Sevigné: a co stanowi jej dzieło? — Najprywatniejsze listy, listy pisane do ukochanej córki. Uderza mnie u nas jedna osobliwa sprzeczność: przez pietyzm dla wielkiego pisarza wydaje się jego listy; ale kiedy te listy czytać, kiedy z nich czerpać i wyciągać wnioski, ten sam pietyzm wrzeszczy: „nie tykać życia pisarza, wystarczą jego utwory“. Pocóż tedy, u licha, wydaje się te listy?

Listy też — mimo że pisarka wypowiedziała się w szeregu niepospolitych utworów — nieodzowne są — bardziej niż u kogokolwiek innego — do poznania Narcyzy Żmichowskiej. Istnieją w jej życiu okresy, że owe listy stanowią wszystko, co wychodzi z pod jej pióra. Kiedy się rzuca w robotę konspiracyjną, kiedy usycha w więzieniu, kiedy wreszcie przebywa te okropne dla niej lata 1863—1864, niema wówczas mowy o literaturze. A i później, kiedy zagrzebana na wsi, zdala od ruchu umysłowego, zwątpiwszy o swoim talencie i o sobie samej, prawie zupełnie zamilkła, i wówczas listy będą jedyną prawie jej twórczością. Bo te listy są czemś o wiele wybiegającem poza zwykłą formę listu, mającego na celu udzielenie potocznych wiadomości. W nich płyną swobodnie te jej myśli, które, spętane cenzurą i innemi okolicznościami, nie mogły się wypowiedzieć inaczej. Niema zresztą ostrej granicy między utworami Żmichowskiej a jej korespondencją: i owszem uderza, że część jej utworów, jak *Kasia i Marynka*, jak *Biała Róża* poniekąd, pisane są w formie listów, tak jak znowuż listy jej są często szkicami nienapisanych rozpraw, artykułów.

Listy Żmichowskiej znane były tylko szczupłej garstce. Wydano je w dwóch tomach, w r. 1885; w r. 1906 wyszedł dodatkowo tom trzeci; oprócz tego istnieją w druku

listy do Tekli Dębskiej (1890). Gdzieś w archiwach leży korespondencja z Wł. Dzwonkowskim, o której wspomina p. Aurelja Wyleżyńska. Listy Narcyzy do Edwarda Dembowskiego zniszczyła przed śmiercią wdowa po nim, Aniela Dembowska; zostało tylko kilka nieznaczących listów, których użyczył mi p. Lorentowicz.

Ja znalazłem w papierach rodzinnych stokilkadziesiąt jej bardzo obszernych listów do mojej matki (Wandy Grabowskiej), wypełniających lukę, którą w tym okresie życia pisarki napotykały nasze wiadomości o jej życiu wewnętrznem. Znalazłem też listy matki mojej do Narcyzy z lat 1871—1873. Oprócz tego kilkanaście jej obszernych listów do Róży Kruszyńskiej, siostry Marcelego Dobrowolskiego, towiańczyka. Mam niewydane listy Narcyzy do brata jej Erazma, emigranta, i listy Erazma do niej. Można przypuszczać, że jeszcze gdzieś w prywatnych rękach znalazłaby się jakaś korespondencja Narcyzy.

Co do owego trzytomowego wydania listów, można mieć wątpliwości, w jakim stopniu ono jest pełne. Kiedy drukowano pierwsze dwa tomy, czasy były jeszcze dość bliskie; mimo że listy wydano w Krakowie, obawiano się zapewne wszelkiej niedyskrecji, bądź względem żyjących osób, bądź ich rodzin. Mogła zachodzić obawa skompromitowania politycznego; inne jeszcze pojęcia i względy mogły wpływać na opuszczenie wielu szczegółów, które dziś wydałyby się interesujące. Namacalny dowód: listów Narcyzy do Erazma, które mam w ręku, niema w wydaniu z r. 1885, albo są niepełne.

Ile można wyczytać w listach Narcyzy, jak cennym materjałem są one dla poznania pisarki i jej epoki, dowodzi wyborna praca p. Aurelji Wyleżyńskiej p. t. *Narcyza Żmichowska w świetle swych zwierzeń.* Ale praca

ta (1919) uwzględnia jedynie ogłoszony do owego czasu drukiem materjał: zagrzebana przytem, w owej tak niespokojnej i niesprzyjającej literaturze chwili, w lwowskim *Przewodniku naukowym i literackim*, pozostała — poza specjalistami — prawie że nieznana.

Widać z tego wszystkiego, iż pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, aby wydobyć postać Narcyzy Żmichowskiej z czcigodnego cienia. „Popularną nie stanie się Gabrjela może już nigdy, ale wiedzieć o niej powinien każdy“... — temi słowy kończy się jedna z „rocznicowych“ broszur mających... spopularyzować ją. Doprawdy, wobec tego że chodzi o jedną z naszych najciekawszych i najżywszych pisarek, musimy uznać ten program za nazbyt minimalny. Bo też, w zmienionych warunkach naszego bytu narodowego należałoby może trochę inaczej niż wprzódy przystąpić do tego tematu. Dotąd może zbyt wyłącznie hodowano pamięć wychowawczyni, patrjotki i męczennicy, co w rezultacie doprowadziło do... plakiety na domu, a braku dzieł w księgarni. Byłby może czas przystąpić do tego zjawiska bardziej po literacku; podmalować bardziej charakterystycznie owo tak ciekawe tło, na którem odcina się ta niezwykła postać: przewartościować niejako nasz stosunek do poetki, nie zapominając, rzecz prosta, ani na chwilę o jej roli narodowej i społecznej, ale wprowadzając więcej walorów psychologicznych w miejsce wersetów wiecznej mszy żałobnej. Tem większy urok znajdziemy w tych kontrastach. Męski umysł i męski hart, wciąż niepokojone szeptem kobiecego serca: „cóż znaczy to wszystko dla kobiety niekochanej“... Nakazy społeczne i narodowe, jakże oryginalnie splątane z pasją rozumienia wszystkiego niemal aż do zuchwalstwa, z przekornym nieraz djablikiem podziwu dla wszystkiego co jest wdziękiem i pięknem, dla

wszystkiego co jest kaprysem i fantazją. Raz po raz, kiedy studjujemy Narcyzę, wyobrażamy sobie, jak bardzo mogłaby ona być zupełnie *inną:* jak w innych warunkach bogata jej natura mogłaby objawić i rozwinąć zupełnie inne swoje strony; jak bardzo myśl jej, nie trzymana w karbach warunkami i nakazami chwili, mogłaby bujać zuchwale lub drążyć w głąb; jak bardzo ta nasza święta mogłaby być zjawiskiem przewrotowem, „gorszącem"...

I, na przestrzeni lat, jakże ciekawem jest biec za przemianami tej poetki, od jej pierwszych wzlotów aż do ostatniej fazy, w której zmusza się do przyziemności i gdy, obrzuciwszy klątwą marzenie, buduje nową poezję, poezję dnia dzisiejszego, nauki, pracy, użyteczności. To będą jej ostatnie marzenia, którym mimo wszystko nada piętno poezji.

Ci, którzy dziś zechcą na nowo oświetlić historję *entuzjastek*, tych pierwszych pionierek naszej „emancypacji", zajmą się zapewne bliżej związkami szlachetnego ruchu kobiecego w Polsce owej doby z prądami, jakie szły z Zachodu na całą Europę. Rzecz osobliwa: ten ruch o wyzwolenie kobiety rozpoczął się we Francji, i najmniejsze tam do dziś uczynił postępy; gdy w Polsce kobiety są posłami i kandydatkami na ministrów, we Francji nietylko daleko im do tego, ale zdaje się, że im na tem niewiele zależy. Ale wówczas we Francji wrzało. Gdy Polska, nazajutrz po upadku powstania, skrwawiona, wyczerpana, martwieje w żałobie, Paryż rozbrzmiewa hasłami „nowej kobiety"; George Sand rzuca swoje wyzywające pierwsze powieści *Lelję* i *Indjanę;* Prosper Enfantin wreszcie powołuje do życia sektę *saint-simoniczną*, gdzie, w r. 1831, na zgromadzeniu *Rodziny*, padną te słowa:

„Kobieta jest równą mężczyźnie, będzie równą mężczyźnie, dziś jest niewolnicą, jej pan winien ją wyzwolić. Nie przez protest, nie przez negację zdołacie ściągnąć kobietę, ale pozyskacie ją, oświadczając czego pragniecie dla niej, jak pojmujecie jej przyszłość, jakiej przyszłości spodziewacie się dla niej".

Rehabilitacja zmysłów „pognębionych przez Chrystjanizm", związek oparty na miłości i swobodzie, tęsknota do „żeńskiego Mesjasza", na którego poszukiwanie Enfantin uda się z garstką wiernych w fantastyczną wyprawę do Egiptu, przedewszystkiem zaś uroczny wpływ samego „Ojca" i założyciela sekty, rosłego i wspaniale pięknego podobno mężczyzny, to elementy tego ciekawego a tak już dziś zapomnianego epizodu dziejów. [1]

Nie ulega wątpliwości, że te idee musiały się odzwierciedlać i w Polsce. Paulina Zbyszewska, jedna z *entuzjastek*, wielka wojażerka, miała opinję saint-simonistki, i nawet z tego powodu została jako „niepożądana cudzoziemka" odstawiona do pruskiej granicy. Saint-simonizm, hasła równouprawnienia płci, *sandyzm*, znajdują wyraz w tej interesującej i tragikomicznej postaci, której dzieje szkicuje nam Piotr Chmielowski: Julii Molińskiej (Wojkowskiej), poznanianki, która naraziła się na ostracyzm społeczeństwa, wzbraniając się — dla zasady — uświęcić swego związku błogosławieństwem kościelnem. Po

---

[1] W ostatnim czasie ukazała się zajmująca i wiele nowych dokumentów przynosząca książka Jehan d'Ivray: *L'aventure saint-simonienne et les femmes.* Interesującem byłoby zbadać związki, jakie musiały zachodzić w tej mierze między saint-simonizmem a towianizmem; towiańczyków również czepiła się legenda o „wspólności kobiet", co musiało się niewątpliwie przyczynić do niechęci, jaką grupa ta budziła u wielu.

życiu pełnem przykrości, umiera w nędzy na pomieszanie zmysłów... Biedna pionierka!

Ale, jeżeli niewątpliwie obudzenie się kobiety w Polsce ma związek z wielkim ruchem feministycznym Zachodu, jakże odmienne są warunki, w których się to dzieje, jakże odmienny charakter przybiera ten polski feminizm! Uprzytomnijmy sobie chwilę, i jej bezpośrednie następstwa. Upada powstanie r. 1831. Wielu mężczyzn, przeważnie młodych, padło na polu walki, wielu poszło na Sybir, do więzień, wielu opuszcza kraj na zawsze. Strata ilościowa i jakościowa: ubywa co najtęższe, najszlachetniejsze. Zostają wdowy, które straciły mężów; oblubienice, które straciły narzeczonych; dla dziewcząt, które dopiero dorosną, zbraknie kandydatów; na przeciąg kilkunastu lat zaciąży ten ubytek. Ale zmienią się i proporcje charakterów, przynajmniej w pewnych kołach. Kobieta urasta, mężczyzna kurczy się, maleje. Ci mężczyźni, którzy zostaną w kraju, przygięci rezygnacją, przystosowani do warunków, zmienią się pomału w pospolitych „zjadaczy chleba", o ile nie gorzej. Toteż kobieta — pisze gdzieś Narcyza — rozglądając się, „bez najmniejszej zarozumiałości czuć się mogła równą najwyższym a lepszą od wielu", wyższą charakterem, wykształceniem, myślą. Stąd na szereg lat zapanuje w Polsce rodzaj matrjarchatu, a raczej tryumfalna chwila panien, tych tak ośmieszonych wprzódy i upośledzonych „starych panien". Została bowiem, i to pośród najszlachetniejszych, nadwyżka panien, dla których brakło mężów, lub które — jak piękna *entuzjastka*, Wincenta Zabłocka — straciwszy narzeczonego, nie zechcą innego związku. Panny uczą się z lekceważeniem patrzeć na mężczyzn, jako na przyziemne prozaiczne istoty; zapał, miłość ideału, poświęcenie zaczną uważać za przywilej

kobiety. Uderza liczba pięknych i bogatych panien, które nie chcą małżeństwa, jak Bibianna Moraczewska, jak Paulina Zbyszewska. Piękna również Izabella Zbiegniewska, która świeżo doczekała się szczupłej monografji, [1] również nie chciała wyjść zamąż. Objawia się nieznana wprzód niechęć do kompromisów, do małżeństw z rozsądku. Kobiety wiążą się w koła, zadzierżgują między sobą entuzjastyczne przyjaźnie, nazwane przez Narcyzę „posiestrzeniem". Nawet te, które są zamężne, jak owa miła Anna Skimborowiczowa, najlepszą część swej duszy będą lokować w przyjaźni swoich *sióstr*. Tak powstanie grupa, którą później Gabryela nazwie *entuzjastkami*.

Oczywiście kobiety te będą miały zakusy feministyczne. Mniejsza o zewnętrzne rysy, obcinanie włosów, palenie cygar (papierosów wówczas nie było), ekscentryczność stroju. Istotniejszem jest zdobywanie prawa do myśli, do nauki, do własnego sądu o najważniejszych sprawach, zagarnianie terenu męskich myśli, męskich trosk i ideałów, i co za tem idzie zajmowanie posterunku duchowego, opuszczonego przez mężczyzn z musu lub z własnej winy. W całej robocie ruchu narodowego, który pomiędzy rokiem 1831 a 1848 skryje się pod ziemię, najczynniejszy udział wezmą kobiety; gorliwą pracę społeczną nad oświatą ludu, nad polepszeniem jego doli, walkę o demokratyzację tego jakże jeszcze szlacheckiego społeczeństwa podejmą kobiety. Oczywiście muszą zmienić swój typ: odbiegną od owej niedawnej Polki wychowanej na *Pamiątce po dobrej matce* Klementyny z Tańskich Hoffmanowej; nauczą się o wszystkiem mówić, o wszystkiem sądzić, zabierać śmiało głos, i będą

---

[1] Tadeusz Fiutowski: *Izabella Zbiegniewska*, Włocławek 1929.

tem gorszyć i niepokoić tych, którzy pamiętają dawne „cnoty“.

Rzecz prosta, że ta najistotniejsza strona ruchu kobiecego nie mogła — dla przyczyn cenzuralnych — ujawnić się w pismach Żmichowskiej. Trzeba nauczyć się czytać szyfry jej słów, aby wyczuć, ile w nich nabrzmiewa myśli, troski, gniewu, żalu, wspomnienia. Takim kluczem pisana jest *Książka pamiątek* wraz z jej wymownem zakończeniem. Ale często horyzont zdrabnia się, ścieśnia się do tych zagadnień, o których wolno było mówić. Dlatego bez równoczesnego czytania listów Żmichowskiej nie możemy mieć prawdziwego obrazu jej myśli.

Tak więc, gdy we Francji kobiety *saint-simoniczne* będą pochłonięte przedewszystkiem kwestją seksualno-społeczną pod egidą tryumfalnego samca, Prospera Enfantin, u nas kobiety oddadzą się bardzo samodzielnie przedewszystkiem sprawie narodowej, i one to raczej będą mężczyzn ciągnąć za sobą. Będą walczyć nietyle o swoje prawo do szczęścia, ile o prawo do poświęcenia się, do cierpienia.

Oczywiście, w tem skupieniu kobiet zbiegną się najrozmaitsze elementy. Tak np. snobka wszystkich prądów i wszystkich ruchów, utalentowana, świetna, niepokojąca Paulina Zbyszewska: z niej, i z drugiej kobiety, Zofji Mielęckiej (Węgierskiej) ulepi pono Narcyza swoją „Pogankę“. Ta Mielęcka — piękna, rozpieszczona, urocza — zgorszy „towarzystwo“ dość okrzyczanym i głośnym rozwodem i schroni się w Paryżu, gdzie objawi swój niepospolity talent literacki. Wincenta Zabłocka zostanie kanoniczką i przechyli się do dewocji. Emilja Gosselin będzie pisywała kazania księdzu Benwenuto. Kiedy przyjaciółka Narcyzy, Izabella Zbiegniewska, słu-

cha z zachwytem kazań tego bernardyna, nie wie zapewne, że słucha kazań innej przyjaciółki Narcyzy — „Gosselinki“. Z dwóch Ziemięckich jedna będzie pierwszą w Polsce filozofką, druga ściągnie na siebie opinję warjatki, zakładając szkółki w swoich majątkach...

Kobiety wkroczą w literaturę. Też ośmieli je próżnia, jaka się wytworzyła. Wielka nasza poezja — wogóle znaczna część literatury — wyemigrowała za granicę. Na terenie opuszczonym przez mężczyzn, kobiety występują śmielej. Zakładają swoje pismo. Wydają *Noworocznik*, w którym — nieznana w Polsce sensacja — występuje dwadzieścia dwie kobiet. Imają się najwyższych zagadnień. Myśl kobiet choruje wówczas, wedle wyrażenia Żmichowskiej, na „przekrwienie kosmologiczne“. Wreszcie, data ważna: *Poganka* Żmichowskiej, przerastająca o głowę wszystko, co w tym czasie powstało w kraju; najwybitniejszy utwór literacki epoki, po dziełach naszych największych tułaczów.

Poganka należy do wielkiej rodziny europejskiego Romantyzmu. Utwór ten zwrócił na jego autorkę wszystkie oczy, związał z jej imieniem najświetniejsze nadzieje. Ale niebawem też same swoiste warunki, które zdecydowały o kierunku „emancypacji“ naszych kobiet, skręciły kark twórczości Narcyzy. Jesteśmy w przededniu poronionych ruchów rewolucyjnych lat 1846 i 1848; Narcyza oddaje się im cała, co ją prowadzi niebawem do więzienia. Jedyna jej literatura wówczas — długo, zbyt długo! — to szyfrowane listy do przyjaciółek.

Kiedy, spędziwszy półtrzecia roku w celi, wyszła z więzienia, zastała w kraju wielkie przemiany. Po okresie rozkołysanych nadziei, zamierzeń, buntów, — cisza martwoty. W całej Europie zaczyna się doba reakcji; w Polsce bardziej niż gdzieindziej. Po przebytym wstrzą-

sie, nastąpił na szereg lat proces przystosowania do warunków. Przeciętny Polak nie chce słyszeć wówczas o żadnych hasłach, żadnych ideałach; zrozumiał, że to jest porywanie się z motyką na słońce. W atmosferze, jaką zastała — skazana w dodatku na mieszkanie zdala od ukochanej Warszawy, na przymusowy pobyt w Lublinie — Narcyza czuje się tak źle, że żałuje dni spędzonych w więzieniu: w swojej celi, sama z sobą, czuła się tam mniej chłodno i mniej boleśnie; czuła się bardziej w Polsce! Reakcja objawiła się na wszelki sposób. Zaczął się okres dewocji, hipokryzji, prawomyślności, dobrego wychowania, robienia i trwonienia pieniędzy, zamknięcia uszu na wszystko co budzi ze snu. Skończył się czas dawnych entuzjastek. Złamane więzieniem i prześladowaniami, bądź wywiezione, bądź oddane pod dozór, lękając się narazić byt i spokój najbliższych, których ustanowiono za nie ręczycielami, te dzielne amazonki uspokoiły się z musu, związki ich rozluźniły się, nadzieje zgasły. Młodych zaczęto chować trzeźwo; od dziecka wybijano im z głowy romanse, „przesadę", ideały; uczono patrzeć praktycznie na ziemię. Z tego co widzi naokoło siebie, Narcyza tworzy typ Augusty *(Białej Róży):* młoda dziewczyna, dość egzaltowana, której bogata natura, ujęta od młodu w karby poprawności towarzyskiej, zamyka się w sobie, uczy się smakować własną ironję, własną pogardę, rozlubowuje się w tej podwójnej grze życia, w nurcie marzenia płynącym pod lodem obojętności. Biała Róża to zarazem już odmiana „bezdogmatyzmu", poprzednik Płoszowskiego w spódnicy, rozpusta autoanalizy; a zarazem list jej to jeszcze coś w rodzaju *spowiedzi dziecięcia wieku*, zwichniętej natury dziewczęcej, w danej sferze i danej epoce.

Biała Róża, jak *Książka Pamiątek* ukazują nową fi-

zjognomikę autorki *Poganki*. Tam olśniewała polotem wyobraźni, tutaj uderza intuicją psychologiczną. Obie te powieści są — na owe lata, u nas! — fenomenem tego, co dziś się nazywa modnie *introspekcją;* wyrazem zadziwiającej zdolności *wieloplanowego* ujmowania spraw i ludzi. W tem Żmichowska celuje, ma szczególny dar prowadzenia rozmowy piórem, każda poruszona kwestja migoce u niej nieoczekiwanemi światełkami. Zważmy tutaj kolejność planów. Najpierw *pozór:* jak rzecz się przedstawia, jak świat ją komentuje. Następnie list Augusty, jaką jest sama we własnych oczach. I, w chwili gdy, wraz z odbiorczynią listu, gotowi jesteśmy rozczulić się jego piękną korespondentką, oblewa nas zimną wodą surowy i rozumny list Hieronima, dający rzeczy jeszcze nową fizjognomję, tym razem ostateczną. I ten brawurowy kawałek psychologji kończy się, nie morałem — moralizowania Żmiohowska nie znosi — ale pięknym hymnem na rzecz pracy, czynu, protestem przeciw jałowemu marzeniu, przygwożdżeniem estetyzującego dyletantyzmu. I znowuż swoiste warunki naszego kraju: gdyby nie nasza opłakana dola, Biała Róża nie spotkałaby się może z tak surowym sądem Narcyzy! Bo też list Hieronima [1]

---

[1] W liście Narcyzy do mojej matki znalazłem następujące zwierzenie pisarki, tyczące *Białej Róży*. Matka moja, pisząc powieść na zlecenie i wedle planu Narcyzy (por. Przedmowa do *„Czy to powieść?")* dała jednemu z bohaterów imię *Janek*. Narcyza prosi, aby tego nie czyniła, bo ta forma imienia zbyt boleśnie przypomina jej ukochanego brata, straconego przed dwudziestu paru laty. „Weź Jasia — Jania — Jaśka (pisze) ...tylko Janka zostaw mi jedynego na zupełną, na wyłączną prawdę mego życia. Istotnie, dla niego zaczęłam pisać, z jego rad, wspomnień i podarunków napisałam prawie wszystko, co jest rozumniejsze i poczciwsze w czterech tomach Gabrjelli; nie zapieram się tego, mogę ci nawet popodkreślać miejsca i palcem wskazać całe wyrażenia: od *Burzy*, która jest

to program społeczny na najbliższe lata, program, który podzielało wielu najmędrszych i najszlachetniejszych, program przerwany znów tragicznie owym rokiem 1863, który jeszcze raz złamie Narcyzę, tym razem już ostatecznie.

A przecież co za prężność w tej kobiecie, ile w niej możliwości! Czytajmy *Białej Róży* część drugą. Niby to dalszy ciąg, a właściwie zupełnie inna rzecz, inny ton. Zaczyna się między trzema kobietami, zarysowuje się coś jakby rywalizacja pokojówki ze swą panią o serce jej kuzyna; scena z Salusią wprowadza nas w atmosferę niepokojąco zmysłową. I doprawdy nie wiem, coby z tego dalej wynikło? Może przerażona, zdezorjentowana sama w sobie, Narcyza urwała powieść; nie dokończyła jej nigdy. Czujemy tu nagle, z pod brzemienia służby społecznej i narodowej, zrywającą się jakby inną kobietę, nową pisarkę, urzeczoną wdziękiem, pięknością, niepokojoną zagadkami kobiecego serca, śledzącą puls namiętności, idącą ciekawie w głąb za każdem drgnieniem tęsknoty.

I ta scena *Białej Róży* bardziej niż którakolwiek inna, uświadamia nam jakiś organiczny *feminizm* twórczości Żmichowskiej. Żyją właściwie w jej dziele tylko kobiety; jedynie one są pełnokrwiste, bogate, interesujące; jakże przy nich ubogo wyglądają przewijające się męskie po-

---

szczerą esencją tylko, a raczej szkielecikiem tego, co raz o śmierci mówił ze mną, do listu Hieronima, któregobym nie była nigdy oparła na dość jasnej recenzji *Białej Róży*, gdybym nie miała w żywej pamięci jego trafnej, ostrej, a zawsze jednak nie ujemnej, lecz dodatniej krytyki".

Piękny to rys pietyzmu siostrzanego — a zarazem nadmiernej skromności — u autorki, której cała prawie twórczość rozwinęła się już po śmierci tego ukochanego brata i która napisała *Białą Różę* w kilkanaście lat po jego zgonie.

stacie. Dzieło jej, to kraina Amazonek: Aspazja, Marja-Regina, Augusta... Owo skurczenie się elementu męskiego, spowodowane wypadkami w kraju, znajduje w jej utworach najdobitniejszy wyraz. Kobiety u niej mówią o mężczyznach, jak o jakiemś obcem plemieniu, którego obyczajom przyglądają się z większem lekceważeniem niż ciekawością: pełny człowiek u niej to tylko kobieta. Zarazem czuć, że autorka porusza się na terenie męskości dziwnie niepewnie; myśl jej, tak bystro drążąca wgłąb gdy chodzi o kobietę, tu ślizga się po powierzchni: to ten *deficyt* przeżyć osobistych, na który tak skarży się w listach do *Elli*, zaciążył na jej twórczości. Ale to niedomaganie jej utworów, to zarazem ich wdzięk, oryginalność, i — jeżeli wolno użyć tego słowa w odniesieniu do tej świętej kobiety — to ich perwersja. Panna de Maupin w żałobie narodowej.

Tablica pamiątkowa i brak dzieł w księgarni, mają oczywiście jako następstwo — i przyczynę — to, że bardziej się zajmowano Narcyzą jako działaczką niż jako literatką; że mniej czyniono w jej pisma wypraw odkrywczych czysto krytycznych, niż na to zasługuje. W epoce gdy tworzyła, mało było czasu na zagadnienia czystej krytyki. Później częścią zapomniano o niej, częścią działalność jej narodowa i społeczna przesłoniła te problemy. Najłatwiejsza była do oświetlania *Poganka*, wiążąca się z wielką literaturą romantyczną; mniej zorjentowani jesteśmy w tem, jakiemi drogami chadzał później talent Żmichowskiej.

Sądzę, że przedewszystkiem własnemi. Jako pisarka jest ona niezwykle oryginalna: takie powieści jak *Książka pamiątek*, jak *Biała Róża* nie są doprawdy podobne do niczego. Zapewne. Żmichowska musiała podlegać oddziaływaniu prądów literackich epoki. Ale jej wychowanie

literackie było raczej dorywcze. Wiemy, że pożerała książki w bibljotece publicznej jako dwudziestoletnia panna w r. 1839, wówczas, gdy jako nauczycielka w domu Zamoyskich znalazła się w Paryżu. Później, w Polsce, — jak się zdarzy: interesującem byłoby zestawić z jej listów jej lektury. Bywały okresy, gdzie, siedząc na wsi lub w Lublinie, skarży się na zupełny brak książek: czasami czyta mnóstwo, ale bez wyboru, co jej popadnie w ręce, ot, aby się zagłuszyć. W drugim okresie życia, czyta mnóstwo dzieł naukowych, buduje na nowo swoje wykształcenie. Kiedy się nauczyła po angielsku, rzuca się z pasją w powieści angielskie; wyznaje sama, że o wiele bardziej jej odpowiadają niż francuskie. A jednak i ona nie uniknęła — nie mogła uniknąć — wpływu pisarza, który zaciążył nad wszelką powieścią owej epoki: Balzaka.

Balzakizm Żmichowskiej szczególnie mnie zainteresował. Gdybyśmy się wahali w tej mierze, nie pozwoli nam wątpić druga część *Białej Róży*.

Proszę sobie wyobrazić okrągłą jak namiot rotundę, obwieszoną, jak namiot, zwojami zielonej jedwabnej materji. U sklepionego sufitu złocista rozeta skupiła wszystkie jej fałdy, a trochę niżej złocista obręcz, miejsce gzemsu zastępująca, jeszcze je w lekkiej przytrzymywała karności, lecz od obręczy aż do posadzki płynęły już sobie swobodnie... etc. etc.

Czy wam to nic nie przypomina? Ileż powieści Balzaka zaczyna się podobnym opisem! Choćby owa *Córka Ewy*, tak samo zaczynająca się sceną zwierzeń między dwiema kobietami. Sam rozmiar tego przydługiego opisu jakże jest balzakowski! A ten np. opis osoby:

„Nad takiemi oczami brwi wąskie ale gęste, jak dwie proste linijki, ku osadzie nosowej lekko tylko nadół przegięte, granicę otwartego czoła znaczyły. Od ich spadku, rysunek profilowy

z większą swobodą niż na helleńskich marmurach wzdłuż wydatniejszego nosa się rozwijał; znać, że Lais Praksytelesa Tycjana szkołę przeszedłszy"... etc.

Czy to nie jest Balzac, i to w jego najbardziej problematycznej manji opisywania przez całe stronice nosa, oczu, cytowania wszystkich klasycznych obrazów i rzeźb, wszystkich galeryj? A kiedy jeszcze, w parę wierszy później, czytamy: „Przejrzyjcie państwo Lawatera, jeśli się naprawdę chcecie dowiedzieć, etc." — złudzenie jest kompletne.

A tych kilka stronic, które ciągną się od słów: „Święć się, święć się, dwudziesty piąty roku życia niezamężnej kobiety!" Wszak to niemal parafraza Balzaka, przeniesiona w sferę odczuć i zainteresowań autorki. Jak Balzac „zrehabilitował" *kobietę trzydziestoletnią*, czyniąc z tej okrzyczanej przed nim *trzydziestki* rozkwit subtelnych uroków kobiety-mężatki, tak Narcyza podejmuje tu śmielszą jeszcze w owej epoce rehabilitację dwudziestopięcioletniej panny, „starej panny", w której opis wkłada cały ogień swej przekonywującej wymowy. Kiedy pisała te karty, może stała jej przed oczami dwudziestopięcioletnia Paulina Zbyszewska i niezapomniana idylla kurowska...

Nie w tem jednem, sądzę, przejawia się *balzakizm* Żmichowskiej. To są raczej zewnętrzne analogje; ale balzakizmem przepojona jest sama treść jej utworów. To włożenie w powieść najgłębszej treści i powagi życia, to odkonwencjonalizowanie bajki, przeniesienie punktu ciężkości na analizę psychologiczną, ten realizm duchowy utkany z drobiazgów życia, wszystkie te cechy talentu Żmichowskiej, pozwalają powiedzieć — bardziej jeszcze niż reminiscencje balzakowskie, jakich uczeni badacze dopatrzyli się w *Pogance* — że tędy przeszedł au-

tor *Ojca Goriot*. Z naszych pisarzy Żmichowska może jest najgłębiej balzakowska.

Otóż bardzo ciekawem jest, że ten wpływ jest nieświadomy. Nigdzie w jej listach nie znajdziemy słowa wdzięczności, uwielbienia dla mistrza. Widocznie wnikał w nią bez jej świadomości duch Balzaka, a odpychała ją jego strona obyczajowa, o wiele zbyt brutalna i drażniąca dla ówczesnego stanu dusz w Polsce, dla ówczesnych pojęć. Może, jak wielu współczesnych, nie umiała jeszcze dostatecznie *odróżnić* Balzaka i widziała w nim, też jak wielu współczesnych, jedynie „najpłodniejszego z romansopisarzy"? To fakt, że tych parę razy, które wspomina Balzaka, czyni to bez sympatji. Raz nawet z lekceważeniem, jeżeli wierzyć... interpunkcji. W liście do Matyldy Natansonowej, datowanym z Olszowy, pisze, dziękując jej za przesłane książki:

Wracając do odebranej przesyłki, choć za nic nie dziękuję, muszę ci jednak powiedzieć, że pożyczone książki bardzo w porę się zjawiły. Nie wyobrażam sobie, jakbym bez ich pomocy te dni naddatkowego rozdrażnienia przeżyła. W gatunku nie przebieram: owszem, im głupsze, tem skuteczniejsze — całą kolekcję Balzaka z wdzięcznością przyjmę, jak się zdarzy sposobność. Kiedy mi co rozumniejszego do ręki wpadnie, to zawsze w kłopocie jestem, bo muszę myśleć, sądzić, i sama z siebie coś wydobywać — a najczęściej o jakąś rozbolałą żyłkę się zahaczy.

Brzmi to w istocie dość pogardliwie: jednym tchem Narcyza mówi „im głupsze, tem skuteczniejsze", i łączy z tem... kolekcję Balzaka. Ale możnaby tu nadmienić jedno: w drukowanych listach Narcyzy interpunkcja jest własnością wydawców: ona sama posługiwała się prawie wyłącznie *pauzą*, zarówno zastępując nią przecinek jak kropkę. Zmieniłby się tedy odcień, gdybyśmy przeczytali tak:

W gatunku nie przebieram: owszem, im głupsze tem skuteczniejsze. Całą kolekcję Balzaka z wdzięcznością przyjmę, jak się zdarzy sposobność...

Tak wzięte, jako dwa zdania równorzędne, bez zależności od siebie, to już wygląda inaczej, prawda? Do Balzaka odnosiłyby się wówczas następne zdania: to „coś rozumniejszego"... Ale zwłaszcza pamiętajmy jedno: spojrzyjmy na datę listu: *styczeń, r. 1864*. Najtragiczniejszy moment dogasającego powstania, gdy wojsko moskiewskie tropiło po lasach niedobitków straceńców. Żmichowska, zbolała, zrozpaczona, zewsząd dowiadując się o stracie swych bliskich, zaszywa się na wsi, gdzie raz po raz kobiety siedzące we dworze niepokojone są rewizjami. W tym momencie nie dziw, że i sam Balzac mógł być lekturą jedynie dla zagłuszenia się, dla zabicia czasu... Tak oto, rozważając u Żmichowskiej sprawy czysto literackie, raz po raz natykamy się na to, co wciąż krzyżowało się z jej literaturą.

Jeszcze jedna, dwie wzmianki o Balzaku. W *Kasi i Marynce:* „Jeden niegodziwy Balzac uważniej nam się przyjrzał, choć ze strony fizjologicznej tylko"...

Druga w *Białej Róży:* „...dalej nie pamiętam, — lecz tobie radzę pamiętać: gdy ci wpoprzek drogi stanie przeszło dwudziestopięcioletnia panna lub wdowa-kochanka, o mężatkach nie piszę, boć to byłby wyraźny plagjat z Balzaka romansów, a między nami nie takie zwyczaje"...

Niegodziwy Balzac, między nami nie takie zwyczaje, wyraźnie mówi tu Narcyza, co ją od Balzaka odpycha; nie wie co ją przyciąga i co ją kształtuje. I ten balzakizm *malgré elle* jest nie najmniej ciekawym rysem literackim Narcyzy. Oto jeden szczegół; a ileż takich rysów nastręczyłaby krytyce analiza jej utworów.

Mam nadzieję, że jeszcze nieraz powrócę do tej au-

torki. Jej żywot pisarski jest jednym z najosobliwszych, najtragiczniejszych. Od *Szczęścia poety* do *Rozprawy o służących*, od *Poganki* do *Wykładu nauk* i do *Geografji*, cóż za droga! I ona sama ma wciąż poczucie, że zmarnowały się w niej — bez jej winy — bogactwa, i męczy się swą niewyrażoną treścią. Wertuję teraz listy jej do mojej matki, z których w przedmowie do innej książki *(Czy to powieść?)* czerpię obficie: wciąż jedna skarga na strwonione dary, wciąż nie wyżyte możliwości serca i myśli!

Ale właśnie taka, jaką jest, pozostanie Narcyza Żmichowska niezmiernie ciekawym objektem; przez kontrasty tkwiące w niej samej i te które narzuciło jej życie, przez niespodzianki i niedomówienia, zuchwalstwa i naiwności, przez wysoki lot orlicy i spętanie małostkami panieństwa, przez najosobliwsze krzyżowanie się dążeń i uczuć, przez martyrologję niewolnej Polki powikłaną martyrologją niekochanej dziewicy, — wszystko to jakiż kuszący przedmiot! Jestem przekonany, że kiedy poznamy Żmichowską na nowo, już nie pozwolimy jej popaść w owo czcigodne zapomnienie, na które doprawdy nie zasłużyła. I oddaję czytelnikom w ręce tę *Białą Różę*, pewny, że potrafią odczuć jej subtelny zapach.

BOY.

Warszawa, w kwietniu 1929.

Jeszcze jedna wstępna uwaga, potrzebna do zrozumienia budowy powieści. W zbiorowem wydaniu pism Żmichowskiej, *Biała Róża* pozostaje w luźnym związku z paroma innemi poprzedzającemi ją utworami. Bardzo modnym w owej epoce literackim obyczajem, autorka stwarza fikcję: sekretarz warszawskiego miesięcznika, pan

Tomasz, przegląda listy napływające do redakcji; w ten sposób nawiązuje korespondencję z Kazimierą. W ramy tej korespondencji, obok paru innych utworów *(Niektóre pisma bezimiennej autorki, Stary dwór w Świerszczowej)* wchodzi i *Biała Róża*, a przynajmniej jej część pierwsza. Część druga pisana jest znacznie później, z innego jakgdyby natchnienia.

BIAŁA RÓŻA

Czuć czy marzyć? ach! tak, marzyć,
Do zawrotu głowy,
Do senności letargowej,
Marzyć wiecznie! marzyć! marzyć!
Przepisane z notatek kochanej Eci.

Parę lat temu, ja biedna, cicha korespondentka szanownego redaktora, ja, wieśniaczka z za Suwałk, od kur i książek moich oderwana, ujrzałam się nagle w licznem, świetnem, a dla mych stosunków i wyobrażeń zupełnie obcem zgromadzeniu balowem. Proszę sobie wyobrazić, jakie olśnienie, jaki podziw, jaki strach! Bo to nie bal sąsiedzki, prowincjonalny, choćby w samem gubernjalnem mieście; to prawdziwy bal warszawski, na salonach, które się liczą do najpierwszych i najobszerniejszych w stolicy. Krocie intraty, litanje całe tytułów, śmietanka z trzech przynajmniej gatunków towarzystwa zebrana, wystawa różnych znakomitości i pięknych twarzyczek, zbliżenie przeszłych i teraźniejszych, niedokonanych i przyszłych czasów, mieszanina chronologji z arytmetyką, literatury z modą, praw z pretensjami, próżności z próżnością — i wśród tego wszystkiego mnie się zawieruszyć!... Ale nie moja w tem była wina: zaraz się panu usprawiedliwię; to Felunia mię skusiła, Felunia, dobra jak szczęście, uparta jak złe wspomnienie. Czy pan jej nie zna, czy nie spotkał jej kiedy? W wielkim świecie ma podobną rozgłośną sławę przerażająco dowcipnej kobiety, a to poprostu naiwne, swobodne usposobienie; co jej na myśl przyjdzie wypowie, co jej pod oczy wpadnie właściwym nazwie wyrazem, a ludzie potem mówią, że złośliwa. My w naszem kółku wcale złośliwej pani Felicji

nie znamy; między nami, pod dachem najbliższych sąsiadów i najżyczliwszych przyjaciół, Felunia jest tylko sobie harde, rozpieszczone dziecko, które ma różne nieszkodliwe, bo zawsze prawie jakąś odpłatą zrównoważone przywileje. Wolno jej nie pracować, gdyż najczęściej bawiąc się, zrobi więcej, niż kto inny mozoląc upornie; wolno jej nie uczyć się, bo zgaduje to, co inni umieją; wolno jej nie zastanawiać się nad niczem, bo dla niej instynkt nieomylny rozwagę zastępuje, a jej upodobania wrodzone od rozumnych przekonań pewniejsze. Z położenia swego męża i z sumy posagowej pani Felicja należy do pierwszych w kraju i stolicy „salonowych koteryj". Z położenia dóbr swoich i ze skłonności swego serca należy także do naszej cichej, zaświatowej rodziny. W salonowych koterjach szeptano sobie, że „ostre ząbki, ciernista różyczka", aż raz podobno księżna S. porównała jej niebieskie oczy do turkusowych szpileczek i odtąd „turkusowe szpileczki" nad innemi przydomkami górę wzięły. U nas w rodzinie, bracia moi, zwykle panią Felicją „Brendą", stryj Krzysztof „Pogodą", matka wołała na nią „moje dziecię", a ja „Kwiatku" lub „Wilo", stosownie do okoliczności. Przez lato Felunia codziennym prawie gościem naszym bywała; zimą ja nawzajem musiałam jej czasem do Warszawy towarzyszyć i chociaż mię to wcale względem jej osobistych stosunków nie zobowiązywało, w owym 18** roku karnawale, wpłynęło jednak potrochu na przełamanie mej trwożliwości i odbycie nadpowietrznej, jakeśmy sobie mówiły, po wyższym świecie żeglugi.

— Cóż ci to szkodzi? — powtórzyła ze sto razy Felunia. — Przypatrzysz się, skosztujesz, poznasz.

Zupełnie takiemi pobudkami i Ewa w raju uwieść się dała; nie byłam mężniejszą od Ewy i gdy jeszcze parę

innych doradczych zebrało się głosów, sprawiłam sobie prześliczną suknię balową... Jakiego koloru? Nie powiem. Pan Tomasz zanadto jest biegły w wysnuwaniu najdalszych wniosków z najdrobniejszego szczegółu. Gdybym wyznała, że niebieską, toby się gotów we mnie blondynki domyślać; gdybym żółtą wzięła na moją odpowiedzialność, nie wątpiłby, że z brunetką koresponduje; różowa przedstawiałaby mu ciągle jakąś osobę białą i świeżą, nielękającą się porównania z tym niebezpiecznym kolorem; a biała — cha, biała należy do wszelkich odcieni cery i wieku nawet, lecz kłamstwo grzechem — ja nie w białej sukni byłam; ot, niechaj pan mię przyodzieje w najulubieńszą swoją barwę we własnej wyobraźni, to bezpieczniej i prędzej rozstrzygnie się tak zawikłana sprawa. A teraz może pan myśli, że pod skrzydłami Feluni mniej szczęśliwie wybrałam się na pierwszą moją wycieczkę pośród ludzi, którzy niekorzystnie względem niej byli uprzedzeni, którzy jej się lękali i prawdopodobnie mieli do niej nie jedną na sercu urazę? Ja sama pewna byłam, że nas tłum samotnością złowrogą otoczy, tymczasem inaczej się stało. Ledwośmy weszły na salę, pełno osób z uprzedzającą grzecznością otoczyło panią Felicję, aż nam się do stojących opodal krzesełek dostać trudno było.

— Jak ty królujesz, moja Wilo — szepnęłam jej półgłosem, gdyśmy wreszcie wygodne schronienie między dwoma kandelabrami pod cieniem sufitu sięgających drzew pomarańczowych znalazły.

— My obie królujemy! — odrzekła mi ze złośliwym uśmiechem.

— Czy dlatego, że ty piastujesz władzę, a ja nie dbam o nią?

— Kto wie, może jest inna przyczyna; uważaj tylko, jak ci się nasze sąsiadki przypatrują.

— Muszę być śmiesznie ubrana.

— Niewdzięcznico! własnym gustem i własną przystroiłam cię ręką, a ty śmiesz jeszcze wątpić! Nie, w twoim stroju żadnej niema osobliwości, prócz ciebie samej; moja droga, patrz dokoła, ileż spojrzeń ciekawych!...

— Feluniu — szepnęłam jeszcze ciszej — przez litość zobacz, czy mi się girlanda na głowie nie przekrzywiła? czy sukni nie rozdarłam? czy mi przez otwarte okna w karecie błoto całej twarzy nie ucentkowało?

— Bądź spokojna, wszystko w porządku — śmiejąc się szczerym śmiechem, odpowiedziała pusta swawolnica.

— Więc czemu na mnie patrzą?

— A czemu nie przypuszczasz, żeś się im tak bardzo podobała?

— Twoja kuzynka Leokadja zastępuje mię w podobnych przypuszczeniach.

Kuzynka Leokadja była to niemłoda już, trochę ułomna, a zawsze pewna swoich świetnych triumfów panienka. (Przebóg! Panie Tomaszu, z mimowolnego porównania nie wnioskuj, że ułomną jestem: w moralnem znaczeniu bardzo, ale w fizycznem Felunia nigdyby ci podobnej obelgi nie przebaczyła).

W tej chwili znów kilka dam nowo przybyłych dalej siedzących zbliżyło się do nas. Moja balowa opiekunka bardzo przyjemnie zapoznawała mię z niemi; przyszło i mężczyzn kilku, każdy się towarzyszce pani Felicji etykietalnie przedstawić kazał, do tańca jednak żaden nie zamówił.

Przez ten czas, w głębi salonu, między egzotycznemi krzewami ukryta muzyka już próbowała pierwszych akordów przyszłego kontredansa; skrzypce tylko nie mogły się jeszcze do stroju naciągnąć.

— Co to ze mną będzie? — myślałam sobie filozoficznie i tragicznie zarazem.

Felunia lekko mię łokciem trąciła.

— Patrz, patrz, chyba na twoją intencję pani generałowa ku nam steruje; trzeba ci wiedzieć, że to jedna z najsławniejszych amatorek nadzwyczajności...

— Więc cóż mnie do niej, albo jej do nas? Wolałabym jakiego tancerza w tej chwili.

— Jakto, nie masz dotychczas tancerza żadnego? A to wybornie, doskonale mi się udało!

Nie mogłam wcale zrozumieć, co się mojej Feluni udało, lecz wiedziałam, że mi się balowanie w wielkim świecie nic a nic nie udaje.

— Zaczekaj — mówiła dalej z ciągłą tą swoją niewczesną według mego zdania wesołością — pójdę i najpierw mego męża ci sprowadzę.

Nieszczęście mieć chciało, że pan Zenon, mąż Feluni, stał bardzo daleko we drzwiach drugiego salonu, a idącą na środku drogi powyżej wzmiankowana generałowa zatrzymała.

— Ot! zginął mój kontredans! — westchnęłam sobie żałośnie i na pociechę zaczęłam się po różnych stronach salonu rozglądać. Nikt mi się już nie przypatrywał wtedy, tylko gdy za Felicją właśnie oczyma śledziłam, jakiś pan dobrze już szronem wieku upudrowany, z niebieskiemi okularami na ogromnym nosie, jej puste miejsce przy moim boku zajął. Wiedziałam, że przed chwilą Felunia wymieniła mi jego nazwisko — ale jakie? pod grozą śmierci nie przypomnę sobie.

— Zapewne pani towarzyszka poszła tańczyć? — odezwał się bardzo miłym i poważnym głosem; ten głos dziecięcą prawie natchnął mię ufnością.

— Nie, panie, moja towarzyszka poszła dla mnie o tancerza się starać — wyznałam szczerze i pokornie.

— A no, więc pani tańcem nie gardzi, to bardzo

słusznie, bardzo rozsądnie — powtórzył i uśmiechnął się, jak profesor na dobrą swego ucznia odpowiedź. Mimowolnie ja także odśmiechnęłam się do niego.

— Zdaje mi się, że ten salon pełen jest takich bardzo rozsądnych osób.

— To inna kategorja; tym osobom nikt się nie dziwi, ale względem osób naukowych różne czasem ludzie miewają przesądy. Ja sam, kiedy się żeniłem, to mi nawet moja przyszła żona wierzyć długi czas nie chciała, tak jej się niepodobną zdawało rzeczą, aby ten sam człowiek, co wydawał dzieła matematyczne, mógł ją potem szczerze w rękę pocałować i wyraźnie przy ołtarzu powiedzieć: „biorę sobie ciebie" i t. d. Właśnie mi się ta jej wątpliwość przypomniała, gdym usłyszał przed chwilą dwóch młodych ludzi, upewniających się nawzajem, że pani wcale tańczyć nie lubi.

Zdumiałam, panie Tomaszu; a toć ja wówczas nawet anonime pańskiej redakcji moich grzesznych literackich zamiarów nie wyspowiadałam, skądże mógł się ktokolwiek domyśleć? Przetrząsnęłam pilnie sumienie, czy choć mimowolnem słówkiem nie zdradziłam tajemnicy? — sumienie zaświadczyło, że nawet w jego obecności nie rozstrzygnęłam ostatecznie tej sprawy; zaspokojona więc, trochę śmielej się do matematycznego autora odezwałam:

— Ależ, proszę pana, ja nigdy w życiu nie przeczytałam nawet książki tak poważnej, jak pan napisał niejedną; dlaczegóż ci panowie tak wątpią o moim tańcu, jak żona pana o jego oświadczeniach wątpiła?

Jegomość w okularach wydobył tabakierkę z kieszeni, kilka razy palcem o nią uderzył i już zdawało mi się, że mnie po koleżeńsku częstować nią będzie, ale wstrzymał się jeszcze do czasu.

— Wiemy, wiemy o wszystkiem, choć się pani za-

piera niby — rzekł z ojcowską prawdziwie łagodnością. — I ma pani słuszność; aż nadto jest takich kobiet, co z byle wiadomostki chwalby przed ludźmi szukają; cieszę się prawdziwie, żem taką napotkał, która głęboki rozum i poważną naukę pod skromną wesołością młodej dziewczyny kryje.

„Czego ten pan chce odemnie?“ — pytałam samej siebie, słuchając jego osobliwych komplementów. — Istotnie... rzeczywiście... — przerwałam mu nakoniec — nie wiem, z której-to strony i w jakim względzie wszystkie te piękne pochwały do siebie zastosować.

— Tak, tak, skromność jest najwyższym rozsądkiem uczonej kobiety.

Poznałam, że błękitne okulary zawzięły się na mnie srodze, pomimo całej słodyczy wyrażeń i głosu. Dzięki Bogu, Felunia przyszła mię z kłopotu niezasłużonych, więc pewnie szyderczych tylko grzeczności wybawić. Mąż jej stał w odwodzie, skrzypce dociągnęły do właściwego tonu, moja kontredansowa nadzieja odżyła — już wyciągałam rękę do sprowadzonego partnera, gdy znów losy chwiać się zaczęły.

— Nie mamy vis à vis — smutnie pan Zenon się odezwał.

— Znajdziemy — uspokoiła mię jego nigdy o niczem nierozpaczająca małżonka — co chwila oczekują przybycia Kajetanowej. Jej córka, gwiazda pierwszej wielkości na horyzoncie dzisiejszego wieczoru, pewnie już przy drzwiach z zamówieniem się spotka, lub gotowe przywiezie na listkach swego karnetu zapisane; pilnuj się tylko, byś mógł naprzeciw niej stanąć — będziecie tańczyli w drugiej kolei. Do widzenia, zostawiam was własnemu przemysłowi... — i wezwana przez swego tancerza, odbiegła nas wesoło. Własny przemysł nie wiele

jakoś nam pomógł. Czy ta oczekiwana pani Kajetanowa nie zjawiła się, czy pan Zenon dojrzeć jej nie mógł, trudno mi było rozsądzić, ale czułam to dobrze, że mi przepadł mój pierwszy kontredans. Felunia okropnie się potem na swego męża rozdąsała za moją krzywdę.

— Ale bo ty się nie domyślasz nawet, jakim grzechem ciężysz na mojem sumieniu — rzekła do mnie, gdy chciałam jego postępowanie uniewinniać.

Byłam pewna, że mówi o grzechu złej rady; bez jej ustawicznych podszeptów nie byłabym się wprawdzie na smutną rolę zapomnianej lub uniknionej wśród tańczących narażała, lecz przeczuwając, jak to wielkiem być musi dla mojej Wili zmartwieniem, w inną stronę chciałam zwrócić jej myśli.

— Czy ty, Feluniu, zawsze męża za swoje grzechy łajesz? — spytałam jej żartobliwie.

— Zawsze, zawsze — odpowiedziała już trochę uśmiechnięta; — ja swoich grzechów na wyłączną własność mieć nie mogę; pobraliśmy się pod prawem zupełnej majątkowej wspólności.

— No, to wam na wspólność także absolucję udzielam.

— Obejdę się bez niej; musisz tańczyć i dużo nawet — a mówiąc to, chciała pójść znowu jakiego ochotnika ukwestować, lecz właśnie zbliżył się do nas jeden z poprzednio przedstawionych panów.

— Słyszałem, że pani tańczy? — wpół niby zapytującym tonem rzekł do mnie głosem.

— I bardzo lubi taniec — uprzedziła mię skwapliwie Felunia.

Grzeczny młodzieniec uprzejmie rękę wyciągnął; puściliśmy się w kręgi szalonego walca po wybornej Lannera muzyce. Jakoś od tej chwili nigdy zbyt długo na jednem

miejscu nie posiedziałam. Felunia ze swojej strony czasu nie traciła i ledwie na parę sekund spotkałyśmy się z dwa lub trzy razy. Wtem szmer się zrobił na sali — gromada czarnych fraków szczególniej poruszyła się gwałtownie, jak las jesiennym wichrem kołysany; myślałam, że tak wcześnie do kolacji proszą, lecz wkrótce inny powód się wyjaśnił. Ustawiona przez mego tancerza pod oknem, wśród mnóstwa kwiatów i balowych sukien, nie mogłam zrazu odgadnąć, czemu większa połowa gości ku drzwiom wchodowym się zwróciła. Po chwili, między tłumem dojrzałam zwolna się przesuwającą krótko ostrzyżoną głowę bardzo wysokiego młodego człowieka, a po obu stronach tej głowy na prawo orjentalny zawój z rajskiem piórem, na lewo białą różę przy ciemnych włosach upiętą.

Szukam Feluni, by jej o nowo przybyłych zapytać, lecz Felunia daleko stała, nowoprzybyli zaś już wpół drogi między gromadzącą się koło nich ciżbą z przed oczu moich zginęli. Nader spokojnie zniosłam ten wypadek, jednak blisko stojąca sąsiadka musiała lepiej ode mnie całą jego okropność pojmować, bo pełnym litości głosikiem odezwała się łaskawie:

— To pani Kajetanowa z córką i synem przyszła.

Już drugi raz słyszałam nazwisko pani Kajetanowej *** wymienione tego wieczoru, nazwisko bardzo znakomite, jak widać, a ja nic o niem nie wiedziałam! Zdobyłam się na odwagę cywilną i ufna w przychylne sąsiadki usposobienia:

— Co to za pani Kajetanowa ***? — spytałam.

— Ta z Opatowskiego.

— Ta z Opatowskiego! — powtórzyłam, udając obłudnie, że mię zdobyty szczegół we wszystkiem objaśnia.

— Czy pani zna ją osobiście? — nawzajem mię zagadnęła oszukana pewnością mego tonu.

— Nie, pani, bardzo daleko od siebie mieszkamy; ja aż z za Suwałk jestem i dlatego najpewniej pierwszy raz słyszę o pani Kajetanowej ***.

Sąsiadka lekko się zaczerwieniła, może z gniewu, może wzgardy uczuciem. Na mój ratunek Niebiosa w samą porę Felunię spuściły.

— Stoisz tu i nic nie widzisz — zaczęła mię łajać surowo, ciągnąc za rękę ku sobie.

— Nic nie widzę, jednak wiem już troszeczkę — usprawiedliwiałam się zuchwale.

— Co ty wiesz kiedy, moja droga? Wylecz się z tak brzydkiej zarozumiałości.

— A przecież teraz co wiem, to wiem, szanowna pani Felicjo.

— Wiesz, dajmy na to, że Temistokles zwyciężył Greków pod Salaminą.

— Jak cię kocham, Feluniu, tak nigdy w życiu tego, co mówisz nie wiedziałam, lecz z historji nowożytnej wiem, że przyszła pani Kajetanowa z córką i synem.

— No, to wiesz wszystko.

— Gdybyś raczyła kilka jeszcze nic nie znaczących przydać drobnostek, byłabym ci bardzo wdzięczna. O pani Kajetanowej już słyszałam, że jest z Opatowskiego, ale powiedz mi choć ze dwa słowa więcej, na czem polega jej znakomitość: czy taka rozumna?

— Och! znać pedantkę!

— Czy miała sławne awantury?

— Mizantropko!

— Więc musi chyba mieć ogromny majątek?

— A jušci, trzech miljonowy, Kazimiero!

— Trzech miljonowy!!! Zlituj się, Wilo moja, podprowadź mię tak, żebym się mogła zbliska trzem miljo-

nom przypatrzeć, ja biedna, com dotychczas ani jednego miljonika na własne oczy nie widziała.

— Dziś cię z trzema zapoznam.

— Zapoznawać się nie chcę; zero przed miljonami niema żadnej wartości.

— I owszem, ma wartość głęboko filozoficzną.

— Być może, słyszałam, że głęboka filozofja ma często wartość zera; ale ja nie chcę, ja się boję trzech miljonów — i stanęłam jak wryta na miejscu, gdym spostrzegła, że mię Felunia zdradliwie dalej niż chciałam posuwać zamyśla.

— Więc pójdę sama — rzekła nakoniec przekonana o niezłomności mej woli — pójdę, przywitam się, rozmówię i zobaczysz, że mię nie zabiją, nie rozdepcą, nie zjedzą.

Jak mówiła, tak zrobiła; znowu zostałam samą, ale przynajmniej na ten raz mogłam lepiej widzieć wszystko. Rajskie pióro kilka razy bardzo się wdzięcznie na ukłon Feluni zachwiało. Właścicielka jego była to przystojna jeszcze czterdziestokilkoletnia kobieta; miała ciemnopurpurową aksamitną suknię, brylantową spinkę w zawoju, brylantowe kolczyki przy uszach, brylantowy fermuar z perłami na szyi, brylanty w wielkiej broszy na staniku, brylanty w kokardach czarnych koronek, które przód spódnicy zdobiły, brylanty... brylanty... wszędzie brylanty! Niech te kamienie chlebem się staną, a można będzie niemi kilka parafij na przednówku wyżywić. Właśnie zaczynałam sobie arytmetycznie to przypuszczenie obliczać, gdy nagle z pod boku ubrylantowanej matki, Biała Róża, Feluni miejsca ustępując, w całej swojej okazałości się wzniosła. Wszystkie postronne myśli z głowy uleciały, jak gdyby słońce zeszło nad ciemnościami; ale bo też ja nawet wyobrażenia nie miałam o możliwości

tak doskonale pięknej istoty. Zdawało mi się, że arcydzieła podobne znajdują się tylko na płótnach wielkich mistrzów, lub gdzie w pałacach florenckich; wszystkie dotychczas widziane kobiety zawsze mi się lepiej podobały, gdy im się dłużej i uważniej przypatrzyłam, gdy zrozumiałam grę ich fizjognomij, wymowę ich spojrzeń, wdzięk ich uśmiechów. Tutaj odrazu jasność mię olśniła — pierwszy rzut oka dał mi natychmiast wrażenie cudnego snycerskiej sztuki utworu. Wzrost wysoki, kształty pełne i śmiało odznaczone; profil nienagannej czystości, białość marmurowa, a dla zupełniejszego złudzenia marmurowa nieruchomość także, bo jak przed chwilą prosto, automatycznie podniosła się owa przepyszna statua, tak po chwili stała jeszcze prosto, spokojnie, z lekko wzniesioną głową, z opuszczonemi rękoma, istne bóstwo starożytne — ale czy siły? czy dumy? czy obojętności? nie mogłam jeszcze rozeznać, domyślałam się tylko artystycznej w wyborze stroju intencji. Chociaż wszelkim wymaganiom ówczesnej mody odpowiedni, zdradzał on przecież pewne muzeowe przypomnienia. Ciemne włosy, po grecku w tył głowy zebrane, troistem kołem warkocza spadek cudnie zarysowanej czaszki pokrywały; utkwiona między plecionkami jedna tylko biała róża z klasyczną prawdziwie prostotą ku twarzy się przechylała. Na drugiej, obłoczkowatej, gaze-iris sukni, takaż tunika poniżej kolan sięgająca, złotym greckim deseniem była obwiedziona; podobnyż deseń wcięcie przepaski okalał, śnieżną białość spadzistych ramion z białością stanikowych fałdów rozgraniczał i dwiema obrączkami zakończenie krótkich rękawków uwydatniał. Zresztą, jak na posąg przystało, żadnych ozdóbek ani świecidełek, ani sznureczka pereł na wygładzonej dłutem Praksytela szyi, ani jednej bransoletki na obu wypożyczonych od Junony

rękach — później ledwo dojrzałam, że między gazami stanika, niby iskierka z piersi ulatująca, migotał drobnej szpileczki brylancik. Wdzięczna byłam Białej Róży za odrzucenie w poważnem przybraniu swojem wszelkich innych dodatkowych kosztowności; już mię brała ochota iść za Felunią, żeby do niej się zbliżyć, lecz dźwięki muzyki inny głosiły wyrok.

Przez czas jakiś kręciłam się, wirowałam, suwałam wraz z innymi po śliskiej posadzce, aż nakoniec los tańca usadził mię w tej samej spokojnej przystani, w której przed pierwszym kontredansem jegomość z niebieskiemi okularami tak uporczywie mój rozsądek i skromność moją wychwalał. Spojrzę obok siebie — na drugiem krześle Biała Róża siedzi; aż mi się oczy rozweselić musiały, lecz sąsiadka nie uważała tego zapewne, bo w tej chwili właśnie bardzo pilnie się przyglądała inkrustacjom swego wachlarza; czekałam, żeby przynajmniej wzniosła długie rzęsy spuszczonych powiek — już miałam jakieś pytanie na języku, ale doczekać się nie mogłam. Przyszedł któryś z lwów stolicy i energicznem grzywy potrząśnięciem zawezwał ją do walca. Biała Róża wstała jak automat, podała rękę, zdaje mi się, że nawet nie spojrzawszy na swego tancerza. Po chwili walcująca para znów się zatrzymała przed opróżnionem krzesłem i znów miałam sposobność Białej Róży dobrze się przypatrzeć. Była tak biała, tak wypoczęta po tańcu, jak przed tańcem, nawet śpieszniejszy oddech żadnego nie zdradzał utrudzenia.

— Czy ona żyje tylko? — pierwszy raz wtedy przez głowę mi przeleciało i ogarnęła mię ciekawa jakaś niespokojność; postanowiłam sobie, że koniecznie Białą Różę chociaż na kilka słów rozmowy wyciągnę.

— Czy pani... — rzekłam głośno. Przed Białą Różą znów stanął jakiś blondyn z pokłonem. Miałam krótką

chwilę złudzenia, iż piękna miljonerka waha się i chce końca moich wyrazów dosłuchać, lecz nim przerwane z następnemi zesztukować zdążyłam, już podniosła się jako pierwej i w taniec ją zakręcono; mówię: ją zakręcono, bo rzeczywiście nie ona sama zakręciła się chyba własnym ruchem i wolną a nieprzymuszoną wolą. Taniec jej był poważny, co więcej nawet, był lekki, wdzięczny, ale do sennego tańca jakiejś nieożywionej jeszcze lub już umarłej istoty podobny; ani jeden muskuł nie zadrgnął na jej twarzy, ani jedno pełniejsze odetchnienie kamiennej piersi nie wzniosło; zdaje się, że pomimo szybkich walca obrotów, włosek żaden przy gładko uplecionym warkoczu nie powionął. Kiedy znów obok mnie siadła, tej jedynie dostrzegłam różnicy, że się trochę obróciła w moją stronę i że patrzyła na mnie.

Ach! jakiemi ślicznemi patrzyła na mnie oczami! to mi wszystkie słoneczne promienie, i wszystkie zorzy północnej blaski, i srebrne światłości księżyca, i lampy w rzymskich grobach i co tylko błyszczy, przenika, połyskuje, migoce, jaśnieje, wszystko odrazu na myśli mi stanęło. Przed temi oczami zawstydziłam się powszedniego „frazesu“, którym chciałam pierwej nieco zawiązać naszą rozmowę. Takich oczu chciałam pytać, czy niebo albo piekło widziały? Niestety! po trzech sekundach już dostrzegłam, że oczy takie są jakąś w pięknej tylko chwili zatrzymaną skamieniałością. Ciekawość moja fizjologiczny wzięła kierunek.

— Czy pani się w tańcu nie męczy? — rzekłam dość grzecznie z pozoru, lecz pełna wewnątrz dziwnych niecierpliwości, prawie rzecbym mogła gniewów.

— Bardzo się męczę — odpowiedziała tak spokojnym, tak czysto-piersiowym głosem, jak gdyby na zaprzeczenie własnym słowom lub moim na urągowisko.

— Jednak pani nadzwyczaj wiele tańczy — ciągnęłam dalej ołowiany djalog.

— Ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę — powtórzyła mi z niezachwianą powagą.

Bystrzej trochę spojrzałam w jej zagadkowe źrenice, bo ta naiwność: „ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę“, trochę mi się podejrzaną zdawała. Czy Biała Róża bez myśli dwa sprzeczne zestawiła wyrazy, czy miljonowa „herytjerka“ chciała mi dać do zrozumienia, że co dla innych jest nadzwyczajnością, to dla niej pospolitem właśnie? Zastanawiałam się nad tem, gdy muzyka przycichła i międzyakt kontredansowy nastąpił. Pan Zenon przyszedł się bardzo uprzejmie o swoje prawa dopomnieć. Biała Róża tymczasem zasmucała najmodniejsze fraki odmową swoją, ciągle jednostajnym głosem, jednostajnemi sylabami powtarzaną.

— Przepraszam, już jestem zamówiona — przepraszam, już jestem zamówiona.

Ciekawość mię zdjęła, co też powie do tego, który ją zamówił? Jeśli mam szczerą prawdę wyznać, to spodziewałam się trochę, iż go od innych nie rozróżni i machinalnie wypowie swoje: „Przepraszam, już jestem zamówiona“. Biała Róża jednak z godną podziwu roztropnością uniknęła tak smutnej pomyłki. Gdy stanęła przed nią jedna z owych figurek, tuzinami rozsiewanych na trotuarach i na każdym salonie balowym, ni jasna, ni ciemna, ni brzydka, ni piękna, ni zbyt niska, słowem bez żadnej właściwej sobie cechy figurka, moja Galatea spojrzała tylko na kamizelkę, na guziki przy batystowej koszuli świecące i słowa nie wyrzekłszy, głową najpierw, a potem wachlarzem znak przyzwolenia dała. Według wszelkiego podobieństwa, oszczędzoną w tem spotkaniu porcję swego głosu klasyczna piękność mnie uszczęśliwić posta-

nowiła. Gdy „zamówiciel“ trochę na bok odszedł, jej czarowne, a przy ogólnej bladości tem żywszym koralem odbijające usta rozsunęły się powoli i wypadło z nich w kształcie przymówki, czy zapytania kilka słów... ach! słów nieznośnych dla mnie, słów, które na różne sposoby przyprawiane, już ze dwadzieścia razy w ciągu tego wieczoru do uszu moich wrzucono:

— Więc pani tańczy?

Przyprawą osobistą Białej Róży było to „więc“ jedyne, z naciskiem trudnym do zrozumienia powiedziane. Skąd się wzięło na początku zdania? do jakiej ukrytej myśli spójnikiem być mogło? Sfinksowa zagadka! Wolno mi było wprawdzie poprostu jej objaśnienia żądać, lecz mię pusta chęć odwetu ogarnęła i pamiętna lakonizmu dwóch pierwej uzyskanych odpowiedzi, krótko przycięłam także:

— Och! tańczę — wykrzyknik „och“ miał nawzajem Białej Róży trudną do rozwiązania przedstawić wątpliwość — czy znalazł chwalbę drobnej próżnostki? czy radość młodocianą? czy ironję wyższości? — Biała Róża nie odgadła i znowu się spytała:

— Więc pani lubi tańczyć?

„No — pomyślałam sobie — „więc“ jest tylko jej przysłowiem, zastępującem nasze pospolite „czy“. Niepotrzebnie łamałam sobie głowę, do jakiejby je zatajonej części zdania przystosować — nacisk wprawdzie jeszcze wyraźniejszy tą razą, lecz i nacisk może z przyzwyczajenia także“. Biała Róża sielanką kwitnie — sielankowo zaspokoiłam jej ciekawość.

— Bardzo lubię tańczyć.

— Szkoda!...

A to proszę, Biała Róża ma kolce — ej ostrożnie, ostrożnie!

— Są jeszcze niezgrabniej odemnie tańczące — rzekłam jej z wybornie udaną prostotą.

— I owszem, widziałam panią w walcu. Pani bardzo pięknie walcuje — tylko jabym wolała, żeby pani nie tańczyła wcale. — I ostatnie wyrazy o całą oktawę niżej, z mocnem pianissimo wzięła.

A to co znaczy, panno Biała Różo moja? czy ci zawadzam tak bardzo? czy którego z twoich ulubionych tancerzy ci odebrałam? Przecież pan Zenon żonaty; nie mam sobie nic do wyrzucenia pod tym względem. Muszę pilniej uważać. I pilnie uważałam przez cały kontredans, który niezwłocznie się zaczął — uważałam — lecz żaden objaśniający szczegół nie wsparł mojej wyobraźni. Biała Róża suwała się uroczyście według przepisów choreograficznych. Naprzeciwko niej występował Apollo Belwederski, tylko tem się od swego pierwowzoru różniący, że miał krucze włosy, czarny wąsik, cerę portugalską i wykwintniejsze jeszcze od ostatniej tablicy z dziennika ubrania. Zdawało się, że Biała Róża nie widzi go nawet; przechodziła, podawała ręce, balansowała na tę i na ową stronę, zawsze tak blada, niewzruszona w każdym ruchu swoim, jak gdyby przyszła z tego cmentarza, na który nieboszczyka Kommandora w operze Mozartowskiej pochowano. Raz zaciekawiona jednak, nie zraziłam się chłodem tych pozorów; oczy moje wszędzie towarzyszyły Białej Róży, jak oczy kochanka, lub wierzyciela; miljonerka ostatniemi słowami dług u mnie zaciągnęła: winną mi była wytłumaczenie tak dziwnie objawionego życzenia. Skończył się kontredans, przetańczono mazura, ja ciągle szukałam sposobności do zawiązania dalszego ciągu rozmowy; gdzie moja dłużniczka poszła, tam dążyłam, gdzie siadła, tam zaraz upatrywałam wolnego dla siebie miejsca; lecz kto sądzi, że do

miljonów łatwo się dostanie, ten chyba nigdy z niemi nic osobiście nie miał do czynienia. Albo całe półkola obcych twarzy broniły mi przystępu, albo też częściej jeszcze Biała Róża z wzorową młodej panienki skromnością, odtańczywszy swoją powinność, wracała pod opiekuńcze skrzydła Rajskiego pióra, mnie zaś Rajskie pióro takiem przejmowało uszanowaniem, że nie mogłam się zdobyć na ochotę dłuższego z niem sąsiedztwa.

— Czy mnie szukasz? — zapytała Felunia, którą mój wzrok wysłany na zwiady magnetycznie przyciągnął z daleka.

— Nie, moja droga, w tej chwili szukam tylko wyrazu bardzo zawikłanej szarady.

— Powiedz, z ilu sylab się składa? co pierwsze z drugiem wprost lub na wspak znaczy, może też wesprę twoją niedomyślność.

— Pierwsze na wspak: miljon — drugie wprost: Biała Róża, wszystko razem nie chce, żebym ja tańczyć lubiła.

— Co ty mówisz, Kazimiero? Ułożyłaś jakąś mistyfikację na mój rachunek.

— Jak mię żywą widzisz, Feluniu, tak prawda — i opowiedziałam całą naszą sławną, choć króciuteńką rozmowę. Musiało być w niej więcej jeszcze osobliwości, niż ja parafjanka z za Suwałk pojąć nawet mogłam, bo sama Felunia na chwilę zastanowiła się głęboko, ale wnet zwachlowała nazbyt ciężkie myśli.

— Że się dziwi twemu upodobaniu, to ja się temu nie dziwię — rzekła, do zwykłej wracając wesołości.

— Jakto nie dziwisz? — przerwałam z oburzeniem. — Czy jestem stara, garbata, kulawa, żebym się tańca wyrzekać już miała?

— Cierpliwości, cierpliwości! mogą być inne przy-

czyny. Otóż ci powiadam: nie dziwię się jej zadziwieniu, ale wzbraniającego życzenia pod żadnym względem nie rozumiem.

— A ja się dziwię i nierozumiem, to dwa okropnie iskrą ciekawości rozdmuchujące wichry. Gdybym była mężczyzną...

— Wyzwałabyś ją na pojedynek...

— Wcale nie, tylko zdawałoby mi się, żem w niej zakochana szalenie.

— A ja ci ręczę, że choć tak jest piękną, prędko bardzo poznałabyś się na swojej omyłce, i wrazie, gdyby ci koniecznie jej posagu było trzeba, musiałabyś przed własnem sumieniem przyznać, że zawierasz z interesu, nie z miłości małżeństwo.

— Dlaczego?

— Bo panna Augusta ***...

— Więc jej Augusta na imię? Mnie się zdawało, że nie może mieć innego imienia, tylko Biała Róża; Biała Róża tak przyrosła do jej całej powierzchowności, do jej twarzy bez rumieńców, do jej słów trochę ciernistych, że nie wiem, jak od tego nazwania odwyknąć. Gdyby połączyć, Feluniu? Biała Róża Augusta — patrz, ślicznie się składa!

— Niemniej jednak twoja Biała Róża Augusta długiemu zaciekawieniu przedmiotu nie może dostarczyć. Jak się widzi, że jest piękna i jak się wie, że ma miljon posagu, nic już więcej ani na jej obliczu dowidzieć, ani z jej ust dowiedzieć się niepodobna. Znałam ją bardzo młodą, ledwie dorastającą dziewczynką, zawsze taka biała i sucha, jak kreda. Wierz mi, najniepotrzebniej ukrytego znaczenia jej słów dochodzimy: jestem pewna, że je po swojemu przez sen wymówiła tylko. Gdyby jej guwernantki nie ręczyły, że ma wielkie do nauk zdolno-

ści, gdyby się zawsze gustownie a skromnie nie ubierała, gdyby właśnie miljon koło niej nie leżał, toby ją dawno może za chorobliwie niedołężną ogłosili. W dzisiejszym stanie rzeczy mówią tylko, że jest „trochę apatyczna".

— Pozwól mi jeszcze do końca mieć nadzieję. Zobaczysz Feluniu, jak starania dołożę, kto wie czy pod tą warstwą kredy ciekawych geologicznych nie odkryję osobliwości.

— Mogę ci pracę ułatwić, jeżeli zechcesz: przejdźmy się po salonie, a mimochodem z całą rodziną pani Kajetanowej zabierzesz znajomość.

— Za panią Kajetanową najpokorniej dziękuję; strasznie przyciskające do ziemi robi na mnie wrażenie.

— A syn, pan Djonizy?

— Dotychczas widziałam tylko jego krótko ostrzyżoną głowę.

— Widziałaś? no proszę! co to złośliwej niesprawiedliwości w tym świecie. Są ludzie, którzy ręczą, że pan Djonizy jest zupełnie do swego francuskiego patrona podobny.

— Co ma znaczyć niby, że mu głowy brakuje?

— Tak powiadają; lecz przyjrzyj-że mu się prędko, właśnie koło nas idzie, ot ten wysoki.

Przyjrzałam się prędko; „ten wysoki" miał twarz szarawo-bladą, jak zakurzona bibuła angielska, czoło płaskie i czworokątne podłużne jak bilet wizytowy, oczki jak dwa pikowe asy, nos jak impertynencja, usta jak grubiaństwo, brodę jak zaczepka.

— Ludzie mają słuszność — rzekłam po schwyceniu dokładniejszego rysopisu; — pan Djonizy nie musi „mieć" swojej głowy, tylko ją na karku „niesie", tak jak według legendy jego patron niósł pod pachą — mała

różnica umieszczenia... a potem świętości; zresztą podobieństwo niezaprzeczone.

— Daruj mi na własność to spostrzeżenie, Kazieczko, zaraz pójdę się z niego przed moim mężem pochwalić.

— Bierz, bierz, Feluniu, twojać to własność, bo z natchnienia twego wzięta; zło niech się łączy ze złotem, śmieszność niech się łączy z wyśmianiem; dla Kazimiery Białej Róży dosyć.

— Zostawiam ci ją tedy w całej świeżości marzeń porankowych, ani jednej kropli rosy nie otrząsnę. Szczęśliwych spostrzeżeń życzę — do widzenia! — I odbiegła moja Wila, a mnie nakoniec przypadek lepiej posłużył, niż wszystkie poprzednie zabiegi. Gdy znów się walce zaczęły, jeden z tancerzy złożył mię nawpółodurzoną jeszcze na ustronnej koło ściany ławeczce. Patrzę, aż tu po chwili w tem samem miejscu Biała Róża się zatrzymuje. Nie tracąc czasu, witam ją półuśmiechem, przesuwam się troszeczkę i ręką znać daję, że ławeczka nas obie pomieścić może. Biała Róża po królewsku mi skinęła za tę grzeczność, siadła, lecz wzajemnym uśmiechem uśmiechu mego nie spłaciła. Ta drobniutka okoliczność wnet jakby lodem ścięła wszystkie przychylne jej nadzieje; gotowe do rozmowy usta mimowolnie milczeniem się zwarły — postanowiłam czekać pierwszego jej słowa, a tymczasem pięknej twarzy, jak pięknemu sztychowi, zaczęłam się uważnie i bystro przypatrywać. Pod moim wzrokiem twarz się znowu ku wachlarzowi i kwiatom bukietu schyliła, lecz w pół minuty może wzniosła się, niby naciągnięciem ukrytej sprężynki poruszona; zdawało mi się, że tylko nieco bielsza i dumniejsza, niż pierwej.

— Słyszałam — odezwała się nagle prędkim, jak

przy wydaniu pamięciowej lekcji głosem — słyszałam, że się pani bardzo wielu poważnym naukom oddaje.

— Co pani przez poważne nauki rozumie? — wesoło ją zagadnęłam, a przecież niewinne moje zapytanie kilka sekund namysłu ją kosztowało.

— Medycynę, prawo, matematykę, chemję, języki starożytne — odrzekła już swoim zwyczajnym tonem wolnym, wyraźnym, ale martwym, jakoby w sen najtwardszy zamagnetyzowanej jasnowidzącej.

Mnie na taką nomenklaturę poważnych nauk, którym podobno bardzo wiele oddawać się miałam, szalona chętka śmiechu ogarnęła; pokryłam ją wszakże, aby moja Biała Róża, według przestrogi Feluni, suchą kredą mi nie skamieniała.

— Jakież to są nauki niepoważne? — ośmieliłam się dalej badać.

— Zapewne te, których kobietom mniej skąpią: historja, literatura, język francuski, niemiecki, angielski, włoski. — Wszystko to wyliczone zostało z nieposzlakowaną prostotą, tylko początek okresu dał mi trochę do myślenia. Kreda się kruszyć, Biała Róża rozwijać zaczyna, rzekłam sobie w duchu: — botanika nad geologją górę bierze, dobra nadzieja! Więc też z nieobłudną na ten raz odpowiedziałam szczerością:

— Jeśli historja i literatura do niepoważnych nauk się liczą, to wyznam pani pokornie, że się właśnie najwięcej niepoważnemi zajmuję naukami.

— Mnie jednak wiele osób mówiło, że pani bardzo uczona.

— Bo wiele osób lubi bajki powtarzać; ja także nie o jednej słyszałam, że dobra jak anioł, a zła była jak nieszczęście, lub znów utrzymywano, że ograniczona jak gąska, a właśnie dowcipną była jak czeczotka.

Biała Róża wzrok swój wlepiła w moje oczy, ale wzrok dziwny, bez stanowczego spojrzenia, ani gniewny, ani pytający; bogaty światłem odbitych z kandelabrów promieni — i nic więcej. Można sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy po tym wzroku spokojnym rzucono mi krótkiemi słowami, które w mej uzasadnionej podejrzliwości jako zaczepną strzałę wziąć mogłam:

— Jednak pani ma dużo odwagi!

— Dużo odwagi? pomyślałam, lekko owym pociskiem draśnięta. Mam dużo odwagi, że z miljonową dziedziczką rozmawiam; tak, prawda, dużo odwagi, a nie pozwalam żartować z siebie... to istotne bohaterstwo.

W tej chwili już nie wątpiłam o szyderczym kierunku ciągnionego ze mnie śledztwa, wezwałam ducha Feluni na ratunek i stanęłam odpornie do walki.

— Z czegóż pani o mojej odwadze wnioskuje? Czy z tego, że się „uczę?" czy z tego, że mię ludzie obmawiają.

— Z tego, że chociaż obmawiają, pani się uczy.

— Albożjedno drugiemu co przeszkadza? Gdyby przyszli obmawiać do mego pokoiku, jest podobieństwo, że nie mogłabym zebrać potrzebnej uwagi; lecz kiedy ich nie słyszę, to mi nie zawadzają bynajmniej.

— I pani się nie lęka śmieszności?

— Śmieszności się lękać? dopierożbym ja sobie niepotrzebną pracę zadała! Wszystko jest, lub raczej wszystko nadzwyczaj śmiesznem być może — jak co i dla kogo; jedni się śmieją z ubóstwa, z pracy, z nauki, z religji nawet; drudzy się śmieją z próżności, z pychy, z lenistwa, z braku serca i wyższych dążności. To od gustu zależy; ja właśnie urodziłam się z gustem drugich, nie pierwszych.

— Pani bardzo szczęśliwa!...

Nim zdążyłam cośkolwiek odpowiedzieć, już jeden z dygnitarzy salonowego pokolenia stał przed Białą Różą i utyskując na jej głębokie schronienie, do tańca ją zapraszał.

— Pani tu chyba przed natrętnymi ukryć się chciała — mówił.

Biała Róża poruszyła wargami, jakoby na odpowiedź, lecz ta na tem poruszeniu się skończyła. Grzeczny elegant wyciągnął rękę; piękna dziedziczka wstała natychmiast i tylko odchodząc, powlokła za mną jakiemś długiem spojrzeniem, pełnem znowu trudnych do odgadnienia tajemnic. Szkoda! już we mnie chęć odgadywania przystygła. Nie podzielałam zdania Feluni, że to jest chorobliwie niedołężne usposobienie, lecz zdawało mi się, że hardość miljona, sarkazm zepsutej pochlebstwami dziewczyny najwyraźniej w niem rozpoznaję. Taki gatunek gruntu i plonu nie nęcił mię wcale, wyrzekłam się więc dalszych poszukiwań. Uwagę moją zwróciła wtedy jedna z najmłodszych na balu panienek, prześliczna, swobodna, wesoła, używająca zabawy całą duszą i wszystkiemi, rzecby można, porami; tak się oddała chwili obecnej, tak spromieniła w niej myśli, uczucia, władze, siły, zdolności, wrażenia, jak gdyby z blaskiem żyrandolów jej życie się zaczęło i razem z ich świeczką ostatnią zgasnąć miało niepowrotnie. Dziwna to rzecz wszelako! niech tylko o cokolwiek dbać przestaniemy, wnet samo przez się drogę nam zabiega. Czy pan tego nie doświadczał, panie Tomaszu? bo ja, to zawsze prawie najpiękniejszą lalkę dostałam, kiedy mi się już o wieczorkach tańcujących marzyło. Wzięto mię na wieczór tańcujący, kiedy już wolałam z książką sama w kącie siedzieć; otworzono przedemną całą bibljotekę domową, kiedy już więcej do pióra i do żywych zdarzeń się garnęłam; pewna

jestem, że przyjdzie chwila, w której jeszcze do Egiptu pojadę, w której spotkam... Ale na co z takich szaleństw się spowiadać; w sumie ogólnej mają znaczyć, że ile razy pragnę czego, to pragnę długo nadaremnie; że gdy się znudzę, gdy w obojętność wpadnę, rzecz pragniona tuż obok mnie się znajdzie; ma się rozumieć nie w porę, więc i nie „taka“ niby, choć „ta“, jakiej pragnęłam. Z Białą Różą zupełnie podobne przebyłam koleje: póki za nią goniłam upornie, ciągle stawała daleko; jak tylko przestałam się nią zajmować, chwil kilka nie ubiegło, a siedziała w pobliżu przy marmurowej kolumnie i nawet zdało mi się, że na mnie spoglądała. Było koło niej miejsce wolne do zajęcia. Nie poszłam jednak. Wtedy Biała Róża skinęła wachlarzem, jakoby kogoś wezwać do siebie chciała — dopiero owo poruszenie Białej Róży rozciekawiło mię znowu. Kto był wezwanym? czy ja? — nie — wezwanym był tylko pan Djonizy. Trudno z pana Djonizego wnioski jakie wysnuwać, ale słuchajmy, może siostra się z nim podzieli żarcikiem, zwierzeniem, ostrem słówkiem w bawełnę nieobwiniętem; zawrzeć warto portrecik piękności dokładniejszemi zarysami odznaczyć sobie w pamięci. Biała Róża nader zwyczajną prośbą swego brata obdarzyła:

— Proszę cię, Djoni, wystaraj mi się porcji lodów, bo okropnie gorąco.

Tak obojętne wyrazy nie mogły zaiste ani cieniem, ani światłem mocniejszem podobieństwa miniatury uzupełnić; dla mnie przecież miały one swoją wartość; dowiedziałam się, że Białej Róży gorąco! A siedziała tak marmurowo zimna i blada, jak kiedy wchodziła do salonu. Pan Djonizy tymczasem leniwie się dokoła obejrzał, czy gdzie lodów nie roznoszą, lecz że nie roznosili, poszedł wprost do jednego z młodych ludzi, co się mię-

dzy tancerkami niby motyle wśród ogrodu uwijali, i półgłosem, który jednak zdaleka dosłyszeć mogłam:

— Mój kochany Morysiu — rzekł niedbale — wystaraj-no się lodów dla Augusty, bo mnie prosiła, a właśnie czasu nie mam.

Moryś poleciał jak ptaszek, pan Djonizy zaś przesunął się, jak cień zachodniem słońcem rzucony, do drugich salonów, gdzie podobno w karty grano. Za króciutką chwilę posłaniec wrócił z lodami.

— Ach! dziękuję ci, Morysiu! — przemawiała do niego Biała Róża i zaczynała jeść wolno, uważnie jak na dobrze wychowaną przystało.

— Kto jest ów Moryś? — myślę sobie tymczasem; pan Djonizy posługuje się nim bez ceremonji. Biała Róża mówi mu poufale „Morysiu", a przecież nie lokaj, tańczy razem z innymi gośćmi — pewnie kuzynek bliski... Otworzyły się więc nowych zupełnie domysłów przestrzenie.

Moryś był bardzo ładny chłopczyna, zdawał się nawet dużo młodszym od Białej Róży, tak jego twarzyczka okrągła, jego rumieńce świeże, jego nosek zadarty i czarne oczki, swobodnie patrzące, obok jej rysów poważnych dziecinny prawie nadawały mu wyraz. Gdyby go można było ubrać w niebieskie atłasy, dać mu kapelusz okrągły z piórami na głowę i płaszczyk przez ramię mu zwiesić, ślicznieby rolę pazia odegrał, stojąc właśnie jako stał w milczeniu przed swoją dumną księżniczką. Nakoniec lody zniknęły, Biała Róża-Augusta wspaniale kryształową miseczkę złożyła w ręce swego dworzanina, a ten ją, niewiele myśląc, na najbliższej kolumnie marmurowej postawił.

— Postaw na oknie — odezwała się szlachetna pani— tutaj bardzo łatwo ktokolwiek stłuc może.

O, co za promień światła w ciemnicy moich domysłów! Śnieżysta kwiatów królowa zajmuje się losem jednej biednej miseczki, przewiduje mogące nastąpić wypadki, chroni ją przed zniszczeniem, a to z taką przytomnością umysłu, z taką wprawą machinalną, że już nie wątpię, już wiem o niej! Biała Róża jest niezawodnie dobrą, porządną, staranną i oszczędną gospodynią — alboż to miljonerki takiemi nie bywają? Zdarza się przecież niemiljonerkom, nie krociówkom nawet, że są rozrzutne i niedbałe; dla zrównoważenia zapewne rodzi się trochę bogaczów skąpych lub gospodarnych, zabieżnych, przemyślnych.

— A teraz, Morysiu — rzekła znowu, gdy Moryś rozkazu dopełnił — przetańczmy walca, bo mi się trochę zimno zrobiło.

Roztropność wzorowa! Zawsze słyszałam, że najlepiej iść w taniec po nagłem oziębieniu żołądka. Biała Róża trzyma się tego hygjenicznego przepisu; zachowawcza troskliwość stanowi tło jej moralnego usposobienia; od cudzej miseczki, do własnego zdrowia, ona wszystkiem się opiekuje, wszystko w pożądanej całości utrzymać pragnie. Z tych dwóch uderzeń jej spokojnego pulsu logiczne wyprowadziłam następstwa — wnioski moje ogarnęły każdy możliwy zwrot podobnego charakteru. Stopień religijnego ogrzania, lub niedogrzania raczej; uszanowanie dla formy, nieufność względem uczucia, szyderstwo salonowe dla wszelkiej niezwykłości; bojaźń wyższego, nałóg miernoty, zalet mnóstwo — cnoty ani jednej. Cały ten portret od stóp do głowy jaknajdobitniej odrysował się w mojej wyobraźni i byłam pewna, że już niczego więcej o Białej Róży się nie dowiem.

— A cóż, Kaziu, czy ci się powiodły twoje studja

geologiczne? — mówiła do mnie Felunia, gdyśmy w jej powozie do domu nakoniec wracały.

— Powiodły, zadziwiająco powiodły! — odrzekłam jej na to. — Uzbierałam pełno ciekawych szczegółów o Białej Róży-Auguście.

— Ej, żartujesz!

— Nie żartuję; dowiedziałam się najpierw, że to będzie przykładna pani domu. Szczęśliwy, kto ją z tytułem małżonki pod dach swój wprowadzi i kto jej klucze od wszystkich szafek gospodarskich powierzy.

— Skąd-że ci przyszedł ten panegiryk do głowy?

Opowiedziałam Feluni historję uratowanej od stłuczenia miseczki — aż w ręce klasnęła z radości.

Tutaj wszakże muszę zrobić maleńką, li panu Tomaszowi poświęconą uwagę. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że się pan zgorszy temi żartami i weźmie je za jakieś lekceważenie gospodarskich w kobiecie przymiotów. Literatkę, a do tego pół-autorkę, najłatwiej o grzech równie śmieszny posądzić. Lecz niech się pan nie lęka, pana korespondentka nigdy takiej niedorzeczności nie popełniła. Czyste mam sumienie pod tym względem: nie przypominam sobie nawet, aby żartów moich pustota sięgnęła kiedykolwiek poza granicę zdrożnych drobnostek, lub żeby śmiała dotknąć tego, co jest rzeczywiście użyteczne, piękne, dobre. Nie, panie Tomaszu — ja bardzo, bardzo szanuję ciche domowe zajęcia każdej gospodyni; wiem nawet, że od nich całe ułatwienie moralnego życia zawisło; wiem, że w nich najlepszą próbę złotniczą moralnej osobistej wartości złożyć można; ale wiem nawzajem, co to jest za różnica między rodzinami kobiet gospodarujących dla spełnienia wyższych, chrześcijańskich obowiązków, a rodzinami kobiet spełniających wszystkie swe obowiązki... dla gospodarstwa. Co powie-

dziawszy wyraźnie a krótko — wracam do ciągu powieści.

Felunia z wielką niecierpliwością mię pytała:

— I cóż dalej, Kaziu?

— Dalej odkryłam, że to jest osoba rozsądna, umiarkowana, która pewnie długo w czerstwem zdrowiu żyć będzie.

— A ta wróżba wywnioskowana?...

Opowiedziałam historję odtańczonej porcji lodów; Felunia chichotała się, jak pensjonarka w godzinach rekreacji sobotniej.

— Dowiedziałam się jeszcze — ciągnęłam dalej poważnie — dowiedziałam się, że ma wyobraźnię spokojną, serce wolne, a wybór niezdecydowany dotychczas — i na poparcie mego zdania opowiedziałam historję wszystkich przemienianych z równą obojętnością tancerzy, nawet bezbarwne, ładnemu kuzynkowi rzucone słowa.

— Moryś nie jest jej kuzynkiem — objaśniła mię Felunia — to jakiś wychowaniec pana Kajetana; od dzieciństwa w tym domu go trzymają, niby na równi z Djonizym i Augustą, lecz rzeczywiście dlatego, że pani Kajetanowej na świadectwo szlachetnych uczuć staje. Pan Djonizy się nim bawi, panna Augusta się nim posługuje, a mówi mu „ty“, gdyż jest od niej parę lat młodszy, i weszło w zwyczaj domowy, by się z nim, jak z chłopcem niedorostkiem obchodzić.

— Rozumiem już całą sprawę tak jasno, jak gdybym przez dwadzieścia lat żyła wśród tej potrójnie miljonowej rodziny. Lecz niedość wszystkich wyliczonych ci spostrzeżeń — dowiedziałam się jeszcze pierwej najważniejszej, najosobliwszej ciekawości.

— Mów-że prędko, bo i mnie zaciekawiasz! — wołała Felunia.

— Miej się na ostrożności z Białą Różą, Feluniu; ja ci powiadam, że ten niewinny kwiatek, to ziółko.

— Ziółko? co tobie, Kazimiero? chyba pektoralne.

— Oj nie pektoralne; znam to ziółko, że pokrzywa— i opowiedziałam historję moją własną, jak mię na egzamen wzięła, któremi się naukami zajmuję; jak chytrze wydziwiała mojej odwadze, że się nie lękam śmieszności z tego powodu, jak wreszcie opuściła mię na tem ironicznem wykrzyknieniu: „Pani jest bardzo szczęśliwą!"

Po przesłuchaniu tych dowodów, Felunia sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy zdumiewać.

— Ale bo ty musiałaś coś dodać, a coś ująć, tu podnieść, tam zniżyć. Nigdy nie uwierzę, by panna Augusta, owa mistrzyni oklepanych frazesów, owa sadzawka przepełniona wiadomemi całemu światu prawdeczkami, zdobyła się na tak wielką ekscentryczność i tak złośliwy dowcip.

— Przypomnij sobie tylko, co jeszcze pierwej do mnie o tańcu mówiła; jedno z drugiem się trzyma.

— O tańcu nic tak osobliwego nie powiedziała przecież.

— Jakto? a jej dubeltowe: „więc pani tańczy" — „więc pani lubi tańczyć?" — i na domiar oświadczenie, że przyjemniejby jej było, gdybym nie tańczyła wcale?

— Ja ci powiadam, Kazimiero, to wszystko nic nie znaczy jeszcze. Przyznaj sama, wszak nietylko Biała Róża „tak mocno się dziwowała, żeś ty chętnie tańcowała".

— At, prawda — rzekłam po chwili namysłu — i ten pan, co w niebieskich okularach, i prawie każdy

mój tancerz przy początku rozmowy. Może to zwyczaj taki, może tegoroczna moda?

Felunia odpowiedzieć mi nie mogła, bo się aż zanosiła od śmiechu.

— Biedna dziewczyno! — zawołała nakoniec, gdy ją paroksyzm ominął — więc nie domyślasz się nawet, dlaczego wszyscy jedno i to samo powtarzali pytanie? Nie domyślasz się, dlaczego pierwszy kontredans cię chybił? nie domyślasz, skąd podziwienie twojej Białej Róży wypłynęło? A ty sama, proszę cię, jakiego wrażeniabyś doświadczyła, gdyby nasz pergaminowy pan R*** do mazurka stanął w parze i zaczął dziarsko hołubce wywijać?

Pan R*** był najuczeńszym i najpoważniejszym z całej za-suwałkowskiej okolicy człowiekiem. Szczególniej słynął, jako helenista zagorzały. Ojciec nasz mówił o nim, że nietylko wie, co Homer śpiewał, ale to nawet, co Homer myślał sobie, śpiewając Iljadę, Odysseę i t. d. Przypuszczenie Feluni bardzo mi się zabawnem wydało, mimowolnie się rozśmiałam także, ale broniąc praw ogółu:

— Gdybym nawet pana R. w mazurku zobaczyła — rzekłam po chwili — tobym sobie przypomniała, że i król Dawid przed arką raz tańczył. Jednakże nie mąć mi w głowie, co za stosunek między mną a szanownym filologiem z jednej, między mną a balowymi gośćmi z drugiej strony być może?

— No, to chyba muszę ci wytłumaczyć, lecz daj mi słowo, że się nie rozgniewasz. — Felunia prośbę swoją tak szczerym i przyjacielskim tonem wyraziła, iż się zaczęłam jakiegoś napomnienia, jakiejś uwagi względem towarzyskich „konwenansów“ spodziewać. Nieświadomie mogłam przekroczyć wiele bardzo zakazowych lub

nakazowych linijek; żeby więc ośmielić młodą i niezwyczajną tego rzemiosła nauczycielkę, wesoło ją do udzielenia mi przestrogi zachęciłam.

— Daję ci słowo, Feluniu, gniewać się na ciebie nie będę, choćbyś mi najostrzejszą i najkwaśniejszą prawdę powiedziała.

— Pamiętaj, pamiętaj, Kaziu; powiem ci zupełną prawdę o wszystkiem, jak było. Oto na kilka dni przed balem zwierzyłam się pani Michalinie — ma się rozumieć, wyszło to na jedno jak gdybym ogłosiła w pismach publicznych. Pani Michalina żyje ze wszystkiemi koterjami, które się na dzisiejszym balu potrącały. Widuje księżnę ***, kocha się serdecznie z radczynią *, a ten pan w niebieskich okularach, to jej przyjaciel od serca.

— Mniejsza o przyjaciół pani Michaliny; powiedz mi prędko z czego jej się zwierzyłaś?

— Z tego, że ty, Kazimiero, po grecku doskonale umiesz.

— Och! niegodziwa!

— Dałaś słowo, że się gniewać nie będziesz; ja przecież powiedziałam, żeś ty i w łacinie biegła, lecz że masz jakąś słabość do greczyzny, że to twoje upodobanie najmilsze, twoja namiętność.

— Feluniu! i nie zastanowiłaś się nawet, jak taka plotka w opinji świata na wieki zgubić mnie mogła?

— Ba! uprzedziłam panią Michalinę, że jesteś skromna jak fijołek i że tego, co umiesz wcale po tobie nie znać.

— Teraz już wszystko rozumiem; już się nawet zarzutom i kolcom Białej Róży nie dziwię; owszem, zdumiewam się nad pobłażliwością tych panów, że mię do tańca brać chcieli.

— Każdego pierwej mój mąż zapewnił, iż go na

egzamen z języków starożytnych nie weźmiesz, bo nowożytnych, nie wyłączając polszczyzny, z równą wprawą używasz. Co zaś do Białej Róży, to inna rzecz znowu; nie dziwiłabym się, gdyby panna Augusta poprzestała na szczerem, naiwnem zadziwieniu, lecz te dowcipy, o które ją skarżysz...

— Pokazuje się, że daleko słuszniej zrobisz, pusta Wilo, jak przed panią Michaliną Białą Różę za dowcipną i złośliwą, a mnie za „sawantkę“ ogłosisz.

— Przedziwny pomysł! Niechże cię, Kaziu, uściskam! Wszakże to pono drugi dar twój w ciągu tej jednej nocy karnawałowej.

— Bo salony jak trebhauzy przyśpieszają bujność wzrostu zagranicznym roślinom, a moje dary egzotyczne rośliny nie ze mnie wzięte, nie z za Suwałk przywiezione.

W tej chwili powóz przed bramą stanął, gawędka się przerwała. Nazajutrz pani Felicja, każdemu co ją przyszedł odwiedzić, nie skąpiła szczegółów mojego starcia ze złośliwą panną Augustą ***. Niby to we wszystkiem trzymała się dość sumiennie historycznej prawdy, a jednakże koło wieczora niektóre pojedyncze wyrażenia rozrosły się, jak ciasto na dobrych, świeżych drożdżach. — „Więc pani tańczy“. — „Pani ma dużo odwagi“ — nieznacznie się podniosło do: „Pani jest bardzo zuchwała“ — i tak szło dalej *crescendo*, aż w kilka dni potem przynoszono zupełnie pierwej nieznane dodatki: piękną mowę panny Augusty o przeznaczeniu kobiety, rozsądne jej napomnienia o śmieszności obranego przeze mnie zawodu, moralne porównanie pięknie haftowanego kołnierzyka z Iljadą Homerową; nakoniec i to groźne proroctwo, że męża nie dostanę, bo każdy z tych panów woli w domowem pożyciu smaczny garnuszek śmietanki, niż najdowcipniejszą, najwięcej uczoną o So-

foklesie rozprawę. My z Felunią za każdym nowym odrostkiem posianego ziarneczka tysiące zbierałyśmy pociech; wprawdzie ostatni szczypiorek zatrwożył trochę moją Wilę swobodną.

— A gdybyś rzeczywiście za mąż nie poszła, Kaziu? — rzekła raz do mnie z uroczystem rozżaleniem — gdyby ci tak przyszło na koszu osiąść, jak w czasie pierwszego kontredansa? i to z mojej winy... nie, jabym umrzeć nie mogła spokojnie! Natychmiast każę zaprządz, pojadę do pani Michaliny, choćby do samej pani Kajetanowej, i w sekrecie im powiem, że nawet czytać nie umiesz.

— Bądź spokojna — miarkowałam ją w pokutnych zapędach — bądź spokojna, Feluniu, przecież tak złego o rodzie męskim nie miej wyobrażenia; znajdzie się chociaż jeden nie łakomy, nie gastronom, nie smakosz, jeden, co aby na równi będzie cenił śmietankę z Sofoklesem — ten jeden mnie się dostanie.

Felunia z niedowierzaniem główką trochę pokręciła; nakoniec wzięła arkusz białego papieru, alfabetycznym porządkiem jak w dykcjonarzu spisała nazwiska wszystkich swoich i moich znajomych, roztrząsając pilnie, czy o którym nadzieję mieć będzie można.

— Pan A. — zawołałam z triumfem, przy pierwszym odczycie listy — w pewnym już wieku kawaler, trochę rumianej cery; lecz właśnie wiem o nim, że wcale mleka nie lubi.

— Czy jesteś pewną, że lubi Sofoklesa chociaż w tłumaczeniu? Ja myślę, że nadewszystko talerz dobrego rosołu i lampeczkę starego węgrzyna przekłada.

— Pan B., moja Feluniu, cóż on woli od Sofoklesa?

— Woli podobno dzieło z francuskich kart malowanych.

— A pan C.?

— Woli to, co usłyszy, niż to, co przeczyta.

— Pan D.?

— Woli samego siebie.

I tak przebiegłyśmy regestr od A. aż do Z. wszystkich młodzieńców na wydaniu; prawda, że między nimi żaden się dość pewny entuzjasta Sofoklesa nie znalazł; lecz za to przy nazwisku każdego tyle się wesołych znalazło szczegółów, że zachmurzona Felunia znów „pogodą“ zabłysnęła. Dopiero w tydzień może prawdziwe dotknęło ją zmartwienie. Jakaś krewna, niedaleko od Warszawy mieszkająca, listownie przez pocztę zgłosiła się do niej, zapytując: „Czy istotnie ona to wprowadziła na bal do X** pewną pannę Kazimierę, z obciętemi włosami po grecku, trochę nawet anakreontycznie ubraną?“

Felunia loki sobie potargała z rozpaczy; toć własnym gustem przewodniczyła wyborowi mej sukni, własną ręką zaplatała mój warkocz i przypięła girlandkę... oczywiście jad cały prowincjonalnej potwarzy w jej serce wsiąkał, nie w moje.

Szczerze między nami mówiąc, panie Tomaszu, należała jej się ta kara za przedbalową lekkomyślność. Skąd jej przyszedł taki koncept, żeby mnie, jako umiejącą po grecku, przed panią Michaliną chwalić!...

Dzięki Bogu jednak, w otchłaniach niepamięci toną ludzkie troski, grzechy, zmartwienia, i potwarze nawet; ja zapomniałam o balu, balownicy o mnie zapomnieli; krewna z pod Warszawy drugiego listu nie napisała; Felunia uspokoiła się zupełnie — a więc koniec powieści. Nie, to ledwie początek bardzo zajmującego w życiu mojem ustępu. Kiedy się tego najmniej spodziewałam, przyniesiono mi z poczty dużą kopertę, w kopercie kilkanaście drobno zapisanych półarkusików; na ostatnim

podpis... niech-że pan zgadnie — może Augusta?... jeśli panu to imię na myśl przyszło, więc i literaci mylą się czasem i członkowie redakcji nie zawsze, nie wszystko zgadują — na ostatnim był podpis — Biała Róża.

Wierną kopję oryginału załączam:

„Już dawno wiem, jak pani sobie niekorzystnie wytłumaczyłaś każde słowo, które do niej na owym balu u państwa X** powiedziałam. Usłużna gadatliwość nie oszczędziła mi ani jednego żarciku pani Felicji, ani jednego spostrzeżenia dowcipnie przez pannę Kazimierę pochwyconego; wszystko mi przyniesiono tak świeże, ciepłe, ba, tak gorące, jak gdyby prosto z pod pary ich ust, z pod fajerwerku ich myśli wzięte. Może cośkolwiek dołożono, lub przypieczono w drodze — za to nie ręczę — ale choćby przez połowę rozdzielić, i tak już dosyć na ukaranie winnej, na zasmucenie niewinnej zostało, a jest winna i niewinna. Wkrótce to pani objaśnię; lecz się muszę pierwej z balowego rachunku uiścić.

„Na parę tygodni przedtem, w domu wspólnie znajomej nam osoby, zastałam raz panią Felicję, sławną turkusową szpileczkę, sławną kolekcjonistkę towarzyskich śmiesznostek, różdżkę nieubłaganą na wszystkie ludzkie przywary. Znałam ją od bardzo dawnego czasu, lękałam się jej gorzej niż zwierciadła, coby mi podobieństwo moich rysów albo w zbyt podłużnej, albo w zbyt szerokiej karykaturze odbijało. Widziałam ją zawsze wesołą, uśmiechniętą, swawolną jak dziecię i złośliwą jak dziecię także, jak dziecię, co rzutu kamyczków wymiarkować nie umie, a złych skutków uderzenia nie przypuszcza nawet. Tego dnia pani Felicja była wzruszona, odpowiadała z zapałem, chwaliła z uniesieniem — zdawać się mogło, że to inna kobieta, że głos inny, pojęcie

inne, serce nadewszystko inne. Zdumiona sama w sobie, tem baczniej przysłuchiwałam się każdemu jej słowu. Pani Felicja o pannie Kazimierze mówiła. Pierwszy raz wtedy dowiedziałam się „autentycznie", że na ziemi naszej są prześliczne, jak na Wschodnim Oceanie wysepki, są małe edeny rodzinne, niedostępne powodziom przesądów, zbytków, próżnostek światowych, jasne myślą i uczuciem, bogate pracą i cnotą. Zapoznałam się z ojcem pani, tym uczonym badaczem dziejów ludzkości i natury zjawisk; zapoznałam się z matką pani, ową poważną, niby daleka przeszłość, matroną, a kochającą, łagodną, niby na pociechę teraźniejszości duszą. I ze stryjem Krzysztofem, cichym, pobożnym, wyrozumiałym dla wszystkich, surowym dla siebie tylko, poprzyjaźniłam się serdecznie — i z braćmi pani, szczególniej z panem Hieronimem, co tak dla swojej siostry poświęcony, to już na wieki dobre przymierze zawarłam — a z panią?... z młodą osobą, co jest taka swobodna jak powietrze, czyste jak kryształ; co jest odważna Kolumbową odwagą, bezpieczna religijnego serca bezpieczeństwem, co przeczytała wszystkie polskie, francuskie i angielskie książki; zna Wirgiljusza w oryginale, do Herodota i Tucydydesa tłumaczeń żadnych nie potrzebuje — co przytem swoim ukochanym dogadzać umie, dzieci pieści, chorym służy, Bogu się modli, a panią Felicję w krytyce rozbraja. Ach! z panią przecież osobiście zobaczyć się miałam!

„Od tej chwili, jak ziemia na swojej osi, tak wszystkie moje myśli na tej jednej nadziei obracać się zaczęły. Kiedy wreszcie spełnioną została... Pani sama najlepiej sądzić może, czy jej spełnienie zupełnie do szkaradnego zawodu podobnem nie było — „zawodem" jednak nigdy tego nie nazwę. Pani mię nie zawiodłaś — o ile tylko zgiełk balowy dozwolił, o tyle dotrzymałaś wszystkich

pani Felicji obietnic, ja natomiast samą siebie szkaradnie zawiodłam. Uzbierało mi się mnóstwo rzeczy do powiedzenia, a czułam to, że czasu zbyt mało; gdy otwierałam usta, każda sylaba moja miała wartość kilku przynajmniej niemieckiej miary okresów — teraz więc każdej osobny komentarz należy. Nim go udzielę, muszę jednak o najwierniejszą pamięć ze strony pani się dopomnieć. Ludzie tak mi już rozmaicie powtarzali moje własne słowa, że nie wiedziałabym sama czego się trzymać, gdybym na pociechę i upokorzenie zarazem wszystkich, a wszystkich zbyt głęboko przechowanych w sumieniu mojem nie dźwigała.

„Kiedy najpierw obok pani mię posadzono, rozmyślałam tak długo, od czego zacząć rozmowę, że aż mię pani uprzedziła w tym względzie. Już miałam usłyszeć jej zapytanie, gdy nagle stanął przede mną los zawistny w kształcie modnego panicza i tańczyć mi ze sobą kazał. Ani on się nie domyślał, ani zapewne pani odgadnąć tego nie mogła, jakie zbrodnicze pokusy w tej chwili mózg i serce mi przepełniły. Od kwasu pruskiego do Borgiów Aqua Tofana, od ziemi angielskiej do muchomorów, od proszku perskiego do miotły jednym rzutem wyobraźni uprzytomniłam sobie wszystkie sposoby, któremi kiedykolwiek ludzie uwalniali się od swoich nieprzyjaciół, od owadów szkodliwych, od pajęczyn i śmieci. Nic nie pomogło — trzeba było tańczyć, raz, drugi, trzeci, bo gdyby się kto spostrzegł, że wolę z panią rozmawiać, okrzyczałby mię za sawantkę, powiedział, że mam pretensję do rozumu, że udaję wzgardliwość dla wesołych i przyzwoitych rozrywek, że się czepiam uczonych kobiet, jak gdybym sama uczonością popisywać się chciała. Powiedziałby wszystko, co najokropniejszem dla mnie być może. Więc tańczyłam, tańczyłam, a ciągle

rozważałam sobie w duszy, o czem to pani do mnie mówić chciała przed chwilą? Kiedym nakoniec wytańczyła sobie pożądane miejsce moje, pani zapytała mię tylko, czy ja się i w tańcu nie męczę? Byłam trochę upokorzona; czułam jednak, że mi się ta przymówka należy za moje milczenie poprzednie, a jeszcze bardziej za obejście mniej grzeczne, bo jużcić mogłam się była przez chwilkę zatrzymać, wysłuchać, co pani powie. Mój łaskawy tancerz postałby sobie ze dwie minuty i nie miałby prawa się skarżyć. Lecz jak to zwykle bywa, strach ma wielkie oczy, a mnie strach właśnie zdejmował, aby nikt tego nie podsłuchał, co pani do mnie mówić będzie; głowa mi się nabiła, że jej pierwsze wyrazy staną w jakimś związku ze wszystkiem, co ja właśnie powiedzieć pragnęłam. Wiele osób na takie samo złudzenie choruje. Jak zaczną o kim myśleć, jak zaczną długo w duszy z nim rozmawiać, tak nakoniec są pewni, że on musiał choć cząstkę tego dosłyszeć — ja więc uroiłam sobie, że i pani czem innem się nie zajmuje, tylko tem, czem ja się zajęłam, że inne względy nie przyjdą pod jej uwagę, tylko te, które ja sobie przez czas jakiś pierwej rozważałam. Gdy mi rzuciłaś najpospolitszem z karnawałowego świata zapytaniem, zmieszałam się okropnie, wstyd i żal mię ogarnął.

„Tak jest, śpieszyłam z usprawiedliwieniem: bardzo się męczę — przecież pani musisz to widzieć — jestem w rozpaczy za każdym kręgiem walca, za każdym chassez-croisé kontredansa. Nic nie mam do powiedzenia tym panom, oni także nic mi do posłuchania nie mówią. Nudzą mię, niecierpliwią, nerwy mi drażnią, życie mi kradną, z jedynych chwil przyjemnych tego wieczora mię obdzierają — bardzo się męczę!

„Pani na to, jak doktór w klinice przy amputacji

ręki lub nogi, spokojnie sobie zanotowałaś: że choć się męczę, to jednak „nadzwyczaj wiele tańczę“, odpowiednio niby tej powadze doktorskiej, że chociaż pacjent wiele krwi utraca, to mu jeszcze wiele siły do przetrzymania operacji zostaje.

— Ja zwyczajnie nadzwyczaj wiele tańczę — rzekłam wtedy z użaleniem — hartownie boleść znoszę, bo do niej przywykłam; co się pani nadzwyczajną nowością wydaje, to jest moją torturą codzienną; z czembyś pani godziny jednej wytrzymać nie mogła, z tem ja się wlokę przez wszystkie bale, spacery, wizyty, przez wszystkie moje prace i próżniactwa — wlokę z przymusem nieuchylonym, z niesmakiem, z oburzeniem, z ironją lub głupotą. Wszak prawda, że panibyś z podobnym ciężarem nawet od drzwi do drzwi pokoju przejść nie chciała, a ja muszę dźwigać wszędzie moje brzemię i pierwszy raz dopiero na głośniejszą zbiera mi się skargę.

„Lecz pani tego wszystkiego nie dosłyszała, pani zrozumieć nie mogła, a tancerze nas rozłączyli. W czasie tego rozłączenia wymogłam na sobie stałe, stalsze niż kiedykolwiek w życiu przedsięwzięcie. Niech mury salonu popękają, niech kandelabry zgasną, niech się co chce zrobi, już pewnie drugiej sposobności nie opuszczę i kiedy przy pannie Kazimierze siądę, pierwsza z nią zacznę rozmowę. Wszakże dotrzymałam danego sobie słowa, zebrałam się na wypowiedzenie tego, co mi serce niby żelaznemi kleszczami ściskało.

— „Więc pani tańczy!“ — rzekłam — a to znaczyło: Ja biedna jestem, muszę mamy słuchać, i kiedy na bal zaproszą, jechać koniecznie, jeśli mię głowa do ostateczności nie rozboli; na balu muszę tańczyć, gdyż jeślibym komu odmówiła bez uzasadnionej balowo przyczyny, wprost dlatego, że on mi się nie podoba, lub, że

mnie już taniec znudził, zarazby powiedziano: a jaka dumna! a jaka niegrzeczna! a jak uchybiła panu Pawłowi, a cóż to lepszego pan Piotr, że z nim tańczyła mazura? Pewnie się kocha w panu Gawle, kiedy aż dwa razy do walca jego rękę przyjęła. Powiedzianoby co gorszego może i zatrułoby to spokój nasz rodzinny. Matkaby się rozchorowała, Djonizy musiałby kogo na pojedynek wyzywać, jabym dobre imię i wszelką szczęścia nadzieję straciła. Takby to ze mną się działo. Ale pani wśród innych stawiona warunków; pani, co niczego nie żądasz od świata, boś już wszystko najlepsze od Pana Boga dostała; pani, co i owszem światu przynosisz łaski, za które on się tobie wysługiwać i przymilać powinien — pani masz prawo zupełne być lub nie być na balu; a gdy na balu jesteś, gdy się chcesz przyjrzeć temu wirowi próżni i hałasu, masz prawo nie tańczyć, jeśli tancerzy lub tańca nie lubisz.

Skąd ma się rozumieć drugie powstało pytanie. Kiedy mi pani rzekła: „och! tańczę!“ ja znowu zagadnęłam: „więc pani lubi tańczyć“, a według moich intencyj to miało się wykładać:

— Więc pani lubi gwar, szum, ruch, światła, muzykę — lubi pani to artystyczne odurzenie zmysłów, rozkołysanie fantazji, zagłuszenie myśli dręczących?... Ja także w ten sposób lubię bardzo tańce i bale... A może który z tancerzy większe zrobił wrażenie? może się pani spotkała z jakiem ślicznem portretowem obliczem, z jaką muzeową postacią, z dźwiękiem głosu, który jej się podobał, z układem ruchów, który ją zachwycił? Więc pani lubi dziś tańczyć, bo się nie lęka, żeby ją zaraz pomówiono o kokieterję, o jakieś małżeńskie zamiary, i zresztą nie lęka się tych zamiarów w swoim pięknym partnerze wzbudzić; względy pani przyjęte zostały pod tą samą

wagą, pod jaką pani z serca lub wyobraźni je wyda; na żadnej szalce, pod żadnem okiem nie zaciężą miljony!...

Ten cały monolog wewnętrzny pani krótkiem tylko odtrąciła potwierdzeniem: „Bardzo lubię tańczyć!“ Cha! prawda — pomyślałam sobie — taka młoda, powabna, szczęśliwa, czemużby nie lubiła tańczyć, z całą swobodą właściwą jej wiekowi, z całą radością spokojnej duszy i wolnego serca; tańczyć dla użycia i zabawy, nie dla artystycznych wrażeń i odurzenia. Szkoda jednak, że tak błogie usposobienie mojemu na ten raz usposobieniu zupełnie nie odpowiada. Kto wie, czy gdy jej wspomnę o moich nędzach jobowych, o nurach, wstrętach, zachceniach, kto wie, czy mię zrozumie? A oprócz tego jak we dwie będziemy tańczyły, każda na swoją stronę, to możemy już nigdy przy sobie nie usiąść — i zawołam — „Szkoda“ a pani złośliwie wypaczyła to słówko i usprawiedliwiała się niby, że są inne, które niezgrabniej od niej tańczą. Dzięki Bogu! ów jeden fałszywy wniosek przynajmniej na miejscu zaraz ubić podążyłam; zdawało mi się, że długi odsyłacz nawet do poprzedniego wykrzyknika przydaję, bo powiedziałam jednem tchnieniem — jabym wolała, żeby pani nie tańczyła wcale — to jest: wolałabym spotkać panią w chwili poważniejszej jej życia, rozmówić się z nią długo i szczerze, dowiedzieć od niej, jaki ma talizman na siłę bez walki, na uznanie bez potwarzy, na łaskę Bożą bez prawa światowego? Wolałabym jeszcze, żeby pani ciągle w jednem miejscu siedziała, żeby jej się chciało zaczekać na mnie, bo ja muszę wstać, gdy smyczki znać dadzą, muszę odejść, gdy mię pierwszy lepszy z tych panów zawoła; lecz pani takby łatwo było przecież jeden kontredans lub walc poświęcić, darować mi choćby na jałmużnę to za-

spokojenie, że kiedy wrócę, znów panią w dawnem miejscu zastanę.

Jeśli słowa moje nie miały akcentu najserdeczniejszej prośby, to chyba nie moja wina. Zdawało mi się wtedy, że je wymówiłam zupełnie żebraczym tonem i że pani na ich znaczeniu oszukać się nie powinnaś. Taki wyskok odwagi uzuchwalił mię prawie: zwykle tego doświadczam, gdy już pierwszy krok śmiało postawię; drugi i trzeci jeszcze prędzej, łatwiej mi idzie, aż wreszcie, jak gdybym ze spadzistej góry norweskiej na łyżwach się spuszczała, jeśli o drąg w poprzek ciśnięty nie zahaczę, to pewnie sama się nie wstrzymam. Szczęściem czy nieszczęściem, w poprzek ścieżek mego życia tyle grubych belek leży!... W ów pamiętny wieczór jednak kilka z nich bardzo zręcznie przeskoczyłam; to też zachciało się i więcej. Niedość mi było gdziekolwiek znowu ujrzeć panią przy sobie; już myślałam, jakby to na dłuższą gawędkę wygodne znaleźć miejsce, jak dla nas obydwóch pośród ciżby samotność wyszachrować. Gdybym pani opowiedziała, ile kocich i lisich użyłam podstępów, ile strategicznych zwrotów i odwrotów wykonałam, żeby się dostać aż na tę ławeczkę daleką, na której pani usiadła; gdybym się przyznała do wszystkich intryg, kombinacyj, przebiegów moich... ale nie chcę zbyt pochlebnego dać o sobie wyobrażenia i zbyt też nizko w opinji pani stanąć nie chcę; gotowabyś mię pani o genjusz Napoleoński, lub o dyplomatyczność Meternichowską posądzić; wyrzekam się zaszczytu i upokorzenia; wystarcza mi to wspomnienie, że zdobyłam sobie upatrzone miejsce, zdobyłam chwilę do pogadanki stosowniejszą. Trzeba się było śpieszyć z jej użyciem; ja też bez ogródki, bez parafrazy, bez przedmowy żadnej w główny temat uderzyłam. Przedewszystkiem o to mi chodziło, żeby smu-

tne różnice naszego wzajemnego położenia stanowczym konturem oznaczyć. Biedna nietrafna! zamiast siebie najpierw dać poznać, zaczęłam od tego, co mi już w pani było znanem; niespodziewanie przez nią rzucone pytanie wysadziło mię trochę z kolei, drugostronnie jednak pomogło do szybszego biegu; tak się zapędziłam, iż pomijając przygotowawcze objaśnienia, postronne szczegóły, oparłam się jednym rzutem o końcowy, najważniejszy dla mnie szczegół, o kwestję odwagi przeciw towarzyskiemu szyderstwu.

— Ludzie żartują z kobiet uczonych, a jednak pani się uczy i wcale jakoś ludziom nie zawadza. Mnie, przy każdej chęci gruntowniejszego zgłębienia rozpierzchłych i bezwładnych wiadomostek, któremi nie wiedzieć poco karmiono mię w dzieciństwie, przy każdem dziele trochę poważniejszej treści, przy każdym nieomal kajecie z wypisami straszono zaraz parą granatowych pończoch, komedją Moliera i rutką, co ją będę do późnego wieku siała; pani, przeciwnie, stanęłaś przy nauce, jak przy dziedzicznem prawie swojem — „nie lękam się śmieszności!“ Ach! powiedz mi, jakim to cudem wyrobić w sobie można; wskaż mi zaklęcie, powierz tajemnicę, która cię tak silną i swobodną wobec całego świata czyni! Chcesz wstać, to wstajesz, chcesz się przejść, to bierzesz panią Felicję pod rękę i przechadzasz dowoli, chcesz tańczyć, tańczysz; nie chcesz tańczyć, odmawiasz; podoba ci się czyja rozmowa, to ją przedłużasz na godziny, a nikt się nie dziwi; podoba się jaki mężczyzna, to go raz i drugi w mazurze wybierasz, a nikt stąd żadnych wniosków nie ciągnie; przypatrujesz się pięknemu obrazowi, lub rzeźbie znakomitej, nigdy sobie zegarkiem czasu nie mierzysz, wolno ci patrzeć „zadługo“, wolno o całem gronie współpatrzących zapomnieć, słuchasz muzyki, nie

potrzebujesz czuwać nad sobą, żeby cię mimowolne wrażenie z granic otaczającego świata nie uniosło; jestem pewna, że płaczesz, śmiejesz się, w ręce klaszczesz według pobieżnej chwili natchnienia. Powiedz, ach! powiedz mi, pani, jakim sposobem nie dbasz o to, że na ciebie cudze oczy są zwrócone, że mogą cię nie zrozumieć, oczernić, wyśmiać — powiedz mi pani!

I pani mi powiedziała — odrazu wszystko sobie wytłumaczyłam. — Cudem, odwagą, zaklęciem, tajemnicą, sposobem jest to poprostu, że się pani „taką urodziła". Może inną myśl prócz tego owinęłaś w swoje wyrazy, lecz ja tej jednej dosłyszałam: „Pani się taką urodziła" — bez łańcuchów na nogach, bez taczki miljonami wyładowanej!

— Pani bardzo szczęśliwa! — zawołałam wtedy — i zdawało mi się, że mię zrozumiesz, a zrozumiesz tem łatwiej, gdy jako dopełnienie słów moich ukazał się nowy tancerz, bez litości nas rozłączający. Och! bo ja, to wcale szczęśliwą nie jestem! Grzeczność obłudna, lub czujna zawiść ścigają mię wszędzie, wyszukują, choćbym się przed niemi pod ziemię schowała. Gdzie stąpię, zawsze ktoś patrzy, co przemówię, zawsze ktoś powtórzyć i przekręcić gotowy; ani pochwały, ani nagany nie przebaczają mi nigdy; muszę pilnować moich wrażeń, muszę całe życie moje rozdzielać na to „co wypada i na to co nie wypada". Taką się urodziłam, taką matka być mi kazała, taką Pan Bóg mię stworzył.

Według mego przekonania, smutna sprzeczność naszych losów zbyt wyraźnie na jaw biła, żebyś jej pani, zwłaszcza w tem zdarzeniu, jednym rzutem oka nie objęła. Poszłam więc tańczyć, nie udało mi się powtórnej zabezpieczyć sobie rozmowy, ale pewność już miałam zupełną, że byle trochę dobrej chęci ze strony pani, z mojej

zaś byle dużo usiłowań i zabiegów, to przy pomocy Opatrzności spotkamy się znowu i może... może... bardzo kochać zaczniemy.

Na jak długo w tej przenajświętszej nadziei spoczęłam, pani wie. Już trzeciego dnia zaraz wróciły do mnie jej opaczne sądy, z właściwemi i niewłaściwemi przydatkami pomieszane. Cóż pani myśli, czy się bardzo obraziłam? czy rozgniewałam? czy mię takie zniechęcenie do pani, jak do innych ludzi ogarnęło? Bynajmniej — uznałam, że pani ma słuszność; rozgniewałam się, ale na siebie tylko. Znalazło się wiele osób, co z tej ploteczki chciały sprawę kompromisową ukuć, stawały w mojej obronie, unosiły się nad moim rozsądkiem, tarczą wszystkich oklepanych mądrostek zasłaniały przed pociskami głowę moją; a ja czułam jedynie, że to są nieznośne stworzenia, że musi starożytne jakieś fatum ciążyć na mojem przeznaczeniu, kiedyć mogłam stać się powodem, że i panią z jej cichego raju przed trybunał koteryjnej opinji wywleczono. Chciałam natychmiast pisać, uniewinniać się, wytłumaczyć. Jak sobie wyobraziłam panią przy czytaniu mego listu, z szeroko rozwartemi oczyma, z zadziwieniem w każdym nerwie twarzy, z ustami pełnemi odciętych wykrzykników: „a to co znaczy? skąd jej się wzięło? czego chce odemnie ta miljonerka?“ Jak wywnioskowałam same wszystkie możliwe dla pani wówczas wnioski, jak podsłuchałam wszystkich jej z panią Felicją dzielonych przypuszczeń— tak mi ręce opadły i nie śmiałam nawet pióra w kałamarzu umoczyć. Czułam to, że im więcej czasu na podobnych wahaniach tracę, tem śmieszniejszem wydać się może zbyt opóźnione usprawiedliwienie. Prawiłam sobie zachęcające morały, łajałam się surowiej, niż mnie ktokolwiek, kiedykolwiek w dzieciństwie mojem wyła-

jał, szydziłam z siebie niemiłosierniej, niż panie obie szydzićby potrafiły; wszystko to na nic się nie zdało. Jako pociechy ostatniej i ratunku ostatniego uczepiłam się wreszcie tej myśli, że przed wyjazdem z Warszawy niezawodnie raz jeszcze panią zobaczę. Była to myśl idealnie piękna — żyłam nią cały miesiąc.

Jedno z drugiem policzywszy, nie mam się o co skarżyć — trochę cierpiałam, trochę się niepokoiłam, ale nigdy mi jeszcze tak długi przeciąg czasu tylu „zewnętrznemi“ wrażeniami się nie upamiętnił. Drobniutkie sprawy potocznego życia ozłociły się, wyszlachetniały blaskiem moich nadziei. Kiedy się gdzie z matką wybierałam, a mogłam przypuścić tylko, że nasza znajoma jest także pani Felicji znajomą, zaraz, co pierwej nie zdarzało się wcale, przyśpieszałam chwilę wyjazdu, niecierpliwiłam się przy ubieraniu; zajechawszy, oczekiwałam w trwogach i radościach, czy przyjętemi będziemy? z drżącem sercem na schody wstępowałam — a gdy pierwszy rzut oka po zgromadzonem towarzystwie przekonywał mię o płonności tych wszystkich życzeń i strachów, tak głęboko czułam gorycz mego zawodu, jak gdybym nie własne urojenie, lecz pewność należnego mi szczęścia posiadała. Jednak, w czasie naszej bytności pani mogła przyjść jeszcze. Otóż nieprzebrane źródło nowych oczekiwań, nowych arabesków na jednostajnie popielatem tle grzecznej wizyty. Po raz pierwszy zrozumiałam tajemną symbolikę drzwi pokojowych; ja co dawniej byłabym przysięgła, że są tylko do otwierania i zamykania w ścianach osadzone, gdy wypatrzyłam na nie tyle uczuć najsprzeczniejszych, pojęłam dopiero, co to za wyborny hieroglif owej wiecznie przed wzrokiem śmiertelników utajonej przyszłości. Jakież to zmiany, jakie katastrofy, jakie niespodzianki

i uciechy od jednego rozwarcia podwojów zawisły! Bukiety, srebrne tace z cukrami, trumny aksamitem obijane, wrogi, przyjaciele, nudziarze, sławni ludzie, testamenta, główne losy na loterji wygrane — wszystko to nam się może z za owych desek biało pomalowanych ukazać... A poruszenie klamki! ludzie tak wiele rozprawiają o muzyce, o majorowych i minorowych tonach: niechże mi najbieglejszy artysta dobierze z taką siłą na nerwy działającego akordu, z jaką na mnie działało wtedy ciche skrzypnięcie lekko poruszonej klamki. Przyznam się też pod sekretem, że od owego czasu generał-bas i kontrapunkt straciły dla mnie powagę swej nieomylności; urok harmonji nie leży w wibracji warstw powietrznych, tylko w zadrgnieniu naszej duszy. Komuż danem jest przewidzieć, od czego dusza mu zadrgnie? Przestałam już nawet dzwoneczkom chińskim i hałaśliwemu tam-tam urągać — nie mam prawa się dziwić tym, których śpiew panny Aurelji zachwyca. Lecz skąd-że mi na myśl panna Aurelja wpadła? Pani jej nie zna, może i nie słyszała, że to młoda osoba, co ma w swoich wielkich czarnych oczach najpiękniejsze i najwyższe sopranowe tony. Skądże się ona wzięła tutaj pod dziobkiem mego pióra? ach! przypominam sobie — jej matka podobne z panią Felicją nazwisko nosi. Raz, u pani Michaliny, kiedy służący oświadczył jej godność, przesłyszałam się i byłam najpewniejszą, że mi się pani obok swej przyjaciółki ukaże— w tem panna Aurelja się ukazała — od tej chwili cierpieć jej nie mogę, tem bardziej, że chyba na złość całą wizytę swoją prześpiewała w najgłośniejszych ruladach, a mnie właśnie tak było tęskno!... tak smutno!... Gdybym panią była zobaczyła, może pani się zdaje, że byłabym pobiegła do niej z wyciągniętemi na szczery uścisk rękoma, że co prędzej opowiedziałabym prawdziwą hi-

storję wzajemnych mistyfikacyj, że obiedwie uśmiałybyśmy się z niej serdecznie i na wiek wieków pogodziły z sobą?... Mnie samej przecież ciągle się zdawało, iż być inaczej nie może: tego pragnęłam, tego chciałam koniecznie... A jednak... ręczyć nie śmiem, coby się stało ze mną, gdybym panią była kiedy naprawdę spotkała. Niechby pani stanęła przy mnie ze swojem trochę dziwiącem się, trochę badawczem spojrzeniem, jużby mi wszystko pomieszało się w głowie. Najpewniej ukłoniłabym się bardzo grzecznie — och! ja dla każdego i zawsze, prawdziwie przez sen, jak mówi pani Felicja, grzeczną być potrafię — ukłoniłabym się więc bardzo grzecznie, zagadałabym o pogodzie, lub o tym balu nieszczęsnym, że na nim było dużo osób i strasznie gorąco; możebym coś wspomniała o nowej operze — lecz zresztą wszystkie przygotowawcze zwierzenia, jak pigułki zbyt wielkie, w gardleby mi uwięzły...

Taką to ja się urodziłam, widzi pani: chorobliwie nieśmiałą, febrycznie drżącą pod cieniem śmieszności, kamiennie sztywną na byle pozór jakiego dziwactwa z mej strony, lub jakiejś niechęci ze strony bliższych mi osób. Może pani temu nie wierzy? trudno zrozumieć podobno usposobienie młodej osoby, w którejby właśnie wszystkie zewnętrzne życia warunki raczej zbyt wielką odwagę, niż lękliwość towarzyską rozwinąć powinny. Piękna (tak ludzie głoszą), bogata, starannie wychowana, jeżeli w sercu złych nie ma skłonności, czegóż się sąsiadów światowych obawia? Jak tam sobie drugie w mojem położeniu radzą, czy próżnością, czy pokorą się wspierają? — nie pytam! — Co do mnie, to jest pewnem i niezawodnem, że wszystkie wyliczone, niby ośmielające pomoce, są mi właśnie największą do szczęścia przeszkodą.

Piękna — to pierwsze utrapienie moje. Juścić nie zadeklamuję patetycznie, że piękną byćbym nie chciała — i owszem, lubię się w lustrze przeglądać; nie gniewa mię to wcale, że zamiast jakich kałmuckich rysów, zamiast czerwonej piwonji, lub zżółkłego pergaminu, widzę pociągły owal twarzy, duże oczy z długiemi rzęsami i płeć do listka białej kamelji podobną. A nie gorszy się pani mojem samochwalstwem? Dlaczegóżbyś gorszyć się miała? piszę tak szczerze, jak szczerze grzechy moje przy konfesjonale spowiadam; w żadne welony duszy mej obwijać nie myślę; wiem prócz tego, że i pani się podobałam... na nieszczęście, z piękności tylko! Przezwałaś mię Białą Różą-Augustą i to przezwisko bardzo mi do gustu trafiło, może nawet męstwa dodało. Kiedy wyjechałam na wieś, kiedy mi doniesiono, że i pani także w swoje pół-litewskie wyjechała bory, mimowolnie cierpkość przez jej zarzuty wywołana, choć tylko w zwrotnym na siebie kierunku (muszę koniecznie raz jeszcze przypomnieć), jednak ta cierpkość wywołana złagodniała powoli; nad innemi wspomnieniami tylko mi „Biała Róża“ wdzięcznie zakwitnęła. Wiejska cisza, pomyślałam sobie, wygładza mnóstwo miejskich chropowatości; jak mój list przyjmie opatowski i suwałkowski stempel pocztowy, zaraz milszym będzie gościem; jak go w samotności panna Kazimiera odbierze, to pewnie pierwej o Białej Róży, niż o miljonowej dziedziczce pomyśli i serce do łaskawszego przeczytania usposobi. Biała Róża musi to jeszcze wyszeptać, że i przed poznaniem panny Kazimiery liczyła na takie podkradzione piękną twarzyczką współczucie, umyślnie sobie ku tej czci dobrała balowego stroju, który o tyle przynajmniej do greckiego miał się zbliżać, o ile na to moda pozwalała, a trybunał najwyższej powagi przez usta matki i pani Seydel nie wzbra-

niał. Mój Boże! i to się nie na wiele zdało!... sprawiedliwości pani przekupić nie mogłam!... tylko zmiękczenia jej nadzieja w nieobecności podburzających wpływów, w oddaleniu mojem własnem została. Siadłam nakoniec przed stolikiem; wydobyłam jedną ćwiartkę papieru, potem druga już gęściej się zapisała; potem trzecia... na której skończę? ani się domyślam sama; wszakże mówiłam pani, jaka to ze mnie bohaterka, kiedy się już raz z bojaźni wyzwolę — teraz wróćmy do rzeczy.

Powiedziałam, że piękność jest także w liczbie moich utrapień: łatwo tego dowiodę. Gdyby można być piękną dla tych jedynie, którym się chcemy podobać i dla własnej artystycznej przyjemności, miałabym za co Bogu przy każdym pacierzu dziękować; ale być piękną dla wszystkich, to niech mi pani wierzy, najnudniejsza w świecie historja, po sportmańskich żartach mego brata, po koncertach panny Aurelji i po sławnej podróży do Hiszpanji, w którą nas, od czasu jak zapamiętać mogę, ze dwa razy na tydzień wywozi stryjeczna bratowa mego ojca, przed trzydziestoma laty bardzo dowcipna osoba. Najpierw trzeba pani wiedzieć, że w tym świecie wielkim, jak go zowią, a rzeczywiście malutkim i dusznym, uznana piękność przechodzi poczęści na jakąś własność ogólną, niby obrazek w galerji drezdeńskiej — gorzej nawet — galerja drezdeńska bywa przynajmniej w pewnych dniach zamkniętą, jej malowidła wypoczywają po różnogatunkowych spojrzeniach publiczności; rozgłośna, żywa piękność nie ma tej rekreacji; gdzie się obróci, tam zawsze musi spotkać czworo lub sześcioro źrenic, to wytrzeszczonych, to mdławych, to zwróconych, to osłupiałych, to szklanych i nieruchomych, jak w woskowej figurze. Niech-że pani teraz przypuści, że biedna piękność ma nerwy: chociażby grubsze od po-

stronków były, jeszcze takie patrzenie musi ją fizycznie drażnić. Starożytne dzieje piszą o mieczu nad głową Damoklesa wiszącym — jabym tylko przed nim na kilka dni ciągle w twarz jego patrzące oczy zawiesiła; ciekawa jestem, czyby spazmów nie dostał; a dopieroż ze spazmatycznem rozstrojeniem moralną połączyć niecierpliwość!... Dlaczego mi się ludzie przyglądają?... Pani sądzi, że dla miłego wrażenia, jakie na człowieku każdy piękny twór Boży czyni, albo dlatego, że który zakochać się gotów? Ni to, ni tamto. Już bardzo wykształconym być trzeba, żeby piękność piękne na nas wrażenie czyniła: jak najdowodniej wyczytuję to z różnych ścigających mię oczu. Jeden patrzy, żeby się pochwalić przed drugimi: „Widziałem tę okrzyczaną Augustę" — jeśli sam jest pod jakimkolwiek względem okrzyczany, to mówi: „Okrzyczaną *Gucię* widziałem" i następuje pochwała hippodromowa, często nawet od stu nagan gorsza. Inny znów patrzy, wiedziony jedynie owczą ciekawością; gdyby zawołano, że nietoperz po sali lata, patrzyłby jeszcze ciekawiej. Są tacy, którzy czują się w prawie okazania życzliwego uwielbienia. Każdy z nich, gdyby miał serce pod żebrami, toby przecież nie dlatego kochał jakąś kobietę, że jest piękna, ale dlatego, że jest ta jedyna, którą kochać może. Nie sposób, żebym ja właśnie tą „jedyną" dla trzydziestu być miała; w opatrznych rozporządzeniach uczuć i przeznaczeń ludzkich tak niesprawiedliwej, tak niemoralnej omyłki Pan Bóg nie popełnił; dwudziestu dziewięciu zatem udaje, lub się durzy najwyraźniej, że mi zaś wszyscy jedni do drugich zanadto są podobni, więc przypuszczam, że i ten trzydziesty udaje także, a trzydziestego pierwszego, coby nie udawał przedemną, lub przed sobą... jeszcze nie spotkałam dotychczas.

Osądź więc pani, co mi przyszło z mojej greckiej piękności. Narobiło się koło mnie trochę więcej zgiełku, kiedy ja właśnie ciszę ustronną przekładam; zaproszono mię na kilka balów więcej, jako ozdobę i przynętę dla drugich; wydarto mi chwilę niejedną, którą chciałam stokroć lepiej i przyjemniej spędzić. Nie liczę już rozmowy naszej przerywanej, gdyż pani sama lepiej się domyśli, jaką to krociową sumę w regestrze krzywd moich zapisałam; ale proszę sobie wyobrazić inne drobniejsze straty moje. Mnieby teraz naprzykład przyjemnie było słuchać, co pan Antoni opowiada — tymczasem za mojem krzesłem pochyla się pan Symforjan i stłumionym głosem powtarza mi wielką tajemnicę, że wczoraj u hrabstwa tych lub owych bardzo dużo osób się zebrało; jabym się wybornie ubawiła dowcipem pana Alojzego, chciałabym pana Adolfa więcej szczegółowo o jego podróż przeszłoroczną wypytywać — właśnie też! — stają rzędem panowie Józefy, Aleksandry, Remigjusze, plotą po francusku niestworzone androny i myślą, że im za takie czasu mego złodziejstwo wdzięczną być jeszcze powinnam, ja, co tak skąpię każdej minuty życia — bo trzeba mi się i do tego dziwactwa przyznać, lata całe marnuję — lecz mimo to skąpą jestem; zazwyczaj jedna po drugiej wypełniają mi się jakąś maluteczką, ale i nie maluteczką przykrością; nie mogę bezwiednie ich tracić; każdą z nich oszacowywam na wartość jaką ma, a jaką miećbym dla niej chciała. Dajmy na to, iż obecnie tylko mię trzewik zbyt ciasny uwiera — wszak prawda, jaki to pyłek, jaki atom niedojrzany w biografji ludzkiej? a przecież ową chwilę, którą skrzywieniu i niemiłej fizycznej boleści oddaję, mogłabym upamiętnić sobie przelotem wzniosłej myśli, spojrzeniem na twarz przychylną, dźwiękiem takiego słowa, które usłyszeć pragnę — nie

ciasny więc trzewik mi dokucza, ale pominięta sposobność; nie mojej nogi żałuję, ale żałuję owej myśli, owego spojrzenia, owego dźwięku, owych wszystkich uciech, któremi przykre wrażenie zastąpićbym pragnęła — stąd moje skąpstwo na chwile i minuty. Ludzie w salonach nie domyślają się nawet takiej fatalnej skłonności; według ich zdania, piękna jestem, więc z obowiązku oglądaną i nudzoną być muszę. Och! gdyby młode, przystojne tylko panienki mogły pojąć, jak wielkich używają przywilejów, jaka swoboda im zapewniona przy każdem przejściu ulicy, na każdem widowisku teatralnem i na każdym balu, ile godzin zyskują w ciągu całej swojej młodości, ile ich biorą pod dowolne rozporządzenie dla ukochanych i upodobanych swoich — doprawdy, żadna nigdy piękności drugiej nie zazdrościłaby kobiecie, a jednak zdarza się, że i ta kropelka żółci do szklanki octu wsączoną nieraz bywa!...

Takie są moje zyski z pierwszego daru losu, z piękności. Prócz piękności, mam jeszcze posag miljonowy, jestem bogata! — zobaczy pani, jakiem dla mnie szczęściem bogactwo.

Sukien pełne szafy, branzoletek, pierścionków, spinek kosztownych pełne pudełka, koronek i batystów szuflady komód pełne. Pani się zdaje teraz, że Djogenesową zacznę udawać obojętność. Nie — ja wcale strojami nie gardzę — wielką znajduję przyjemność w doborze odpowiedniej chwilowemu zachceniu tualety, mam nawet bardzo urozmaicone pod tym względem fantazje. Są dni, w których przepadam za zielonym kolorem, są godziny, w którychbym czarnej sukni na prośby niczyje nie zdjęła. Są niedziele, w których biało tylko ubraną być mogę. Mniejwięcej zimą lubię jaskrawsze barwy, latem ciemniejsze lub bledsze; jak się raz jednak z wszyst-

kiemi fantazjami arytmetycznie porachowałam, okazało się, że od zielonych do dzikich mogłabym bardzo łatwo dwunastoma sukniami zadość im uczynić — tak się też składa, że przewyżka zazwyczaj leży sobie spokojnie, a dopiero gdy z mody wyjdzie, matka dla niej dalszą przyszłość obmyśla. Co do świecideł złotych i kamiennych, nie wiem dlaczego znieść ich na sobie nie mogę. Czasem lubię się bawić klejnocikami, jak za błogosławionej pamięci mojej niańki ukradkiem w piasku bawić się lubiłam; ale niech tylko do czoła, do uszu, do ręki przymierzę, natychmiast wstręt mię ogarnia, bo sobie przypominam różne w jakiejś książce przed laty oglądane hindostańskie bałwanki. Mam tylko pewien pierścionek z opalem i z djamencikiem szpileczkę, które mi nie zawadzają wcale; pierścionek dostałam od ojca, szpileczkę wybrała mi swoim gustem Urszulka, jedyna poczciwa dusza, co mię poczciwie kochała; napiszę o niej w dalszym ciągu listu, teraz jeszcze muszę sumienny bilans między majątkiem a przyjemnościami życia mojego ułożyć. Już pani widziała, że pod względem wszelkich domowych ruchomości bez trzech czwartych obeszłabym się wygodnie, cała resztująca masa jest dla mnie jakoby nie była; na użycie zostaje mi czczy tytuł właścicielki; a kiedy mówię, że czczy i próżny zupełnie, to dlatego, bo mi nie nadaje praw kodeksem napoleońskim zawarowanych. Nad własnością moją ja nie mam władzy żadnej; nie mogę jej za okno wyrzucić, nie mogę tak jak mi się podoba nią rozporządzić. Chociaż jestem pełnoletnią według urzędowych przepisów, zawsze jednak to wszystko, co niby moje, do matki rzeczywiście należy. Jeszcze nigdy w życiu mem nieośmieliłam się matce przełożyć, że to, czego wszyscy pragną, mnie jest zupełnie niepotrzebnem, a to, co chwalą i cenią, mieć się podoba. Do in-

nych zewnętrznych korzyści bogactwa trzeba dodać, że zwykle jeżdżę koczem lub karetą, choć nadzwyczaj lubię piesze, tak na wsi, jak w mieście wycieczki; czasem koniecznie chciałoby mi się w błocie pochlapać; co jabym miała śmiechu i zabawy! aż mię zazdrość bierze, gdy patrzę na uniesione sukienki, na opatrzone kaloszami nóżki; zdaje mi się, żebym tak daleko, tak prędko biegła... a innym się zdaje, żeby tak wygodnie w turkoczącej siedziały karecie; pono tam jakieś mądre łacińskie przysłowie: de gustibus, mówi, non est... nie wiem czy dysputando, czy dysputandum; pani przyzwoitego zakończenia dobierze, nawet pozwalam się z mej łaciny i z gustu mego uśmiechnąć. Nie bronię go przecież, szlachetnym nie nazywam, w jedenaste przykazanie nikomu nie zapisuję; ale wyszczególniam dlatego, by dowodniej przekonać panią, jak mi jest osobiście mało przydatnem bogactwo, które, przeciwnie, tylu już zmartwień moich stało się powodem. Toć ono mi serce i myśl zatruło zwątpieniem, wysuszyło obojętnością, zbrukało podejrzliwością. Każde grzeczne słówko brzęczy mi w uchu, jak odbite echo posagowych dukatów, na każdej prawie twarzy uśmiechniętego młodziana leży, jakby wypisał: „Chcę się z panią ożenić, bo to będzie przepyszny interes“ — a są znów inne twarze, nieczęsto wprawdzie spotykane, lecz na swój sposób śmieszne i puszyste, któreby się zapłakały, gdyby mi spojrzeniem lub umyślnem zaniedbaniem nie wyraziły, że mię dlatego unikają, bo miljonową jestem dziedziczką. Niech pani sama powie, czy to nie smutno, nie gorzko w moim wieku, z mojem poczuciem własnej godności, być przeważaną, lub niedoważaną, na wagę złota, srebra, miedzi i listów zastawnych! Alboż to ja nie warta jestem, żeby mię szczerze ukochać miłością, lub uszanować przyjaźnią życzliwą? Czyż

Nemrodom posagowym się zdaje, że w ślubnym kontrakcie przed Bogiem nie zażądam prawdziwego uczucia, wyższego nad moje własne ukształcenie, i tych cnót, tych zasad do życia wcielonych, których spełnienie i zastosowanie jest pierwszą duszy mojej potrzebą? Czyż mniemają, że tylko hypoteki na dobrach ziemskich wymagać będę dla wniesionej w dom męża sumy, a nigdy się o podział słowa Chrystusowego, wiary Chrystusowej, błogosławieństw i praw Chrystusowych nie dopomnę?... Szaleni i nikczemni...

A ci drudzy znowu, co oni sobie myślą? jakaż to dla nich wielkość, jakiż zaszczyt wysoki, że pominą kobietę, która może całą dążnością swoich myśli i przekonań na względy ich zasługuje — że opuszczą bez wsparcia serce bliźnie, które może niejednem dobrem wywdzięczyłoby się uczuciem! Ot, wszystko w kółko, wszystko z tegoż samego źródła zepsutego bije; tylko tam próżność próżności, a tu pycha pychy. Lecz ja może niepodobnych wymagam rzeczy; widzę wszędzie ludzi majątkowi hołdujących i spotykam kilka wyjątków, co znowu tak przesadnie majętnych jak grzechu się strzegą, tak ostrożnie z nimi jak z ogniem postępują. Według mego zdania, powinni być jeszcze ludzie trzeciego gatunku. Sumienni, niezależni w stosunkach swoich ani od cudzej nędzy, ani od bogactwa cudzego; ludzie religijnej sprawiedliwości, czystych intencyj, którzyby sobie śmiało powiedzieć mogli: „Ja od panny Augusty nie chcę ani pożyczyć, ani dostać pieniędzy; widzę tylko, że to jest stworzenie na obraz i podobieństwo Boskie, tak jako ja stworzone. Opatrzność razem nas sprowadza, mam więc względem niej równie jak względem innych blisko ścieżki jego życia przechodzących obowiązki; dłużny jej jestem każde dobre słowo i wrażenie, które ona przyjąć odemnie może, a nawza-

jem nie powinienem tracić dobrego słowa i wrażenia, które ja od niej wziąć mam prawo. Wszakże Pan Bóg najsilniej tem ludzkość całą zjednoczył, że zawsze jeden człowiek drugiemu zbawienie ułatwia lub utrudnia, chwilą grzechu lub zasługi do wieczności jego się przyczynia; obojętnością w tej mierze tłumaczyć się nie wolno; obojętność jest sama przez się grzechem; według ustaw najwyższych, człowiek człowiekowi nigdy obojętnym nie bywa: zawsze ten tego, a ten owego może zniecierpliwić lub pocieszyć, zgorszyć lub nauczyć, zabawić lub znudzić. Sztuka życia i prawda życia na tem się opiera, by z każdej osobistości właściwy sobie zysk moralny wyciągnąć; dając czy odbierając jałmużnę duchową, równie się niebem przyszłość nasza zbogaca. Otóż więc pójdę, zaznajomię się z panną Augustą i dla spokojności sumienia przekonam, czego od siebie nawzajem wymagam, czego spodziewać się możemy.

Przyznaj pani sama, że nadzwyczajnych rzeczy nie żądam; upominam się o bardzo prostą sprawiedliwość tylko, lecz upominam tem śmielej, im pewniejszą siebie jestem, że co otrzymam, to zwrócić potrafię; jeśli względność, względność; jeśli szacunek, szacunek; jeśli przyjaźń, przyjaźń; jeśli miłość?... ach! przypuśćmy tę osobliwość, tę niespodziankę, że się we mnie, nie w moich miljonach, zakocha młody człowiek, godny wzajemnego kochania... Stawiam go w najtrudniejszych okolicznościach; rodzina moja nie życzy sobie tego związku, ja mu się zupełnie obojętną wydaję — cóż tedy? ma ustąpić, wyjechać daleko, zapomnieć? Och! bluźnierca! bluźnierca! A toż miłość, to nie lada klejnot ze skarbnicy łask Bożych! Są ludzie, co się zestarzeją, a nigdy nie zdobędą się choćby na jedną chwilę takiego uczucia, w jego pełni i prawdzie najwyższej; jeśli on znalazł, lub zasłużył so-

bie, niechże nie marnuje — niech walczy — nie o damę swych myśli, ja się na bok usuwam — ale niech walczy o wieczność pozyskanego daru, o to uczucie właśnie, co w sercu nosi. Więc dla chciwości, dla dumy, dla byle zdrożnej skłonności swojej człowiek się uniża i trudzi, a dlatego co jest świętem, najlepszem, najszczęśliwszem, dla tego nie miałby znieść kilku niesłusznych potrąceń, wytrwać przez jakiś czas niepowodzenia? Głupiec albo handlarz będzie mi nadskakiwał, będzie grał komedję kłamanego uczucia, żeby mię oszukać potem, a on, co ma siłę własnego serca, potęgę prawdy, on mię nigdy na wzajemność nie wyzwie, z letargu nie obudzi słowem: „kocham ciebie!“ Czyż jemu na myśl nie przyjdzie, że taka duma niedołęstwem, takie zwycięstwo nad sobą przegraną zupełną? Piękna mi chluba, że kto potrafi stłumić w sobie taki popęd szlachetny, wyrzec się takiego natchnienia, oprzeć się aniołowi, co w jego duszę wstępuje; że potrafi z korzeniem wyrwać cudowne trójziele, które się w ogródku jego życia rozwijać niespodzianie zaczyna! Podobnych Herkulesów, Izraelów podobnych jak piasku w morzu i gwiazdek na niebie. Rzeczywisty Herkules Grecji Homerowej hydry tylko i potwory zabijał, Izrael syn Izaaków pokonał Anioła, lecz pokonał dlatego, by mu Anioł błogosławił szczęściem i mocy Bożej błogosławieństwem. Przeciw dobremu w sobie każdy bardzo łatwo na skuteczny opór się zdobędzie. Kiedy przyjdzie za dobrem w sobie bojować, dla dobrego w sobie zdobywać zewnętrzne okoliczności i anielskie błogosławieństwa, dopieroż to prędkie znużenie ogarnia, piórka skrzydeł gorzeją i duch niziutko na ziemię upada. Może mię pani wyłaje, lecz ja żadnej abnegacji za cnotę nie przyjmuję — wyrzeczenia się żadnego dobra nie lubię; inna sprawa złe tępić, ze złego się poprawiać, roztrącać

w sercu pogańskie bożyszcza, czy złote cielce, czy Aspazje modne, inna znów sprawa odsunąć lub nie sięgnąć po to, co mi się według myśli Bożej i praw osobistości mojej przynależy. Prawem szczerze kochającego jest właśnie wywołanie odpowiedniej sobie miłości i zwyciężenie opacznego losu. Kto swoją miłość zwycięży jedynie, ten mi jest równie grzesznym, jak oszust, co ją skłamał. Nie cierpię wszystkich bohaterów ujemności! Gdybym ja pokochała kiedy... No, kto znów słyszał o takich dziwach gadać — przepraszam pokornie i wracam do dziennego porządku.

Chciałam dowiedzieć się od pani, czy nie znasz takich ludzi, którzyby mogli przecież zbliżyć się do mnie towarzysko bez tej pobudki, lub tej przeszkody, że bogatą jestem? Ja w moim wielkim świecie nie znam nikogo dotychczas, prócz mojej Urszulki kochanej, prócz Morysia, a i on więcej przyzwyczajeniem, niż uczuciem się rządzi, prócz pani, chciałam dodać jeszcze, lecz pani także przez miljonowy pryzmat patrzyłaś na owym balu. Jakkolwiek przyznaję, że musiałam nieznośną się wydawać, że moja powierzchowna martwota główną wszystkich nieporozumień przyczyną, jednak pewna jestem, że gdyby pani o mojem bogactwie nie wspominano, Biała Róża, choć sucha jak kreda, byłaby sobie zawsze względniejsze pobłażanie wyjednała. Niechże to panią przekona, co za intraty z owych miljonów ciągnę!

Lecz pani tymczasem dziwi się bezwątpienia, że zapomniałam o najważniejszym i najświętszym przywileju bogactwa, o wspieraniu uboższych braci. Śliczny to jest przywilej; lecz mnie się zdaje, że go nie używam podobno! Zaufany kamerdyner co tydzień dostaje kilka złotych dla przychodzących pod drzwi żebraków. Na składki dobroczynne matka często kilka, czasem i kil-

kadziesiąt dukatów rzuca; ja zaś sama — ja nic dla nieszczęśliwych uczynić nie mogę; tańczyłam parę razy na ich korzyść, to jedyna moja ofiara, do której sumiennie przyznać mi się wolno. Cały aparat powszedniego życia, całe moje otoczenie tak się ustawiło, że prócz żebractwa nie znam nędzy innej. Słyszałam i czytałam o rodzinach bez przytułku, bez chleba i bez zarobku, o ludziach, którym garstki złota brakuje na wydobycie uwięzionego w przymusowej niewiadomości genjuszu, o kobietach, którym opieki tylko i pomocy brakowało, żeby się na drodze poczciwej sławy i cnoty utrzymać — cóż, kiedy owe rodziny, owi ludzie, kobiety owe biedne ani razu nie przyszły do mnie, a ja także pójść szukać ich nie mogłam. Szkoda, zdaje mi się, że umiałabym wspierać, i co więcej znaczy, wspartych przez siebie kochaćbym umiała. Jeśli mi się zdarzy kiedy służącej sukienkę podarować, lub jakiemu wiejskiemu dziecku dać krasną zadzierżkę, nie uwierzy pani, jak mię ich prosta radość do głębi serca raduje. Wiem jednak, że nie z takich prezencików, choćby stokroć kosztowniejszych, nie z podarunków żadnych jałmużna chrześcijańska powstaje; nie o zrobienie przyjemności, ale o prawdziwe zrobienie dobrego w niej chodzi. Musi to być jakieś religijne skupienie ducha naszego, jakaś wdzięczna pokora, jakieś nakształt modlitwy wzruszające uczucie, kiedy nam jest danem nakoniec bliźniemu „dobrodziejstwo“ wyświadczyć. Mam o tem lekkie wyobrażenie, bo już odbyłam próbę maleńką, tylko że nie powtórzyłam od tego czasu, więc mi rozprawiać o wrażeniach dobroczynności wcale nie wypada. Gotowa mię pani jednak o lekkomyślność i niedbałość posądzić. Muszę wyznać, jak to było naprawdę.

Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie dla ukończenia

mojej „edukacji". Ma się rozumieć, brałam lekcje śpiewu, muzyki, malarstwa i angielskiego języka.

Dzięki Bogu, że przez parę lat pierwej uczyłam się wielu innych rzeczy z moją Urszulką, bo gdyby nie to, miałabym dziś pamięć pełną wyrazów, zręczne palce u rąk, kilka piersiowych tonów zadziwiającej siły i giętkości — a myśli własnej, a pojęcia, a zrozumienia prawdy, a tęsknoty przynajmniej ku prawdzie tyle, ile było na początku, gdy ziemia była pusta i gdy ciemności unosiły się nad przepaściami. Lecz to wszystko do trzeciego rozdziału, lub raczej, mówiąc językiem niezupełnie z mody wyszłym, do trzeciego „awantażu" w moim losie należy i pod rubrykę starannego wychowania zapisane być winno. Otóż mówiłam pani, że mieszkaliśmy w Warszawie, że pierwej jeszcze Urszulka przesączyła mi w serce trochę własnych swoich, zawsze poczciwych i zawsze gotowych do urzeczywistnienia się chęci. Ideał dobroczynności zachwycał mię szczególniej. Mogłam wprawdzie przy pierwszej zdarzającej się sposobności iść prosto do matki i o stosowną sumę pieniędzy poprosić. Byłoby to najrozsądniej, najprzyzwoiciej i najkrócej zarazem — ale jak zwykle młoda głowa przewrócona, rozmarzyłam się w jakieś ofiary i poświęcenia osobiste: uparłam się koniecznie, żeby to oddać tylko, czego się sama pozbawię; w tym zaś względzie trzeba mieć jasne zrozumienie mego położenia. Już wspomniałam pani, że mi mnóstwo zbytkownych rzeczy sprawiają — tak samo było i wówczas — sprawiano mi wszystko, ot, wszystko nieomal, co modniarki i kupcy sprawić poradzili; pieniędzy jednak bardzo mało brałam do ręki i trzeba mi było całorocznej oszczędności, żeby sobie dwadzieścia dukatów uzbierać. Dwadzieścia dukatów!... jak zaokrągliłam tą sumkę, myślałam, że oszaleję z radości; codzien-

nie przed zaśnięciem z godzinę sobie rozmaite projekta tworzyłam. Komu dam? na co kto użyje tego datku? ile mu później pierwsza moja zapomoga przyniesie korzyści? Lecz dzień za dniem upływał, dukaty nie wychodziły z mojej kieszeni, choć je zawsze miałam na podorędziu. Pierwszy raz wtedy zrobiłam sobie uwagę, że nie tak łatwo o sposobność do dobrego uczynku. Ludzie nadużywają różnych wyrażeń, dlatego mnóstwo śmiesznych częstokroć drobnostek dobremi uczynkami zowią; w mojem przekonaniu dobry uczynek składał się głównie z dobrego w mojej duszy usposobienia, z dobrych w przyjmującym wrażeń i z dobrych skutków przyjęcia nakoniec. Gdyby moje dukaty poszły na wódkę, lub zabezpieczyły wygodniejsze próżniactwo, choćby też prawdziwemu pod względem majątkowym biedakowi, nie byłyby według mego przeświadczenia „dobrze" użyte; ja zaś chciałam dobrze ich użyć: chciałam i troszczyłam się wielce, bo sposobności ani widać, ani słychać. Przecież nie mogłam zatrzymywać na ulicy tych, którzy mieli smutniejsze i poczciwsze według mego sądu twarze; nie mogłam wpadać do ciasnych izdebek w piwnicach lub na poddaszach i pytać: — „czy tu niema kogo, coby czterystu złp. na poczciwy użytek potrzebował"? Po długich jednak oczekiwaniach, zbiegły się naraz wszystkie wymarzone w mem sercu dobrego uczynku warunki. Jednego dnia latem, pogoda była prześliczna i matka pozwoliła mi, w zwykłej asystencji panny służącej i lokaja, pójść samej sobie jakieś desenie na kanwową robotę wybrać. Kupcowa zajęła się mną bardzo grzecznie, ale w jej twarzy z łatwością niezwykłego roztargnienia dostrzegłam. Od strony sieni, na schodach ogromny ruch panował; raz po raz odbijały się szybkie zbiegających, lub wbiegających tupania, a przed bramą gromadka ciekawych skupiać się

i zwiększać zaczęła. Możebym na to wszystko jeszcze żadnej nie zwróciła uwagi, lecz w tej chwili, gdy rachunek płacić miałam, nadbiega zadyszana panna sklepowa:

— Już sąd zjechał — woła do swojej pani.

— Dzięki Bogu! przynajmniej prędzej trupa zabiorą — odpowiedziała kupcowa.

— Jakiego trupa? co się to stało? — pytam zaciekawiona ich słowami.

— A to u nas na górze powiesił się dziś rano malarz pokojowy — i dalej-że mi opowiadać smutną historję malarza, jak od trzech lat się ożenił, choć jemu samemu chleba brakowało; jak potem z żoną pracowali we dwoje; jak za przybyciem na świat synka, matce zdrowia ubyło, a ojcu roboty; jak się dał Żydom na farbach i obstalunkach oszukiwać; jak zniechęcał się, niedołężniał, i wkońcu, gdy coraz głodniejsza nędza do jego facjatki zaglądać zaczęła, znać obłęd przystąpił do niego i powiesił się z rozpaczy.

— Jego to niema co żałować — mówiła rozsądna kupcowa — sam sobie winien: zawsze był taki nieradny i ślamazarny; ale żona biedaczka, chorowita, z dzieckiem maleńkiem — nie wiem jak sobie da radę. Bo to, na domiar złego, okrutnie jeszcze tego męża kochała. Zawsze jej się zdawało, że niema lepszego człowieka pod słońcem. Ślicznie mi dobry człowiek, co żonę i dziecko w ostatniej potrzebie zostawia, a sam jakby się spać położył. Byłam ja tam dzisiaj, jak tylko hałas o trupa się zrobił; nawet mówić z nieszczęśliwą kobietą niepodobna; ciągle krzyczy albo mdleje — osobliwość, jak go kochała!...

Domyśla się pani, że nie usprawiedliwiałam tej osobliwości przed panią kupcową, tylko wziąwszy pannę służącą, coprędzej pobiegłam na górę. Ten jedyny raz wi-

działam nędzę tak okropną, a taką upozorowaną jeszcze. Rozpaczająca wdowa miała dość porządne ubranie, ściany były czyste i podłoga schludnie zamieciona; zresztą brak wszelkich sprzętów, została jedna tylko kolebka chłopczyny. Jak się później od matki dowiedziałam, i ta już miała raz iść na sprzedaż, ale dziecko przywiązało się do niej; miało już tyle pojęcia, że broniło swojej własności. Kiedy ojciec chciał wynosić, zaczęło krzyczeć i płakać — a ojciec — ten niezaradny ślamazarnik według pani kupcowej, już o sprzedawaniu kołyski nigdy więcej nie pomyślał, tylko pomyślał o śmierci. O Boże, mój Boże! gdybym dniem pierwej była się z nim spotkała! gdyby on mógł był wiedzieć, że się od kilku dni z dwudziestoma dukatami dla wsparcia którego z potrzebujących noszę... gdyby — jedno gdyby, a życie człowieka uratowane, rodzina ocalona, środek dalszej pracy zapewniony. Myślałam, że mi się serce rozgniecie pod ciężarem tego „gdyby"; zdawało mi się, że jestem w dalekim lecz niemniej prostym stosunku winną zgonu tego samobójcy. Jeszcze raz serdeczniej, troskliwiej zajęłam się losem jego wdowy. Lokaja i pannę służącą rozesłałam na skupowanie potrzebniejszych rzeczy; sama zostałam z biedną kobietą i tuliłam dziecię zgłodniałe, a nadzwykłem zbiegowiskiem przestraszone jeszcze. Musiało być pełnem współczucia i ożywczej siły serce moje, kiedy po odejściu cudzych ludzi, przy mnie, na głos mej pociechy, kobieta ciągle pierwej martwa jak kamień, lub gwałtowna jak wściekłość w boleści swojej, zaczęła zwolna opamiętywać się, uspokajać — aż wreszcie suche jej oczy cichemi łzami zapłakały i razem ze mną pomodlić się mogła. Trochę późno dnia tego wróciłam do domu. Matka surowo mnie przyjęła, lecz gdyśmy ze służącą zdarzenie całe opowiedziały, pod wpływem

naszych wrażeń sama się rozrzewniła i żaden z jej strony zarzut mię nie spotkał. Nazajutrz wyszłam znowu, żeby moją biedną wdowę odwiedzić; przyjęła mię tak serdecznie, że widać było, jak się nawet ucieszyć starała. Trzeciego dnia miał być pogrzeb. Nie przyrzekłam, lecz zdawało mi się, że znajdę wolną chwilę, aby z matką i dzieciędem do niepoświęconego grobu zmarłemu towarzyszyć; czułam, jaką to wielką i prawdziwą łaską będzie dla osieroconej rodziny — im surowsze prawa, tym ludziom potrzebniejsze ludzkie miłosierdzie. W oznaczonej godzinie zaczęłam się więc wybierać, kiedy na całą gorliwość moją, na cały mój zapał litosny chłodnem spostrzeżeniem dmuchnięto.

— Jeśli chcesz iść koniecznie — mówiła matka — to ci nie wzbraniam, moja Guciu; proszę cię tylko, zastanów się rozsądnie, na co te wszystkie odwiedziny twojej ubogiej się zdadzą? Że jej wsparcie dałaś, to dobrze; że chciałabyś coś więcej dla niej uczynić, i to mię nie dziwi; ale że teraz codziennie ze służącą po ulicach latasz, że się na dalekie pogrzeby wybierasz — to wszystko sensu nie ma. Wiesz najlepiej, jak ja żadnej przesady nie cierpię. Przesadna dobroczynność jest okropną śmiesznością tylko. Ciekawam coby też powiedziano, gdyby cię kto ze znajomych spotkał daleko za miastem, w towarzystwie takiej pani malarzowej, przy takim konwoju? Jeśliby szkodliwej potwarzy nie ukuł, to pewnie zapisałby cię do jakiego bractwa modnych dobroczynności komedjantek. Rozsądniej daleko zrobisz, jeśli mnie to zostawisz; ręczę ci, że i twoja biedna wdowa więcej na tem skorzysta.

Otóż widzi pani, zrobiłam daleko rozsądniej i moja biedna wdowa istotnie więcej na tem skorzystała, bo matka wzięła do dóbr swoich i uposażyła jakiemś miej-

scem, na jakimś folwarku. Słyszałam, że bardzo jest wdzięczna, że bardzo dobrze jej się powodzi, moich sentymentów nic a nic nie potrzebuje. Od tego czasu wszelkie miłosierne przedsiębiorstwo na rozsądek mojej matki zdaję, a jeśli czasem chęć samodzielności się odezwie, natychmiast brzmią mi w uszach te słowa: Przesada! coby na to powiedzieli! „Bractwo modnych dobroczynności komedjantek“ — i widzę się zakapturzoną po sam czubek nosa, w litościwych przed okiem ludzkiem pielgrzymkach, z woreczkiem pełnym biletów na różne fantowe loterje, z ametystowym różańcem zamiast bransoletki na ręku; a muszę pani powiedzieć, że ametystów nienawidzę. Słowem, uprzytomniają mi się wszelkie możliwe okoliczności miłosierdzia, jako pewien stan, pewien urząd sprawowanego pod dozorem właściwych komitetów, z upoważnienia administracji krajowej, miłosierdzia o bochenku chleba na szalkach stemplowanych, o cudzej kieszeni w zapasie — ja, co chciałam oddawać i kochać... wstyd mi, gdy sobie wspomnę...

Może też z przytoczonego zdarzenia lepiej pani zrozumie kierunek „starannemu wychowaniu“ mojemu nadany. Jak drzwi spiżowe na kardynalnej zawiasie, tak ono, ciężkie i zimne, obracało się ciągle na zasadzie jakiegoś spotęgowanego rozsądku. Uczucia serca, upodobania wyobraźni, religja nawet moja, składać się musiała do stale zakreślonych wymiarów.

Co pani między swoimi rozsądkiem nazywa, nie wiem, przypuszczam tylko, że to coś bardzo pięknego być może; albo śledzenie prawdy, albo odkrycie stycznego punktu między ideałem i rzeczywistością, albo sztuką życia w uczynkach wedle pojęcia doskonałości w duszy złożonego. Może dla pani rozsądek jest silną a zręczną praktyką jej marzeń?... U nas ta władza de-

spotyczna ogranicza się na trzech przeczeniach jedynie. Nie być przesadną, nie być egzaltowaną, nie być romansową, to wszystko razem dopiero znaczy być rozsądną. Lecz ponieważ jest wielkie podobieństwo, że wyrazy: przesadna, egzaltowana, romansowa inaczej są w pani dykcjonarzu wytłumaczone, inaczej znowu wśród nas używane, koniecznie trzeba do nich krótkie przypiski załączyć. Otóż tedy: przesadna odpowiada śmiesznej, częstokroć tylko dla oka ludzkiego odgrywanej roli. Takim przymiotnikiem zwykle oznaczano przy mnie nerwowe laleczki, spazmujące na byle głośniejszy łoskot, łzami zalane o byle rzewniejszą ploteczkę lub powiastkę francuską, w każdym niespodziewanym wypadku przytomnie zemdleć gotową. Do przesady liczyły się jeszcze wszystkie na cienką nutę wymoderowane głosy, wszystkie sznurowane usteczka, wszystkie wzdychające wykrzykniki, przechylane główki, umyślnie z pod sukienek wystawiane nóżki, zbyt często białą rączką odgarniane loki i różne tym podobne, naturze mojej najwstrętniejsze rzeczy. Drugostronnie przesadą uznano także każdy objaw radości, smutku, uwielbienia, każdy ruch szybszy, naglejszy, każde wrażenie znienacka duszę ogarniające. Raz, mój ojciec wrócił z dalekiej podróży; jakem go we drzwiach ujrzała, krzyknęłam głośno, zerwałam się coprędzej, a że mi zbyt wysoko było do szyi ojca sięgać, więc nogi jego z hałaśliwą, niepomiarkowaną, dziecinną namiętnością ściskać i całować zaczęłam.

— Poczciwa moja dziewczyna! — rzekł ojciec.

— Lękam się tylko, żeby nie była przesadną — odpowiedziała matka, a mnie już nieraz przedtem zdarzyło się uważać, kogo to ona przesadnym nazywała. Kiedy na moje serce spadło to groźne słowo, doświadczyłam tak dziwnego skutku, jak żółw, któremuby lodem nagle ob-

marzły wyciągnięte na słońce ze skorupy łapki. Już nigdy potem nie przyjmowałam ojca z podobnemi demonstracjami nadzwykłej uciechy.

Kiedy miałam lat dwanaście, umarła mi młodsza, siedmioletnia siostrzyczka; prześliczne to było dziecko! a jakie ukochane moje, żeby pani wiedziała! W chwilach od lekcyj wolnych, sto razy lepiej z nią się bawiłam, niż ze wszystkiemi mojego wieku panienkami. Dziś jeszcze łzy do oczu się cisną mimowolnie, gdy piszę te słowa, jak gdybym widziała jej główkę, ciemnemi loczkami z natury ufryzowaną, jej oczy duże niebieskie, patrzące na mnie takiem dziwnem, głębokiem spojrzeniem, i ten uśmiech tęskny, gdy mówiła czasem: „Guciu baw Zinkę, bo Zince smutno bardzo". Umarła moja pieszczotka! prawda, że często zapadała na zdrowiu, prawda, że była wątła jak kwiateczek zimowy, chuda, blada przezroczystą bladością; nikt jej życia długiego nie wróżył, a jednak gdy skonała, mnie trudno było jej śmierci uwierzyć; pierwszy raz też patrzyłam na umarłego; dziecina spała niby cichuteńko i swobodnie, i gdy ją ustroili, piękniejszą była niż kiedykolwiek; wiedziałam przecie, że już nie żyje, że ją mają w trumnę zabić i na cmentarz wywieść; lecz jak czarno ubrani posługacze istotnie wieko gwoździami przykuwać zaczęli, ze mną nie wiem co się zrobiło: uroiłam sobie, że Józinka się obudzi, że ją gwoździe skaleczą i zaczęłam krzyczeć na całe gardło: „Nie dam! nie dam! nie dam!" — i rzuciłam się ku trumnie, rozpychając wszystkich, broniąc całemi siłami biednej mojej siostrzyczki. Jak mnie tam odciągnięto, jak wywleczono do drugiego pokoju, nic sobie nie przypominam; wiem tylko, że później przyszła matka, zapłakana wprawdzie, lecz spokojna, kazała mi się wody napić, a gdym się trochę uciszyła:

— Martwisz mię jeszcze więcej, moja Guciu — rzekła do mnie poważnie; — w każdem zdarzeniu i w boleści nawet człowiek miarkować się powinien; taki żal głośny jemu straty nie wróci, a drugim przykrość tylko lub zgorszenie sprawia. Bierz ze mnie przykład; wszak pewnie więcej niż ty naszej Józinki żałuję; a jednak nie krzyczę, nie szarpię się z ludźmi, bo to wszystko na nieznośną przesadę zakrawa.

Zapewne matka wielką słuszność miała; przypominam sobie, jak później jedna ze znajomych naszych przy pogrzebie swego ojca strasznego narobiła hałasu, dostała palpitacji serca, trzeba ją było gwałtem od katafalku odrywać, a w kilka tygodni jak się to wesoło po dziedzińcu z Djonim ścigała, jak gdyby nigdy w życiu czarnej sukni obszytej białemi tasiemkami nie nosiła.

— Patrz, Guciu, na czem się kończą te rozpacze przesadne — mówiła do mnie matka z lekkiem ramion wzruszeniem, a mnie nauka i przykład głęboko do serca wniknęły. Kiedy później sama ojca straciłam, już nie krzyczałam, nie darłam się do trumny, umiałam płakać pocichu i przyzwoicie — tylko... z przeziębienia w tym czasie odbyłam długą, podobno niebezpieczną chorobę.

Przez cały dalszy ciąg mej edukacji, dwa razy jeszcze zasłużyłam na lekkie o przesadność zgromienie. W tej historji z wdową malarza i ostatni raz na koncercie Liszta, gdy mu zachwycona najniedorzeczniej przyklaskiwać zaczęłam; więcej takich grzechów nie pamiętam już wcale. Są przecież inne, stokroć cięższe, które dźwigam na mojem sumieniu!

Egzaltacja! co to jest? — nie wiem — żadnej definicji nie umiałabym dobrać temu wyrazowi. Z różnych zastosowań wnioskuję, że musi być dubeltową przesadą, wyższym, lub raczej niższym, podlejszym stopniem kłam-

stwa; lecz może jest cnotą, genjuszem, siłą, która człowieka nad poziom ziemski unosi — och! nie wiem! nie wiem! w głowie mi się mąci.

Kto jak święty Jan Kanty płaszcz ze swych ramion zdejmuje, by nim żebraka na rynku przyodziać, a jak Harpagon domownikom porcje niekraszonej kaszy niepełnemi kwaterkami mierzy; kto po szpitalach obcych chorych nawiedza, a własnym krewnym z głodu umierać daje; kto po szkółkach wiejskie i miejskie dzieci niby uczy, niby zaopatruje, a swoim rodzonym jak dzikim płonkom róść pozwala; kto składa hojne dary na dobroczynność w stolicy, a we własnych majątkach z rozwalających się chałup fartuchy, sierpy i czapki za robociznę lub czynsze fantuje; kto przyozdabia złotem i srebrem kościoły, a rodzeństwo w działach majątkowych krzywdzi; kto deklamuje o miłości bliźniego, a potrąca służących, nie płaci sumiennie najemnikom, oszukuje sąsiadów — krótko mówiąc, kto się bawi cnotą, kto się chwały ludzkiej dorabia obłudą, kto samolubne zyski pozorem świętych uczynków barwi — ten się zawsze w domu naszym „egzaltowanym“ zowie. Lecz bardzo często, może częściej nawet, słyszałam ten przymiotnik w zupełnie innym sensie używany. Gdy jeden z najczcigodniejszych kapłanów naszej okolicy domagał się raz chrześcijańskiej od chrześcijan odwagi, gdy wołał o cześć Bożą w duchu i prawdzie, gdyż każdem słowem kazania dopominał się o miłość i ofiarę — powiedziano, że ksiądz egzaltowany. Na poezje Adama, Juljusza, Zygmunta powiedziano, że są egzaltowane. Poświęcenie misjonarzy idących w głąb Chin lub Tatarszczyzny pod grozą śmierci męczeńskiej słowo Chrystusa głosić; zapał młodzieńczy, zrywanie się ku wielkim czynom, tęsknota ku lepszemu, nadzieja przyszłości, wiara w ludz-

kość zbawiającą się przez wieki — wszystko to ma być egzaltacją tylko. Jeśli Żółkiewskiego i Chodkiewicza, Kordeckiego i Puławskich, Rejtana i Kościuszkę „egzaltowanymi“ w mej obecności nie nazwano, to dlatego zapewne, iż o nich w naszem poufnem kółku nigdy przydłuższej nie było rozmowy; bodaj jednak, czy już o Napoleonie ktoś tego nie powiedział, a ma się rozumieć, że pani Staël, która tyle prześlicznych rzeczy wydrukowała, i panna Łucja, która swych wierszy drukować nie zaczęła dotychczas, na wieki wieków zrosły się z tym przydomkiem.

Nic dziwnego, że pośród tak różnorodnych znaczeń do jednego wyrazu naczepianych, kilkakrotnie zdarzyło mi się obłąkać, niewłaściwą pójść drogą i o sam kamień obrażenia srodze sercem potrącić. Najpierw pamiętam, było to po śmierci ojca i po przebytej chorobie; niezupełnie jak widać otrząsnęłam się z jej skutków: co dusza czuła, to bezkarniej na jaw się wybijało. Czy byłam smutna, czy zniecierpliwiona, czy się rozrzewniałam, czy nudziłam, zawsze to jakoś łatwo się z mej powierzchowności dawało odgadnąć. Rumieniec, bladość, czasem łza w oku zdradzały najniepotrzebniej wewnętrzne usposobienie. Wzrok ludzki, obojętny, wszędzie mi też przeszkadzał i tylko wtenczas oddychałam swobodniej, kiedy zdala od wszystkich w samotny kącik uciec sobie mogłam. Jednego wieczoru poszczęściło mi się nad wszelkie spodziewanie. Całe domowe towarzystwo siedziało w bawialnych pokojach, a mnie drzemiącą na sofce zostawiono spokojnie w odległym na ogród wychodzącym gabineciku. Gdy się zbudziłam, głęboka cichość panowała dokoła, przez otwarte okno lały się wszystkie promienie lipcowej pełni dorastającego księżyca; że świeżym chłodem wieczoru falowała w powietrzu jakaś woń upa-

jająca róż pod oknem kwitnących, i liści na drzewach ogrodowych i trawników rosą zwilżonych: te zapachy, te promienie, ta cichość nadewszystko oczarowała mnie zwolna, dałam jej się zamagnetyzować; wszystkie myśli niewolnicze wypuściłam na swobodę i sama z siebie uciekłam daleko. Co się ze mną działo? to pani musisz wiedzieć najlepiej, bo pani przecież nikt nie broni tak całą duszą po całym bujać świecie — ja wtenczas pierwej mojej używałam wycieczki. Trudno mi dzisiaj w jakiegobądź opisu wyrazy ją ująć. Nie było żadnych wyrazów w mej myśli, nie było myśli nawet, tylko mętne, senne a błogie wrażenia, sensacje, jeśli mi pani przebaczy to słowo z francuskiego języka pożyczone. Wiem, że zdawało mi się, jakobym występowała po za własne ciało, ja druga, ja prawdziwsza, zarysem kształtów zupełnie sobie podobna, tak blada i tak czarno ubrana, ale giętsza, lżejsza, sprężystsza, bogatsza skarbami uczuć i władz niepojętych, doskonalsza nadprzyrodzonem zmysłów rozwinięciem. Czułam się wszędzie i we wszystkiem obecną, piłam nektar z kielicha floksa, kołysałam się na białej jaśminu gałązce, płynęłam z tchnieniem wiatru nad ciemnym szpalerem, ale mi było smutno, smutno, bo chciałam ojca mieć przy sobie, bo i ojciec tęsknił do mnie; a był daleko, wysoko, wyżej niż księżyc, niż gwiazdy. Niech tylko pani o tem pamiętać raczy, że co jej przedstawiam w obrazach, dla mnie nigdy obrazem nie było; że nie złudzenia wzroku, lecz w poczuciu mojem rozgrywające się opowiadam fenomena; istotnie, przytomność rozsądkowa nie opuściła mię ani na jedną chwilę; wiedziałam, że leżę na sofce, że o kilka pokojów ode mnie matka herbatę nalewa, jednak żyłam pod dziwnem wrażeniem innych miejsc, innych zdarzeń. Jak pająk na wiotkiej nici, którą z własnej piersi ciągnie, tak ja na smutku

moim zawisłam w przestrzeni i wzmagałam się, wzmagałam, by do góry ciągnąć, a mój smutek, moja nić pajęcza, to był niby srebrny promień księżyca, między mem sercem a niebem drgający. Ojciec zstępował do mnie na tym promieniu, ja się do niego zbliżałam i byliśmy już razem, razem przez siłę wzajemnej tęsknoty, przez miłość naszą, przez promień księżyca. Gdyby mnie ojciec mniej kochać zaczął, lub gdybym ja go coraz więcej kochać nie mogła, tobyśmy się rozłączyć musieli; czułam postrach takiej groźby w przyszłości; jasna przędza chwiała się czasem pod niewidzialnych naszych postaci brzemieniem; lecz we mnie czucie potężniało i nie ojca ściągałam ku sobie, tylko sama za ojcem wzbijałam się coraz wyżej — wtem niespodzianie chmura przeciągnęła, wszystkie promienie księżyca wstrząsnęły się odrazu i doświadczyłam rozpaczliwego zwątlenia, zaczęłam się osuwać, osuwać, osuwać; czułam, że ziemia blizko, że ojciec znów daleko, i gorzkie łzy twarz mi zalały.

W tej chwili brat mój huraganem wpadł do pokoiku, chcąc się przekonać, czy śpię jeszcze, a najpewniej chcąc mię już obudzić; nachylił się i spostrzegł, że nie śpię, lecz płaczę. Djoni ma na nieszczęście tak zwane „dobre serce". Głód, choroba, niedostatek prawdziwie go rozrzewniają; jeśli sam gniewem uniesiony służącego nie uderzy, lub któremu z dziedzińcowych podwładnych batami dać nie każe, to w zwyczajnem usposobieniu ani bicia, ani ludzkich jęków i łez nie cierpi. Zapłakana twarz siostry przykre też na jego nerwach zrobiła wrażenie.

— Guciu! co to, Guciu? — spytał mię takim serdecznym głosem, że mię na nieostrożność wyciągnął. — Pokazałam mu księżyc i rzekłam tylko:

— Patrz, Djoni.

Djoni popatrzył chwilę, nic nie zobaczył, więc na mnie oczy zdziwione obrócił, a ja szalona dodałam:

— Och! gdyby tam raz jeszcze się dostać!

Na te słowa brat osłupiał wyraźnie, postał trochę w milczeniu, ale zbyt długo utrzymać się nie mógł; jak parsknie śmiechem, jak zacznie pędzić, tak dopiero w bawialnym oparł się salonie.

— Mamo! mamo! Gucia się na księżyc wybiera! — zawołał całą siłą mężniejącego w swą dojrzałość głosu.

— Cóż to za dziwne żarty? — niechętnie zrazu odezwała się matka.

— Ale ja nie żartuję — upewniał Djoni. — Gucia się doprawdy na księżyc wybiera, jak mamę kocham; nawet płacze, że tam pójść nie może.

Biedna Gucia spostrzegła już, co za okropną popełniła niedorzeczność i z miejsca ruszyć się nie śmiała — ale matka sama z zapytaniem do niej przyszła:

— Wytłumacz mi, co to znaczy?

Pewnie wolałabym się była o sto łokci pod ziemię schować, niż dawać żądane wytłumaczenie; gdy jednakże w posadzce ani jeden kwadracik się nie poruszył, zebrałam całą odwagę moją i z częścią prawdy stanęłam przed sądem.

— Djoni ma słuszność — rzekłam okropnie drżącym półgłosikiem; — mówiłam do niego, że się chcę na księżyc dostać, bo właśnie przed chwilą śniło mi się, że tam ojca widziałam.

— Śniło ci się, moje dziecko, to rzecz łatwa do zrozumienia, nam wszystkim ojciec śni się dosyć często; ale któż słyszał po przebudzeniu jeszcze tak się poddawać sennym wrażeniom? — Widząc zaś, że mię te słowa nic a nic nie uspokajają, że mimowolnie łzy jak groch po

twarzy mej lecą, matka zamknęła okno, kazała przejść się trochę i znacznie surowszym tonem dorzuciła:

— Bądź-że rozsądniejszą, moja Guciu, bardzo cię proszę; takie płacze na nic się nie zdadzą, a jak w zwyczaj wejdą, gotowaś rozegzaltować się gorzej, niż panna Olimpja, co po śmierci swego dziadka do klasztoru chciała wstępować.

Nawiasem tylko muszę pani powiedzieć, że panna Olimpja nie wstąpiła do klasztoru, nawet choć jej potem babka umarła, i wuj umarł, i ciotka, i przyjaciółka jakaś — lecz wybiera się ciągle; jeszcze na ostatnim balu wspominała mi o znikomości rzeczy ziemskich i o zamiarze swoim.

Tymczasem porównanie z panną Olimpją, niedoszłą zakonnicą, jakkolwiek drażliwe, miało być wstępem jedynie, przedmową stokroć cięższej pokuty.

W kilka dni później był u nas obiad proszony; gdy cukierki podano, Djoni wybrał jakiś plasterek bladożółty i sam go uroczyście na talerzu mi podał; z pierwszego rzutu oka nie mogłam odgadnąć co to znaczy, ale Djoni pośpieszył z objaśnieniem:

— Czy nie poznajesz? To księżyc twój ulubiony.

Zimno mi się zrobiło — spojrzę na matkę, a matka cała w rumieńcach woła coprędzej mego brata, daje mu jakieś pozorne zlecenie i mnie od dalszego ciągu niewczesnych żartów ocala. Kiedy się goście rozjechali, Djoni porządną burę dostał.

— A czyby ci przyjemnie było — mówiła matka — czybyś się bardzo cieszył, gdyby się wszędzie rozniosło, że twoja siostra lunatyczka, albo egzaltowana? Nikt z obcych przecież twego konceptu inaczej sobie nie wytłumaczy. Wstydź się, Djoni, nie spodziewałam się po tobie ani takiej lekkomyślności, ani tak złego serca.

Djoni podobno nie bardzo się zawstydził; mruknął sobie pod nosem:

— Dobrze jej tak, niech po księżycu nie chodzi, to ją lunatyczką przezywać nie będą — i na tem się jego zmartwienie ograniczyło. Ale ja, nieszczęśliwa! do mego serca każdy wyraz połajanki ostrą szpileczką się przypiął. Ciągle miałam przed oczyma ten rumieniec z mego powodu zawstydzonej matki i ciągle echo mi zwracało jej wylęknionym głosem rzucone słowa: „gdyby się wszędzie rozniosło, że twoja siostra lunatyczka, albo egzaltowana...“ egzaltowana!... Plutôt mourir!

Zdaje się jednak, że obawa tego nieszczęścia rozbudziła do najwyższego stopnia czujność macierzyńską. Na każdy mój postępek więcej zwracano uwagi; staranniej przepatrywano każdą książkę, którą do rąk wziąć mi było wolno; z rozrywek pani Tańskiej usunięto dziennik Franciszki Krasińskiej; z Rasyna zostawiono tylko Atalję; z półeczek, na których stali tak zwani klasycy nasi, poczciwy Karpiński zniknął, a wszystkie numera „Journal de jeunes demoiselles“ przechodziły srogą cenzurę. Pomimo tylu chłodzących środków, kuracja moja przez parę lat jeszcze opornym i leniwym postępowała krokiem. To przy muzyce zbyt długo siadywałam, to w kościele tak się modliłam, że aż wszyscy patrzyli na mnie, co się zwykle zdarzało, gdy ja właśnie nie patrzyłam na nikogo; to zbyt czule śpiewałam arję Desdemony; przyszło do tego nakoniec, że mię „romansową“ nazwano. Po tej dozie chininy zgubiłam febrę egzaltacji.

Ale bo cóż to znaczy przesada? cóż znaczy egzaltacja? one są ledwo cieniem, podnóżkiem, zapowiedzią „romansu!“ Romans — oto dopiero prawdziwa esencja śmieszności, fermentacja w nadużycia i zbrodnie. Każda kobieta złych obyczajów jest, według naszego domowego

słownika, romansową; od awantur hańbiących do miłości wszystko jest romansem. Może pani tego zrozumieć nie może, ja wnet przykładami objaśnię. Sławna pani kasztelanicowa, usunięta z towarzystw przyzwoitych — romansuje; sławna pani Leosia, u której nasz Djoni dwadzieścia tysięcy na jeden wieczór przegrał — romansuje; biedną Alinkę, przez własnego opiekuna uwiedzioną, trzeba było za granicę wywozić — to romans; siostrzenica pana prezesa uciekła z młodym kapitanem od artylerji — to romans; ale nawzajem w sąsiedztwie naszem panna Karolina odmówiła bardzo bogatemu człowiekowi, z tego jedynie powodu, że się do niego przywiązać nie mogła — znowu romans; panna Róża, posażna, idzie za ubogiego dzierżawcę, którego kocha — romans ogromny; państwo Janostwo pobrali się bez majątku, we wspólnej pracy pokładając nadzieję dalszego utrzymania — ach! jaki romans szalony! Słowem, prócz obowiązkowych uczuć dla ojca, matki i rodzeństwa, uczuć, które, jak pani wspomniałam, pilnie jeszcze z przesadą rozgatunkować trzeba, wszystkie inne uczucia między ludźmi są tylko — romansem. Wdzięczność słyszałam wyraźnie romansem przezwaną; chęć poświęcenia się dla drugiej istoty — także romansem; przyjaźń romansem — i zmiarkowałam na koniec, że każde ukochanie jest zawsze romansem.

Teraz pani opowiem, w jakiem zdarzeniu na zarzut romansu zasłużyłam. Po trzech Niemkach, dwóch Francuzkach, jednej Angielce, weszła nakoniec do naszego domu z tytułem „guwernantki" panna Urszula S**, bardzo światła, jak w okolicy mówiono, osoba. Istotnie moja Urszula była prawdziwie, czysto, słonecznie światłą kobietą. Wszystko, czegom się pierwej na pamięć wyuczyła, przy jej słowach dopiero rozjaśniło mi się, uporządko-

wało i w stosunku swoim do życia usprawiedliwiło. Przez cały czas wstępnej edukacji nigdy sobie sprawy nie zdałam, dlaczego mi każą brać lekcje tylu rozmaitych przedmiotów, od katechizmu zacząwszy, na nieszczęśliwej gramatyce skończywszy.

Zwyczaj, według mego przekonania, był jedyną narzuconej mi pracy przyczyną; dlaczego ten wyraz w tym przypadku, na *a*, nie na *u* się kończy? dlaczego ten rzeczownik nieżywotny ma żeńskie, nie męskie zakończenie? Bo tak chce prawo zwyczaju — odpowiadano na moje zapytania, i domyśla się pani, że wśród otaczającej mię atmosfery wyrok ten był wyrokiem najwyższej instancji. Grałam, pisałam, malowałam, uczyłam się dat i nazwisk historycznych, geograficznych, botanicznych — gdyż tak chciało prawo zwyczaju. Przy Urszulce inaczej wszystko zaczęłam pojmować; nie miałyśmy wprawdzie osobnej godziny na religję i moralność; już po pierwszej komunji, rokiem pierwej, te dziecinne kursa zamknięto; ale każda godzina wspólnej pracy naszej, każdy dzień wspólnego pobytu przynosiły mi zawsze jakąś myśl wyższą o Bogu, jakieś szlachetniejsze o ludzkości wyobrażenie. Bóg i ludzkość, te święte słowa wypełniły czczość wszelkich wiadomostek; koło nich, jak ziemia koło osi swej i koło słońca swego, zaczęły krążyć z ładem i celem najdrobniejsze efemerydy nauki człowieczej. Urszulka niby rzadko bardzo wspominała o niebie, o obowiązkach, o cnocie i poświęceniu; ale tak umiała zestawić prawdę z prawdą — szkaradnie się wyraziłam „umiała zestawić“, jakby to jej sztuką i zręcznością było — nie, nie — w niej to prawdy owe tak tkwiły głęboko, że zawsze musiałam ich dosłyszeć i dowidzieć wszędzie. Ach! gdyby Urszulka mogła mi była podarować okoliczności i warunki życia, gdyby choć trochę naturę od-

mienną!... Panna Kazimiera bardzoby mię dziś kochała, możebyśmy się dawniej już spotkały, może nie na balu. Cóż jednak, kiedy od najlepszej mojej dostałam to jedynie, co przyjąć mogłam; prawdę dla myśli i tęsknotę ku prawdzie dla serca. Nie wiem dlaczego matka moja nie bardzo lubiła Urszulkę; niczego jej zarzucić nie mogła, sama nieraz przyznać musiała, że tak sumiennej nauczycielki spotkać jej się nie zdarzyło jeszcze, wszelką też względność zachowywała dla niej w obejściu; lecz tego wylania serca, tej poufności, którą miewają matki dla szczerych duchowych i umysłowych zastępczyń swoich, tej rodzinnej przyjaźni wreszcie nigdy żadnego dowodu jej nie dała. Czasem posądzam matkę, że w uznaniu zasług Urszulki więcej się opinją ogółu, niż własnem powodowała przekonaniem. Ta raczej odgadnięta, jak dostrzeżona niesprawiedliwość, rozwinęła pewną moralną odwagę w mej duszy; nie zważając na to, co powiedzą, wszelkiemi sposobami starałam się okazać Urszulce moją wdzięczność i moje przywiązanie. Djoni żartował ze mnie, że na imię panny Urszuli mogłabym w sądzie składać przysięgi. Matka kiedy niekiedy lekką trąciła przymówką, że młode osoby zwykle przebyć muszą szczepienie ospy, odrę, szkarlatynę i adorację dla kogo ze znajomych lub nieznajomych sobie, i stawiała różne niefortunne przykłady; ja się niczem zrazić nie dałam. Według wszelkiego podobieństwa, Urszulka wywzajemniała mi się pod tym względem. Dziś jeszcze nie mam prawa wiedzieć i niby nie wiem, czy jej uwagę zwróciła taka grzeczna, układna, cicha wojna domowa; pewną wszelako jestem, że jej serce poczciwe nieraz boleśnie zadrżało od wiejącego zewsząd chłodu, nieraz w dotkliwy sposób odczuło skrytą niechęć i brak prawdziwej życzliwości w pozornych uprzejmościach towa-

rzyskich; lecz ona także zrazić się nie dała i śmiało mogę powiedzieć, że mi poświęciła dwa lata swego życia. Poświęciła, bo któż ją przymuszał żyć z ludźmi najwstrętniejszymi jej pojęciom i usposobieniom? Pełno innych domów stało dla niej otworem, pełno rodzin byłoby z błogosławieństwem i radością jak uroczystość obchodziło ten dzień, w którymby między niemi przy wspólnej pracy stanęła; a jednak Urszulka została przy mnie, znalazła biedną, zgnębioną, nierozwiniętą duszyczkę, odgadła nędzę ściśnionego bez miłości serca i nie odstąpiła mię, póki mogła. Jakże ja nie mam kochać tej Urszulki!... Lecz przyszła chwila, w której musiałyśmy się rozłączyć. Matka wybierała się ze mną do Warszawy najpierw, a potem do Drezna, i powiedzianem było, że prywatnemi lekcjami uzupełnię moje wychowanie. Kiedy sobie przypomnę ostatnie nasze pożegnanie, to jeszcze sama własnej śmiałości wydziwić się nie mogę; a toż ja głośno płakałam, rzuciwszy się na szyję odjeżdżającej, a toż gdy powóz ruszył z miejsca, stałam na ganku tak długo, póki tylko chociaż kurzu tumany wiejące za nim widzieć mogłam, i nazajutrz byłam smutna, i trzeciego dnia już list arkuszowy do Urszulki pocztą wyprawiłam. Nie, istotnie, ani mojego męstwa, ani cierpliwości mojej matki pojąć nie jestem w stanie. Od czasu do czasu wzruszyła ramionami i na tem się wszystko kończyło, a może wielka szkoda, że na tem kończyło; byłam w jakimś paroksyzmie bohaterstwa, czułam, że przy dobrej sprawie stoję; oburzałam się nawet, że matka, że Djoni, że Moryś, że wszyscy w koło mnie, tak jak ja Urszuli nie żałują; w matce szczególniej podobna obojętność grzechem mi się zdawała, gdybym więc przez matkę była zaczepioną wtedy, może przyszłoby między nami do stanowczej rozmowy, lody między nami zamarzłe raz przecież pę-

knąćby musiały; lecz matka milczała dopóty, dopóki się nie nastręczyła sposobność bardzo słusznej, na moje nieszczęście, połajanki. Domyśla się pani, że poczucie swej winy zawsze moralnie rozbraja człowieka — otóż stało się coś takiego, przez co ja sama winną, bo w najwyższym stopniu śmieszną się poczułam. Niech pani na tem ogólnikowem wyznaniu poprzestanie; zbyt jeszcze przykrą dla mnie rzeczą wspominać całą ową historję, wstydzę się, słów dobrać nie umiem, a jednak powinnabym wszystko szczerze powiedzieć, kiedym raz już zaczęła — no, powiem, i cóż pani za to mi zrobi? choć się rozśmieje, to widzieć nie będę, a przed drugimi, przed panią Felicją wszakże mię panna Kazimiera nie zdradzi. Tak się więc stało; Urszulka radziła mi z tego co czytam, co w świecie spostrzegam, co sama sobie myślę, zbierać, w ważniejszych chwilach przynajmniej notatki maleńkie. Po odjeździe Urszulki, zamiast notatek, rozpoczęłam formalny dziennik... dziennik, to nic jeszcze — ale — Boże mój, jakże to trudno napisać! W tym dzienniku na pierwszej kartce były wiersze, niezupełnie moje wiersze, naśladowane tylko z Kochanowskiego:

„Urszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?“ Niemniej przeto dzienniki i wiersze w ręce matki wpadły. Jestem pewna, że miłosny bilecik nie byłby więcej zgorszenia narobił.

— A to znowu co za romanse? Spodziewam się, że cię przecież panna S** nie uczyła wierszy robić; ja też cię wcale na poetkę i dziesiątą muzę nie wychowuję. Od tego czasu proszę mi zawsze pokazywać wszystko, co tylko pisać będziesz; jeszcze gotowaś na autorską monomanię zachorować; na to nigdy nie pozwolę, ani prawdziwych, ani komponowanych romansów w domu moim nie ścierpię. Czy już komu dałaś to do czytania?

— Dać do czytania? ach! mamo, jabym tego sama przed sobą głośno odczytać nie śmiała.

— To wielkie szczęście, moja Guciu; bądź pewna, że ja także w tajemnicy twoją poezję zachowam. — I zwinąwszy biedny kajecik, oddaliła się z nim matka poważnie, a ja zostałam na pastwę samotności i zgryzoty rzucona.

Od tej chwili, niech mi pani wierzy, dwóch rymów nigdy w życiu nie złożyłam; ale ta cnota szczęścia mi nie zapewniła i owszem, im przyzwoiciej układam się na zewnątrz, im odpowiedniej do wyobrażeń matki kształciłam, tem coś okropniejszego działo się w mej duszy, tem dziwaczniejsze nagabania dręczyły moją wyobraźnię, tem szaleńsze zachcenia kusiły mię w różnych życia mego kierunkach; coraz bieglej zaczynałam przykrywać zdania, ruchy i czyny moje, według miary towarzyskich foremek, ale też coraz głębiej czułam, że inną jestem, i ogarnął mię strach ciągły, bezprzestanny, ścięła mię lodem codzienna nieufność. Przeczuwałam, że byle się puścić za natchnieniami serca, to bardzo prędko wykieruję się na osobliwość pierwszej próby między Odrą a Dźwiną. Nie wiem skąd i poco zlatywały się do mnie jakieś nigdzie nie spotykane postacie; roiły się w mózgu jakieś myśli bez ładu, przed oczyma obrazki jakieś zwieszały cudowne, w uczuciu budziły smutki, radości potrzeby, których nikt koło mnie nie doznawał i nikt nie pojmował nigdy; czasem chciałam się już zerwać na równe nogi, biegnąć przed siebie w świat szerszy, nieznany... ale gdzie tam!... wola drętwiała, opuszczały siły. Wychowano mię w czci tak głębokiej, w posłuszeństwie tak ślepem dla rozsądkowych przepisów, a raczej dla dogmatów rozsądkowych, że powoli przeniknęły mój organizm, stały się nie własnością, lecz właściwością

moją. Jak nie mogłam się rozstać z dziecińśtwa wspomnieniem, jak nie mogłam odjąć z przeszłości tego, co się już zdarzyło, tak nie mogłam się rozstać z pewnemi przywyknieniami, odjąć sobie pewnego sposobu widzenia i sądzenia potocznych towarzyskiego życia wypadków. Szkaradna ta mieszanina bujnej wyobraźni a zimnej rozwagi, szalonych marzeń, a stałych jak prawa matematyczne zasad, przerodziła się we mnie w dziką i sztywną nieśmiałość, z której się dotychczas jeszcze nie otrząsnęłam i którą pani za dumę miljonowej dziedziczki wzięła.

Całe dwa lata, po oddaleniu się Urszulki w Warszawie i w Dreznie spędzone, liczą się do najnieszczęśliwszych lat mojej biografji: jednak ludzie mówią, że to lato wiosenne, szczęśliwe; rok siedmnasty, ośmnasty! rok pierwszych balów i ostatnich lekcyj; lata swobody zupełnej między obowiązkami uczennicy a obowiązkami żony i matki. Biedne moje lata młode, zwarzył je przymus, ucisnęła nuda, zatruło gorzkie szyderstwo! Tylkoż niech pani sobie nie wyobraża znowu, że byłam ciągle ofiarą surowej krytyki mej matki, lub wesołego dowcipu Djoniego. Och! wcale nie! Po znalezieniu tych nieszczęśliwych wierszy, postanowiłam bacznie nad sobą czuwać i żadne już dziwactwo z głębin duszy na jaw mi nie uciekło; lecz miałam innego wroga, sama w sobie nielitosnego szydercę nosiłam. Z łaski czy z dopuszczenia Bożego i mnie się trochę rozsądku dostało — ach! trochę tylko! Gdybym go miała tyle, ile moja matka, spokojna i zawsze umiarkowana, ile mój brat Djoni, złośliwy i wyrachowany, a choćby tyle co nasz współwychowanek Moryś! Pani go już na balu zauważyła: ten Moryś usłużny, zgrabny, ładniutki, on jest także po swojemu rozsądny; wszyscy u nas są rozsądni, aż do dziewczyny, która mi usługuje; wszyscy też na tem dobrze wychodzą; tylko

ja źle wychodzę, oczywisty dowód, że nie dostałam równej z innymi porcji; ta pół-doza fatalna życie mi tylko zakwasiła; z tym stoczkiem zapalonym w rozległej piwnicy nie widziałam gdzie pójść chciałam, ukazywały mi się same powykrzywiane kształty, głębokości niebezpieczne, lub śmiecie obrzydliwe. Nie raz myślałam sobie, że byle kilka kroków dalej postąpić, rozpadną się przedemną wrzeciądze tajemne i utonę wśród blasku świec jarzących, złota, klejnotów, bodaj nawet, czy nie wśród słońc nowych, a promienniejszych od naszego plamistego słońca; już sobie wszystko przedstawiałam, już prawie miałam zobaczyć — w tem stoczek mignął, zostawały tylko kamienne schody pod nogami i kamienne sklepienie nad głową. Wszystkie takie nagłe zmiany dekoracji rozwinęły we mnie najdokuczliwszą władzę, chorobę: ironję — zwolna do tego przyszło, że na co spojrzałam, to mi się odrazu od pierwszego rzutu oka we właściwych sobie formach i w karykaturze ukazywało; co posłyszałam, to sparodjowanem wracało mi echem; co czułam sama, to sama sobie wyśmiać, przedrzeźnić tak doskonale umiałam, że pewnie lepiej Djoni by nie potrafił — ba, ja przecież samego Djoniego na fundusz wziąć mogłam; żadna z jego drobnych pretensyek nie uszła mej baczności; wiedziałam kiedy w lustro się spojrzy, a kiedy oczu przymruży — i tak mniejwięcej wszyscy dla mnie stawali pod promieniem rozwidniającym każdą ich ułomność. Gdybym więcej miała odwagi, albo mniej pobłażania — gdyby rady Urszulki zatarły się w mej pamięci, tobym uchodzić mogła za najostrzejszy dowcip dziewiętnastego wieku. Sama pani Felicja pozazdrościłaby mi niezawodnie; bo ileż to spostrzeżeń, ile odpowiedzi zabójczych uwięzło na języku, a ja z nich korzyści wyciągnąć nie umiałam i nie pragnęłam nawet; od-

powiedzi, spostrzeżenia, zawsze prawie przemilczane, kamieniem tęsknoty na serce mi spadały — im ludzie byli śmieszniejsi, im świat cały śmieszniejszy, im śmieszniejszą ja sama, tem bardziej tylko nad ludźmi, nad światem, a szczególniej nad sobą płakać mi się chciało. Rozsądny mój dowcip osobliwszego był gatunku; widział niby arcyzabawne rzeczy, lecz sam się niczem zabawić nie mógł, ten splinnik niegodziwy! Co ja przez niego ucierpiałam! — racz mi kiedyś Panie Boże w zasługach Jobowych policzyć. Ale znalazłam wreszcie antydot skuteczny. Jak to już pani mówiłam, niepodobna mi było z rozsądku się wyswobodzić; dałam mu berło w rękę i zostawiłam na miejscu — tymczasem zaś obok niego wyniosłam na tron ducha inną, równie potężną władczynię — fantazję! Ach! panno Kazimiero, jak ja wybornie umiem fantazjować! jak marzyć!... zdaje mi się, że w całej Europie nikt tak nie potrafi — trzeba też wyznać, że nie odrazu do tej doskonałości przyszłam. Z początku bardzo często zamyślałam się, mieniłam na twarzy, łzami oczy się przepełniały, lub uśmiech po licach przebiegał. Matka wtenczas pytała: „A co ci to, Guciu? czemu tak w jedno miejsce się zapatrzyłaś? czemu zbladłaś? czemu się rumienisz? czy cię co boli? z czego się roześmiałaś?“ — i musiałam zawsze stać pod bronią z gotowem usprawiedliwieniem: — „to nic, mamo; zimno mi, albo gorąco; w zębie mię strzyknęło; albo deklamacja pana Edmunda mi się przypomniała“. Dzisiaj już nie potrzebuję żadnych wybiegów zażywać. Myśli moje podwójnym płyną prądem — jeden zwierzchni, unosi męty i piany powszednie; drugi, spodni, toczy kryształ najczystszy, drogie perły, djamenty, korale, rozbija się o granit skał niebotycznych, zapada w przepaści bezdenne, a nic tego nie znać po mnie. Nawet pani się nie domyśliła i dzięki Bogu,

przecież to jedyna tajemnica moja, to skarb jedyny; gdyby ludzie się dowiedzieli, pewnieby mnie napadli i złupili do szczętu. Ach! nigdy pani ludziom nie powiadaj; stokroć wolę, że mię suchą kredą i woskową lalką nazywają, że mi przypisują umysłowe niedołęstwo i pogardliwą dumę miljonowej dziedziczki; żaden z tych pocisków do wnętrza piersi przebić się nie zdoła. Może dlatego właśnie, iż tak dalekie od prawdy, bawią mię tylko, jakby mię bawiły ostre wymówki z pod domina na rachunek zupełnie obcej osoby słuchane; lecz gdyby kiedy ktokolwiek uchylił maski, rozdarł domino moje, a później mnie już poznanej wymyślać zaczął, toby dopiero było okropnie. Ja też przed panią jedynie składam karnawałowe kostjumy i w swojej własnej ukazuję się postaci. Niech tam ludzie patrzą sobie na martwą pannę Augustę, ty, Kazimiero, Białą Różę twoją w jej Eldorado kwitnącą musisz zobaczyć. Biała Róża nie buja po kwiatach, nie kołysze się na drzew gałązkach, po księżycu nie chodzi, jak to jej się przy pierwszej próbie marzenia zdarzyło. Coby jej dzisiaj znaczył jeden sen oderwany, jedno przelotne wrażenie? Biała Róża ma całą historję drugiego życia w sobie, a kłamstwem nie są jej złudzenia, są raczej nową potęgą w duszy, bo dla niej teraz nic nie ginie; najdrobniejsza okoliczność, najobojętniejszy człowiek musi jej się dwukrotnym czynszem opłacić; gołą źrenicą wszystko widzi tak, jak widzi jej matka, jak widzi pan Djonizy, jak widzą różni znajomi; wewnętrznym wzrokiem za to każdy przedmiot ogląda i przywłaszcza sobie według ceny własnego otaksowania, według prawdy własnych życzeń. A kto ma słuszność? a przy kim prawda prawdziwa? przy tych rozsądnych, czy przy tej marzącej? To, co marzę, jest stokroć piękniejsze od tego, czego doznaję; to, czego doznaję, jest

równie znikome, jak to co marzę... a więc... a więc, stworzyłam sobie królestwo udzielne. Nie oderwałam go od smutnego więzienia, które los dla mnie stworzył, i owszem, każda niteczka cudownych arabesków, zdobiących mój namiot monarszy, jest zawsze do jakiegoś zewnętrznego zdarzenia przyczepiona. Co mię na posadzkach salonowych spotyka, to żywcem przenoszę w moje państwa i dopiero według natchnienia złocę, brylantuję, lub roztrącam i w piekło ciskam. Moje królestwo nie jest z tego świata, a jednak ten świat jest w królestwie mojem, tylko wyraźniejszy, rzetelniejszy, dokładniejszemi konturami przerysowany. Możebna dobroć rozrasta się w nim w cnotę anielską; lada zdolność umysłowa staje się genjuszem; nadzieja przechodzi w pewność, życzenia w czyn dokonany, złe w potworność, miernota w głupstwo, a głupstwo... to zależy od usposobienia — głupstwo czasem na taki głęboki rozum umiem przetłumaczyć, że aż sama później między jednem a drugiem różnicy dopatrzeć nie mogę. Ktoby sobie wyobraził jednak, że w mojem królestwie szczęściem tylko oddycham i rozkoszą się poję, tenby o całą połowę granic mi jego umniejszył. Oj! ciężkie nieraz przebywałam troski, okropne ponoszę straty, bo mi wypadki nie tak się snują, jako ja chcę, nie zawsze nawet i ludzie bywają takimi, jakimibym ich dla pociechy serca a chwały Pana Boga widzieć pragnęła — nie — urok mego królestwa i potęga najwyższa w tem jedynie spoczywa, że ja taką jestem, jakąbym być mogła, jaką być sobie życzę, jaką mi się być podoba. Żelazne dyby i konopne powrozy na gruncie rozsądku składam. Tutaj wstępuję z rozwiązanemi rękoma, z hardo podniesionem czołem, z lekko oddychającą piersią. Dowcip, którego nie śmiem w urzędowem życiu mojem spożytkować, tutaj mi służy do chłostania

wszelkich niedorzeczności, jakie mi kiedykolwiek od urodzenia mego dokuczyły. Żartem na proch rozbijam, śmiechem na wiatr zdmuchuję każdą bryłkę niesmacznych konceptów, każdą pajęczynę bezprzyczynnych uprzedzeń. Mam tyle odwagi, że co zamyślę, to wykonam, co poczuję, to wypowiem, gdzie zatęsknię, tam pójdę, czego mi trzeba, to wezmę. Niech mi w uchu nie brzęczą obrzydliwe muchy światowych wątpliwości — czy wypada? czy nie wypada? do czego to będzie podobne? co ludzie sobie pomyślą, co powiedzą na to? Miałki piasek owych zagadnień, himalajskim łańcuchem nieraz od szczęścia, od cnoty mię dzielący, tutaj nie czepia się nawet podeszwy moich trzewików. Biegnę swobodna i pewna siebie; wspomagam słabszych, śmiało w oczy zuchwałym staję, po nikczemnych depcę bez miłosierdzia, ale jak kocham wszystkich godnych ukochania, jak wielbię moich wybranych, jak pokornie gwiazdom moim na wysokościach niebieskich się kłaniam! To jedna chwila okupić może całą dwudziestotrzechletnią przeszłość w bezwładnej martwocie spędzoną. Długo bardzo bezimiennie rządziłam krajami mojej fantazji; wstręt mię jakiś przejmował na wspomnienie „biednej Guci“ lub uroczystej „panny Augusty“, którą po balach i wizytach oprowadzać musiałam; nigdy przecież nie wpadłam na imię różnym wymaganiom tajemnej mojej biografji odpowiednie. Szukałam, lecz mię zawsze coś zraziło; jedno mi się zdawało za tkliwe, drugie za obojętne; innemu brakło harmonijnego brzmienia, innemu znów siły i powagi, aż na los zdałam tę sprawę; sama przed sobą byłam zawsze *ja*, dla drugich byłam *ty*, albo *pani*. Teraz już spotkałam matkę chrzestną Kazimierę, i ta mi Białą Różą nazywać się kazała. Czyż można było coś prześliczniejszego wymarzyć? Biała Róża, to i powaga królew-

ska, i czystość dziewicza, i miłość nieskalana i cierń przeciw niegodnym. Od czasu jak Białą Różą zostałam, jeszcze mi się rozszerzyło moje królestwo, lepiej mi w niem i sama lepszą jestem. Matka coraz więcej kochać mię zaczyna: kiedy się nie rozumiemy, to ją przekonywam, tłumaczę jej przyczyny mego postępowania, a matka wierzy i godzi się ze mną. Djoniego do szkół oddałam; już przeszedł do czwartej klasy, uczy się przykładnie, mówi bardzo mało i profesorowie zaręczają, że się na użytecznego człowieka wykieruje. Z Urszulką widujemy się bardzo często; uprosiłam ją sobie, żeby się do Warszawy przeniosła i codziennie prawie odwiedzamy się nawzajem. Urszulka zachowała niektóre przywileje piastowanej dawniej godności; jest zawsze trochę guwernantką moją, lub raczej głosem sumienia mojego; łaje mię często, a nie upokarza, często żartuje ze mnie, a nic mię tem nie drażni; sprzeciwia mi się, a jeszcze nigdy jej sprzeciwianiem znudzona nie byłam. Czasem całe wieczory targujemy się o jakiś zamiar w mej głowie wylęgły. Urszulka mówi, że szalony, ja dowodzę, że rozumny — i w końcu zwykle z tych sprzeczek wykrzesze się jakaś iskra, co nam obie strony przedmiotu rozjaśnia; następują modyfikacje, zmiany, poprawki, nigdy wszakże zaniedbanie i bezczynność nie następuje. Gdybym na świecie taką Urszulę obok siebie miała, pewnieby mi już wystarczyła na wszystkie duszy mojej potrzeby i nie odważyłabym się Panu Bogu o inne dary naprzykrzać. Lecz u siebie w królestwie ja sama tak bogatą jestem, że dokoła niewyczerpane skarby mieć muszę — wszakże to nie paradoks żaden — w królestwie tedy. Biała Róża tęskniła do siostry rówieśnicy, nie starszej, nie młodszej, ale prawdziwie bliźnięcej siostry, według lat wiekuistych i według miary ducha. Nic mi na tem

nie zależało, by moja wytęskniona miała też same co ja zdolności, upodobania i przywyknienia; nie szukałam podobnej sobie, tylko sobie równą spotkać pragnęłam — i spotkałam nakoniec. Dziwi mię to, Kazimiero, że nie pamiętasz tej chwili, kiedy ci w przeddzień balowy lokaj pani Felicji moje przybycie oznajmił. Tak szczęśliwie trafiłam, że nikogo obcego nie było. Sama siedziałaś z książką przy oknie — ja ci podałam rękę i rzekłam do ciebie:

— Pierwszy raz się widzimy, lecz ty mnie nie znasz, Kazimiero; przeszłość nasza jednakowa, jednakowe w przyszłości nadzieje — o czem rozmyślałaś, gotując się do ciężkiej przez świat wędrówki, o tem ja rozmyślałam także; co umiesz, tego ja się uczę; co kochasz, temu ja cześć składam; co wierzysz, tego ja się spodziewam. Chodziłyśmy ciągle po tych samych drogach, idźmyż teraz obok siebie, jak siostry.

— Jak siostry — powtórzyła i uścisnęłaś moją rękę, i zaczęłyśmy o wielu rzeczach rozmawiać, aż wreszcie na Augustę kolej przyszła; mówiłam ci, jakie to śmieszne przez obawę śmieszności, głupie przez nadmiar rozsądku stworzenie. Ty, poczciwa, szczerze się ulitowałaś nad jej niedołęstwem.

— Trzeba temu zaradzić — mówiłaś do mnie — trzeba znaleźć jakiś łącznik między jej zewnętrznem życiem, a naszą prawdą. Kiedyś i ona trochę względnej niezależności posiądzie. Jako żona, jako matka, jako pani domu wiele przecież dobrego zrobićby mogła; gdy zaś w fałszywym kierunku zbyt daleko się posunie, trudno ją będzie odwrócić: rozproszy się na nicość wśród drobiazgów światowych, a my dwie, i Urszulka nawet, nigdy już do niej nie trafimy potem. Szkoda! bo w gruncie widzę, że nie zła dziewczyna.

Więc naradzałyśmy się długo, czemby ją w jej napadach letargicznych ratować; uradziłyśmy nakoniec, że ty, Kazimiero, „łącznikiem“ między nami staniesz: że jak ci pannę Augustę przedstawię, weźmiesz ją pod rękę i choćby gwałtem w swoją, to jest w naszą stronę pociągniesz, na usta jej dmuchniesz tchnieniem ducha twojego i wymówisz „effeta“. Pierwszy krok najtrudniejszy: nieme djablę może się zechce opierać; ale niech tylko raz z miejsca ruszy, a panna Augusta niech raz poczuje, że ją silne ramię wspiera i życzliwe uszy słuchają, to odwagi nabierze; dopieroż wtedy będzie jej dobrze i w marzeniu i w rzeczywistości! Jaką my sobie wdzięczną duszę na całą jej nieśmiertelność kupimy!

W tych nadziejach pożegnałam cię, Kazimiero. Niestety! Panna Augusta wszędzie szyki nam połamała, wszystkie wspaniałomyślne zamiary nasze w niwecz obróciła. Gdyby nie Biała Róża, toby już nawet przepadła nam bezpowrotnie i zostałby tylko na jej pamiątkę jakiś posążek kamienny; lecz Biała Róża przyszła z pomocą, okropnie złajała dziwaczkę, zasadziła ją nad stolikiem, przykleiła pióro do palców, kazała pisać koniecznie. Ile razy ręka sztywnieć, a myśl trwożliwie kryć się w gęstych obsłonkach zaczynała, tyle razy surowa mistrzyni głośnem dyktowaniem nagliła rękę i myśl; czasem w chwilach odpoczynku szła do ciebie, Kazimiero, z niekarną pacjentką swoją i po każdej takiej wizycie Augusta coraz się bliższą Białej Róży stawała.

Pamiętam, że w czasie ostatnich naszych nawiedzin bardzo nam kłopotliwe rzuciłaś zapytanie:

— Dlaczegoście mnie wybrały za pośredniczkę między sobą? Los nas rozstawił na dwóch krańcach dzisiejszej Polski, utrudnił nasze stosunki; toż przecie mógłby

inny, silniejszy i bliższy pojednawca się znaleźć. Czy która z was kochała się już kiedy?

Na takie słowa zgorszona Augusta wachlarzem twarz zasłoniła, a Biała Róża dziecinnie głośnym śmiechem parsknęła:

— Co tobie, Kazimiero! Kochałam się już z pięćdziesiąt razy przynajmniej, ale Guci na nic się to nie zdało.

Widziałam, że mię zrozumieć nie możesz: moje wyznanie albo żartem, albo przechwałką ci się zdawało; ja tłumaczyłam, że nie jest żartem, tylko szczerością i nie przechwałką, tylko oskarżeniem. Różne twoje uwagi zbiły mię nieco z toru; więc przyrzekłam po głębszym namyśle całą rzecz jaśniej w liście usprawiedliwić.

Otóż przyznam się najpierw, że wielkiej biedy użyłam, gdyż mi przyszło z danego słowa się uiszczać. Odbywszy ścisły rachunek sumienia, możebym już nie śmiała tak lekkomyślnie powtórzyć, że już z pięćdziesiąt razy zakochaną byłam; że ani razu, także mi powiedzieć nie wolno — najlepiej sama osądź, Kazimiero.

Wiesz o tem przecie, że ja ludzi jako Bóg nie stwarzam; w królestwie mojem są tylko ci, których dotychczas Augusta widywała; z tych znowu żaden jeszcze gatunku swego nie odmienił; wstąpił jedynie w inną sferę, w której musiał działać i mówić według tego, jakby działał i mówił, gdyby Augusta dla niego istotnie tylko Białą Różą była. Zdawało mi się, że ta główna metamorfoza wystarczy. Augusta nudna, Augusta panna śpiąca, Augusta nieznośna; więc też Augusta niekochana, Augusta cyfrą posagową jedynie na sercu młodych ludzi wyryta. Niech-że teraz ukaże się Biała Róża, fantastyczna monarchini piękniejszej ziemi i wyższego nieba. Biała Róża, zdolna miłością namiętną w proch się ukorzyć przed je-

dynym swoim, lecz zdolna też ideałem wznieść jedynego ponad miłość samą, Biała Róża tak niech się objawi, wszak prawda, że kochaną będzie? Ja wcale nie wątpiłam o tem — i nie wątpię jeszcze o tem, ale dotychczas przekonać się nie mogłam. Widzę nieufny uśmiech twój, Kazimiero; dlaczegóżbym się zapierała przed tobą, wszak nie zaparłam pięćdziesięciu omyłek moich, a spodziewam się, że „omyłka“ w miłości, nie zaś miłość jest upokorzeniem. Bądź pewna, moja droga, że jeśli mi się zdarzy kiedy prawdziwie, szalenie, to jest właśnie rozumnie bardzo zakochać, pewno się tego wstydzić nie będę. Nakażę wielką iluminację w całem państwie mojem, zwołam wszystkie słowiki, jakie są między Wisłą, Pilicą a Niemnem, wszystkie muszki, wszystkie koniki polne znad łąk i stawów, wszystkie echa gór i lasów, a każę im powtarzać jedną piosnkę niezmienną: „Biała Róża zakochana! Biała Róża szczęśliwa! Biała Róża zbawiona!“ Tymczasem igram sobie tylko z rozmaitością przejmowanych wrażeń, zbieram farby i kształty oderwane, które kiedyś może w jeden cudowny obrazek się zleją. W tajniach mej wyobraźni rozkochiwam się codziennie inaczej, codziennie w kim innych i z innego powodu. Opowiadają mi, jak pan Adolf szlachetnie sobie przy majątkowych działach z siostrami postąpił; jużci ja wychodzę na jego spotkanie, witam przyjaznej dłoni uściśnieniem, chcę życie jego szczęściem otoczyć, chcę każdy zamiar i każdą pracę poczciwą podzielić, aż tu okazuje się, że... Pan Adolf nie zna literatury, wiecznie Kamoensa z Cerwantesem, a Dantego z Ariostem plącze. Niewielki grzech, myślisz sobie. W moich oczach bardzo wielki: gdyby nigdy o żadnym cudzoziemskim nie słyszał poecie, gdyby mu los zawistny sposobności do nauki lub uzdolnienia odmówił, kto wie czy tem droższej ceny nie naznaczy-

łabym jego sercu, a tem wyższego stopnia uwielbieniu mojemu. Na nieszczęście, różne chronologiczne i biograficzne pomyłki pana Adolfa nie są wcale świętą prostotą, tylko są studenckiem niedouczeniem, są wierutnem lenistwem obywatelskiego syna; jakże chcesz, Kazimiero, bym dotrwała w miłości mojej? Krzyżyk daję na drogę szlachetnemu Adolfowi i patrzę z balkonu na Aleje w Warszawie wychodzącego, którą stroną pójdzie sobie; patrzę, jeszcze mi go żal trochę, a wtem na bystrym koniu pędzi jakiś jeździec; składny, istny minotaur z Tezeuszowskich czasów; koń i młodzieniec zrośli się z sobą, koń iskrami zda się pryska, młodzieniec siedzi jak przykuty; postać jego wysmukła, swobodna, ręka niedbale trzyma srebrem wybijaną uzdeczkę, oczy z roztargnieniem błąkają się to po drzewach zielonych, to po sunących na oboczu kapelusikach, aż mój balkon je zatrzymał, i galop konia wolnieje, prosta linja biegu skrzywia się coraz więcej, za chwilkę, będziemy sobie mogli razem w oczy spojrzeć; ja mam właśnie wiązankę chabru w ręku, rzucę ją nieznajomemu na pamiątkę dobrej chwili i miłego wrażenia. Ot, wychyliłam się nawet, ale cóż, Kazimiero? Krzyknęłam okropnie: jakiś chłopiec rzemieślniczy niósł długą deskę na głowie, przez nieostrożność deska po nozdrzach konia uderzyła, kary wspiął się gwałtownie, potem aż przysiadł na tylne nogi w błocie. Dziesięciu innych panów byłby zrzucił ze swego grzbietu, mój nieznajomy doskonale się trzymał, tylko... tylko nieco za mocno szpicrutą trzepnął swego karego i nieco za głośno krzyknął na biednego chłopca:

— A bodajeś... zjadł... ty... — najlżejszym wykrzyknikiem było słowo: „mazgaju“!

Domyślasz się, moja droga, że prędziuteczko uciekłam z balkonu. Potem znowu, pamiętam, było to na wsi;

goście do nas przyjechali, matka do bawialnego pokoju prosić mię kazała. Witam się z jakąś sąsiadką, sędziną, a ta mi przedstawia trochę na boku, w głębokiej framudze okna, stojącego mężczyznę. Zdumiałam — bo to wyobraź sobie nasz bawialny pokój jasno-zielone obicie, a framugi okien powykładane są ciemnem, dość gustownie wyrabianem drzewem; w te ramy, na tło błękitne pogodnego nieba, istnie jak gdyby kto wstawił portret Piotra Aretina; może widziałaś kopję lub sztych przynajmniej tego popiersia, na które młody przyjaciel Tycjanowi wzoru dostarczył? Pamiętasz co to za twarz prześliczna, co za rysy Chrystusowe! ten sam owal nieporównanej czystości, to samo czoło wysokie i otwarte, nos tak idealnie pociągły i bez ostrości delikatny, bez trywjalnego zgrubienia, pełnym pociągiem pędzla uwydatniony; usta nawet zdaje się, że są w wymiarach swoich z jakiegoś świętego oblicza wzięte, i owa cera smagława lecz jasna, i owe włosy tak potoczysto na obie strony głowy spadające, i nawet broda lekko środkiem przedzielona; słowem, szczegół każdy zdaje ci się wypowiadać intencję malarza; przysięgłabyś, że chciał Chrystusa zrobić, a jednak masz ochotę się z nim pokłócić, bo to nie Chrystus, to nie Bóg-człowiek bez grzechu. Gdzież się podziała świętość spojrzenia, gdzie boskość tego czoła? gdzie miłosierdzie i smutek tego uśmiechu? Nie szukaj, Kazimiero, przypominam ci, że to portret jedynie najpiękniejszego z towarzyszy Tycjana Vecelli, a może jest to...

— Cezary, syn mój — tak powiada o nim pani sędzina. — Jakto? nie poznajesz go? — pyta znowu, nie odgadując, dlaczego wzrok mój tak długo, tak upornie na przedstawionym spoczywa. — Prawda, żeście się dawno nie widzieli, bo i ty stąd wyjechałaś i on także

daleko podróżował; mogłabyś jednak wierniejszą mieć pamięć dla wspólnika tylu pustot dziecinnych.

— A więc to pan Cezary? — powtórzyłam radośnie i sama prędko zbliżyłam się do niego, bo on chciał właśnie do mnie się zbliżyć i byłby wyszedł ze swojej framugi, która tak odpowiednią mieszaniną światła i cienia kształtną jego postać obejmowała.

— Witaj panie wędrowcze — rzekłam, nie podając mu jeszcze ręki, ale jak się godziło, lekko czoło uchylając przed tą jego promienną pięknością; i cóż, z dalekich stron pan wracasz?

— Z bardzo dalekich, z najdalszych — odpowiedział, bystro patrząc mi w oczy.

— Któreż to są najdalsze strony? — pytałam śmiało, przetrzymując spojrzenie.

— Te, w których człowiek zaczyna od najsmutniejszej tęsknoty, a kończy na najniedołężniejszych nudach.

— Urbi et orbi, panie Cezary; dla zwidzenia takich okolic bezpotrzebnie w obce kraje wyjeżdżałeś; można było i u nas, choćby w stołecznym Opatowie, zamieszkać!

— Ja też nie wyjeżdżałem dla zwidzenia takich okolic.

— Więc dlaczego? więc poco?

— Matka chciała, żebym przywiózł trochę rozumu, a ja chciałem przywieść sobie trochę szczęścia: jedno i drugie zawiodło, ni ja teraz rozumniejszy, ni szczęśliwszy; tego, czego się tam nauczyłem, tutaj zastosować nie mogę, a to, czego tam pragnąłem...

Chwila dość długa ubiegła, a Cezary myśli swej nie dokończył.

— Tego pan i tutaj nie znajdzie? — dodałam z pytającym przyciskiem.

— Miałem wymówić te słowa — odrzekł mi wolnym i cichszym o pół tonu głosem — ale teraz nie mogę, nie mam prawa, nie chcę przesądzać przyszłości.

— Nie, nie masz pan prawa — powtórzyłam stanowczo — nowe życie otwiera się przed panem dopiero. Nauki, podróże, tęsknoty, nudy, pragnienia to wszystko było wstępem przygotowawczym jedynie. Dziś pierwszą kartkę pierwszego rozdziału zacząłeś czytać, panie Cezary. Matka na progu rodzinnego domu z tkliwą a dumną radością cię wita; więc rozdział cały o tem, jakiego syna matce pan powracasz? Za matką, słudzy i włościanie nadziejami swojemi pozdrawiają młodego dziedzica; więc ciąg dalszy, jakim panem dla nich będziesz, jak pojmiesz i wypełnisz obowiązki swoje; nakoniec przyjdzie rozdział o szczęściu.

— Niech mi też pani choć trochę wywróży, co w tym rozdziale będzie dla mnie zapisane?

— Za wróżkę się nie podaję, panie Cezary, wiem jednak z pewnością, że będzie złotemi literami odbite: „Najpierw stań się godnym szczęścia...“

Cezary milczał, a ja patrzyłam na niego. Jakiż on był prześliczny w swojem zamyśleniu! czasem mu niecierpliwie gęste a wąskie łuki czarnych brwi zadrgnęły; czasem jakiś niepewny półuśmiech po twarzy przeleciał... zdało się, że niby sam w sobie powtarza i rozmyśla ostatnie słowa moje.

— Rozmyślaj! rozmyślaj! — nuciła jakaś syrena po kryształowych toniach fantazyj pluskająca; — czegóż to pragnąłeś w owych najdalszych stronach, młodzieńcze? Pragnąłeś pięknej, jak sam pięknym jesteś, kochającej, jak sam ukochać zdolnym się czujesz: ale obce kobiety zawiodły; rozczarowałeś się kłamanym uśmiechem, zbrzydziłeś sobie kupioną pieszczotę, migotliwa próżność już

razi twoje oczy, puste gruchanie turkawcze niemiło wpada do ucha. Ty, biedny orzeł młody, wątpić zacząłeś, czy znajdziesz twoją kochankę-orlicę; miałeś zaprzeczyć nadziejom, wtem oko spotkało się z okiem, błyskawica z błyskawicą; Aretin z Fornariną, Romeo z Juliettą i słowa przeczenia zamarły na ustach twoich. Nie masz prawa ich kończyć, nie śmiesz, nie chcesz przesądzać przyszłości, bo ta przyszłość jest możliwą dla ciebie, możliwą ze szczęściem i ukochaniem; tylko stań się jej godnym, Cezary! Rozwiń skrzydła ducha swojego, uleć wysoko ku niebu, westchnij głęboko nad ziemię — i kochaj! kochaj mnie!...

Pani sędzina w tej chwili po objaśnienie jakiejś ryciny florenckiej syna odwołała. Mój Cezary opuścił rzeźbioną okna framugę — oj! dobre miałam przeczucie, że go jaknajdłużej przytrzymać w niej chciałam.

Pożałuj mię, Kazimiero! na drodze Cezarego stało weneckie zwierciadło; Cezary spojrzał... dajmy na to, że nieumyślnie, że spojrzał przypadkiem, ale ten przypadek trwał tak długo — i na domiar fatalizmu jeszcze wyraźnie spostrzegłam, że Tycjanowski portret starannie sobie wąsików przymuskał. Tym gestem, jak obuchem, zabił półgodzinną miłość moją; trzeba ci też powiedzieć, Kazimiero, że mam prawdziwie idjosynkratyczny wstręt do pięknych mężczyzn, co się w lustrze przeglądają i wąsów niepotarganych przymuskują. Dla brzydkich nierównie jestem pod tym względem wyrozumialsza. Kiedy brzydki przed lustrem choćby cały kwadrans stoi, to przypuszczam, że zastanawia się nad własną brzydotą, że rozważa czy jest podobnem, aby na jakiejś kobiecie mniej przykre zrobił wrażenie; a nakoniec, chociaż wąsów przygładzi, chociaż czupryny poprawi, to myślę sobie, że mnie się chce podobać. Piękny, jeśli tych grzechów

się dopuszcza, to najnieomylniej dlatego, że już się sobie samemu podobał. Nie mam szczęścia, moja Kazimiero.

Raz to się przez całą godzinę kochałam; zdawało mi się, że przez całą wieczność kochać będę. Leopold grał na skrzypcach — ile jest smutków w duszach ludzkich, ile modlitw i skarg na ustach śmiertelnych, tyle ich dźwięczało pod dotknięciem jego smyczka. Zniknął artysta, umilkły sztuczne trudności, pełną tylko, uroczystą pieśnią wypowiadał się człowiek cierpiący. Śmierć ukochanych jego zabrała, piorun mu spalił chatę ojczystą, szalony wicher rozwiał świętych pamiątek popioły, obojętnością ludzie odepchnęli — Boże! Boże! wesprzyj nieszczęśliwego, ażeby nie upadł. Czy namiętność serce zbolałe ukoi? czy blask djamentów łzy gorzkie osuszy? czy tęsknota wśród gwaru uczt wesołych przygłuchnie? może toasty biesiadne nad żałobnemi zabrzmią wspomnieniami? może oklask tłumu pocieszy? uścisk dziewczyny odurzy, natchnionemu synowi świętości i żalu może część piekła wystarczy! Boże! Boże! obłąkanego strzeż, aby nie zwątpił; ześlij anioła Twego jemu ku pomocy; niech srebrną wodą rodzinnej rzeki spalone usta napoi; niech echem pieśni rodzinnej złe pokusy zaczaruje. Niech mu przypomni szum lasów i klekot z wiosną wracających bocianów i skowronka nad świeżo zaoranym ulatującego zagonem, i ten pacierz rolnika, którym przy ciężkim pługu do nieba się modli, i ten dzwon wiejskiego kościółka, gdzie był chrześcijaninem na służbę Panu, na ofiarę ludziom braciom poświęcony. Tak, przybył anioł i w duszy mistrza śpiewa. Coraz głośniej lament Jeremiego Dawidowej obietnicy nutą się odzywa; męski zapał w młodzieńczej piersi płomienieje. Szatany huczą i szydzą; nie lękaj się, mistrzu młody, wiara twoja silniejsza od siły, miłość twoja wytrwalsza od szyderstwa; idź

śmiało naprzód. Tyrteuszu duchowego zastępu; walcz odważnie, wodzu Ossjanowych hufców. Zwyciężaj, pomazańcze genjuszu i cnoty... Ale cóż to się dzieje? twarz artysty pobladła, krople potu na czoło jego występują.

— Co ci to, Leopoldzie? — krzyknęłam przerażona.

— Okropnie mi gorąco — i artysta rzucił skrzypki, przeciągnął się, ziewnął nerwowo, a brat mój na ochłodę kielich wina mu podsunął — kielich zamrożonego szampana.

— Wiwat! przecudownie grałeś.

— Przecudownie!... tylko ja ci nie powiem, Leopoldzie, że się w tobie tak długo, jak długo grałeś, kochałam — wszak dobrze zrobię, Kazimiero? Chłopiecby sobie niepotrzebnie głowę zawrócił, nabrał śmiesznych pretensyj — ach! jak ten Edmundek mały, co go najniewinniejszym sposobem z właściwej życia kolei wysadziłam. Muszę ci jeszcze i o tem zdarzeniu coś wspomnieć. Edmundek był-to sobie ubogi, dość brzydki chłopczyna, który, kierując się w przyszłości na senatora lub ministra, tymczasem dawał korepetycje synowi pani hrabiny K**. Zdaje mi się, że każdy mniejwięcej korepetytor pisze wiersze w sekrecie; tak robił korepetytor Djoniego i Morysia, tak robił korepetytor moich braci stryjecznych, tak robił i Edmundek. Przyznam ci się, Kazimiero, że ta wierszomanja, którą w pewnym wieku młodzież nasza przechodzi, wielkie zawsze w mem sercu obudza współczucie, nie dlatego, że tam kiedyś sama panna Augusta jakąś popełniła elegję, ale dlatego, że w tem symptomat zdrowszego organizmu widzę. Nigdy Djoni, ani żaden z jego przyjaciół, ani żaden ze znajomych mi paniczów wierszy pisać nie próbował, i owszem, każdy prawie biedniejszy student i aplikant, po uszy w prozie niedostatku zagrzebany, jak mógł, na jakim mógł pegazie

wzbijał się pod same obłoki, świadcząc niby, że płuca jego mają prawo i potrzebę czystszem odetchnąć powietrzem, że oczy tęsknią za pięknością nieznaną, za szerszym widnokręgiem. A któżby jego wysileniom nie błogosławił? Między stadami tych ptasząt cerkających ileż-to nieraz łabędzi Bojanowych skrzydła rozwinęło. Któż mógł zaręczyć, że Edmundek łabędziem pierzem nie porośnie? Gdyby mu było danem w cichem gniazdeczku, pod cieniem zielonych gałązek dojrzewać, dziś jeszcze pewną jestem, że dobrałby jakich dźwięcznych rymów na dźwięczne myśli, na świeże obrazki i poczciwe serca wrażenia; lecz nieszczęśliwa gwiazda w ręce pani hrabiny skierowała swój zeszycik pierworodnych jego rymów. Pani hrabina zbiera z siebie literackie towarzystwo; na jej wieczorach czytają się różne niedrukowane powieści i albumowe poezje; musiało jej właśnie zabraknąć materjału na któryś piątek, bo z największem uniesieniem Apolinowy łup pochwyciła. Przez parę tygodni naprzód wszystkim znajomym swoim zapowiadała fenomenalne zjawisko, aż gdy się ich liczba nad objętość salonową zbiegła (a my z matką w tę ciżbę wpadłyśmy niespodzianie), gdy cisza przyzwoita rozlała się dokoła, nastąpiła egzekucja Edmunda. Posadzono przy głównym stoliku, między dwoma woskowemi świecami, drobną figurkę, w trochę za szerokim fraku, z trochę czerwonemi rękoma, z bardzo czerwonemi policzkami, i kazano jej czytać. Przy pierwszych wierszach mógłby kto myśleć, że wiatr jakiś przeciwny gwałtem do piersi wdmuchuje z ciężkością wymawiane słowa; była to chwila rozpaczliwej walki z niemocą, bojaźnią i fatalizmem; później głos się wyzwolił, nabrał giętkości i pełniejszego dźwięku; wiersze gdzieniegdzie składały się wcale do sensu, nawet gdy przyszło na te słowa:

Któż oświeci, któż poradzi?
Któż przestrzeże, któż nie zdradzi?
Alboż ja się zdradzę komu,
Obce dziecię w cudzym domu.

Gdy przyszło na te słowa, Kazimiero, to przeczułam, że czytający sam od siebie mówi. Jedni przez grzeczność chwalili, drudzy szeptali pocichu „nędzota“: pewien gramatyk zrobił uwagę, że dla końcówki w któremś tam miejscu niewłaściwie czwarty przypadek w przeczącym zwrocie użyty. Ja mój sąd zawiesiłam. „Obce dziecię w cudzym domu“ miałam ciągle przed oczyma; więc gdy Edmundek, dopełniwszy swego obowiązku, zacisnął się w najciemniejszy kącik salonu, poszłam ku niemu z najżyczliwszej siostry przyjaźnią. Zaczęłam go wypytywać o książki, które czytuje, ale chłopiec zmieszał się jeszcze bardziej, niż przy początku swojej deklamacji, i niczego z jego oderwanych odpowiedzi wyrozumieć nie mogłam; zaczęłam mówić o szkołach, w których się kształcił, o profesorach mniej lub więcej szanowanych; już nam szła raźniej gawędka — aż nakoniec stoczyła się do jego osobistych stosunków, do rodziców, sióstr, braci. Mojemu Edmundkowi zupełnie się już usta rozwiązały. Słuchałam go z zajęciem; on też odgadywał pewnie i był coraz śmielszy, coraz podobniejszy do samego siebie. Większa połowa wieczoru zeszła nam tak przyjemnie, że gdy musieliśmy się rozłączyć, Edmundek najniezawodniej widział, jak mię wzywający do fortepianu głos hrabiny niecierpliwił, a ja też widziałam dobrze, jak Edmundkowi żal było samemu zostawać, jak mię przez cały salon wdzięcznem przeprowadzał okiem. — Nie śmiej się ze mnie, Kazimiero: ten maleńki podlotek febowy głębsze niżbyś mniemała zrobił na mnie wrażenie. Juścić że nie jego wiersze, ale polubiłam jego ubóstwo, jego

pracę syzyfową, jego dzisiaj takie smutne, a jutro takie niepewne; upodobałam sobie w świeżości jego wspomnień chłopięcych, w miłości dla rodzicielskiego domku, nie zrażałam się nawet jego nieświadomością naiwną; a co najwięcej wartość jego w mych oczach podnosiło, to właśnie owa przy czytaniu wierszy lękliwość dziecinna i po rozmowie naszej dziecinna pociecha. Edmundek ze swoją głową, trochę podobną do bronzowych lewków, któremi niegdyś szuflady komód i różne sprzęty pokojowe zdobiono. Edmundek ze swojemi ruchami niezgrabnemi, ze swoim ukłonem na jeden bok zawsze przekręconym, wzruszał mię więcej niż pan Cezary z całą swoją olśniewającą pięknością. Nie powiem ci, że się w nim kochać zaczęłam, ale zaczęłam się do niego „przywiązywać“; jest to wyrażenie najlepiej określające pewną serję ludzkich stosunków. Zakochanie, uwielbienie, namiętność, sympatja zwykle więcej robią hałasu; to są jakieś głosy zuchwałe, które nas dręczą, mordują, rozbijają między niebem a piekłem, które pełno niosą z sobą wymagań, zarzutów, swarów. Przywiązanie zaś bywa ciche i nieznaczne, ale trwalsze od djamentu i od życia. Przywiązani jesteśmy do rodziny naszej, do matki, co nas na świat wydała, do mamki, która nas piersią swoją karmiła, do ziemi, na którejśmy wzrośli — dlaczego przywiązani? dowiemy się tego później — lecz nim się dowiemy, już każde włókno ciała naszego, każdy nerw zmysłów naszych i każda każdej myśli niteczka przywiąże się do niteczek z drugiego przedmiotu wysnutych i przejmie nas do pewnego stopnia tożsamością wspólnej natury. Może wściekłość huraganów pozrywać niteczki, mogą złe losy najsilniej do siebie przywiązane porozdzielać serca; nic wszakże potem natury zmienić nie zdoła i mimo przeciwności, mimo zaparcia nikczem-

nego niekiedy, mimo lat długich koleje, zawsze na duszy piętno takiej łączności niestartem zostanie i Bóg nas sądzić będzie według piętna owego. Istotnie, Kazimiero, mnie się zdaje, że namiętności i uczucia wszystkie o tyle w wieczność naszą przesiąkają, o ile właśnie charakter przywiązania noszą. Innym, by też najświetniejszym efemerydom naszego życia, wiemy co oddajemy; przywiązanie bierze z nas mnóstwo niedostrzeżonych żywiołów, daje nam mnóstwo niedowidzianych atomików, rozwija się na całej przestrzeni naszego X wewnętrznego i naszej indywidualności nieokreślonej; gdy się rozstawać przychodzi efemerydom, w każdej chwili możemy ich rachunek wylikwidować; gdy siła potemu, cofnąć stawkę, jaką się zaryzykowało; rozum, serce, dobre imię, szczęście lub swobodę — a przywiązanie? proszę, czy kto obliczyć potrafi gdzie niedobór, gdzie nadmiar, gdzie dług, gdzie pożyczka? Piasek z makiem się pomieszał — i cóż radzić na to?...

Ja tedy zaczęłam się do Edmundka przywiązywać; w zwyczaj mi weszło, że pożyczałam książek, że się zajmowałam tem, co mi po ich przeczytaniu mówił, że gdy u hrabiny goście się zebrali, to mu byłam opiekunką i znajomą jedyną. W zwyczaj mi weszło, że Edmundek rumienił się jak piwonja przy każdem naszem spotkaniu, że mię dwa razy krzywszym, niż innych, witał ukłonem, że często ręce składał i mówił: „Ach pani“; w zwyczaj mi weszło, że się wywiadywałam zwolna o jego zmartwieniach i kłopotach, o jego zamiarach i nadziejach, o upodobaniach i życzeniach najgorętszych: coraz częściej, coraz dłużej przemyśliwałam nad tem, jakby mu rękę podać, drogę życia wygładzić — a tymczasem, kiedy mi się zdarzyło byle przyjemność drobniutką, byle niespodziankę mu zrobić, to doprawdy nie wiem, które z nas więcej się tem radowało. Na nieszczęście dnie za dniami

płyną, a dzień dzisiejszy wczorajszemu niepodobny. Edmundek z nieśmiałości przeszedł zwolna w zaufanie zupełne; gdyby się mógł był na tym stopniu utrzymać, to pewnie na chwilę bieżącą pisałabym o nim, jak o moim braciszku ukochanym, a zresztą ręczyć nie śmiem, łatwo bardzo koniecznie potrzebnym się staje ten, któremu się aby trochę użytecznymi czujemy; lecz Edmundek z zaufania nagle w próżność i zarozumiałość przeskoczył, jego śmieszności gimnazjalne ujęły mię za serce, dzika niezgrabność w moich oczach była jego wdziękiem prawdziwym; lecz mu śmieszności eleganta, niezgrabności paniczyka darować nie mogłam. Powoli, powoli, najpierw zbliżaliśmy się do siebie, powoli też rozchodziliśmy się później. Jeszcze kiedym spostrzegła, że Edmundek staranniej ręce myje i wykwitniej paznokcie utrzymuje, to mi wielką zrobiło przyjemność; kiedym spostrzegła, że gładziej włosy czesze, za złe mu tego nie wzięłam, tużurek składniej do stanu wpadający, bielsze kołnierzyki nie zawadziły mi także. Dopiero, jak Edmundek zaczął się pomadować, ja zaczęłam głową na to kręcić; jak sobie sprawił laseczkę z koralową gałką, okropnie się skrzywiłam; jak mię raz przyszedł odwiedzić w różowej atłasowej kamizelce, już nie mogłam wytrzymać; powiedziałam mu, że nudny i prosiłam, żeby sobie precz poszedł. Czy Edmundek nie domyślił się, o co rzecz chodzi, czy domyśliwszy, chciał ją po swojemu naprawić — nie wiem — w kilka dni potem nasłał na mnie cały arkusz wierszy do mnie i o mnie pisanych. Kazimiero! z pod takiego ciosu przyjaźń zachwiana już nigdy powstać nie mogła. Mnie się zdaje, że gdyby sam Mickiewicz złożył jaką odę pochwalną na cześć Augusty, lub Białej Róży, tobym tego Mickiewiczowi samemu nie przebaczyła. Pominąwszy już to głębokie przeko-

nanie, które w duszy piastuję, że poezja prometejski płomień, że wstyd temu, co ogniem z nieba drewka na kominku lub perfumy w kasoletkach salonowych zapala; pominąwszy wszelkie wymagania prawdy, ideału, boskości, już ten sam podpis Do ** na tytule, jak trupia głowa suche zęby na mnie wyszczerza i strachem nudów przejmuje. Cóż chcesz, Kazimiero, są różne dziwactwa; wspomniałam ci, że mam antypatję do pięknych panów, co się w zwierciadle przeglądają; nie znoszę prócz tego posterunku, topniejącego śniegu, skrobanego tępem narzędziem muru, rozdeptanego robaka, muchy w sosie i... wierszy do kogoś pisanych, zwłaszcza gdy się, jak wiersze Edmunda, w ten sposób zaczynają:

O ty! co jesteś mego nieba gwiazdą złotą,
O ty! co jesteś moją wiarą, siłą, cnotą,
Aniołem mego życia, źródłem mej oazy,
W granitach mego świata djamentem bez skazy,
O ty, co jesteś...

Już nie pamiętam, czem ja tam byłam jeszcze, śnieżnym gołębiem, harfą kryształową, perłą z fal oceanu, kroplą rosy, błyskawicą z nad szczytów Horebu, byłam wszystkiem — ej nie, nie wszystkiem znowu: nie byłam przecież ani pietruszką, ani słoniem, ani pchłą, to pewna jednak, że prędzejbym ci mogła wyliczyć, czem nie byłam, jak czem byłam dla pana Edmunda; domyślam się tylko, że jedno i drugie niewiele cię obchodzi; może co najwięcej chciałabyś się dowiedzieć, czem jest sam pan Edmund dzisiaj? Ot, jest sobie co się nazywa panem Edmundem; oswoił się z atmosferą wyższego świata, jak rybka w wodzie, tak on w hrabiowskich salonach swobodnie oddycha, nawet koło Wielkiejnocy nie pluśnie sobie na powierzchnię stojącego jeziora, żeby skrzelami zdrowszej aury naciągnąć. Stał się już prawą

ręką hrabiego; ludzie praktyczni wychwalają gruntowność jego przekonań; stryj hrabiny, ksiądz prałat, zawsze jest zbudowany jego zachowaniem się w kościele; hrabina zawsze rozmiłowana w przyszłym jego talencie; dostał już małe wprawdzie, ale bliskie, jak mówią, wielkiego ołtarza miejsce; koledzy wróżą mu świetną karjerę; tymczasem wysługuje się, bawi swoim kosztem wielkich panów, zawraca oczy przy wielkich paniach, wpisuje się do najsuciej oprawionych sztambuchów i nie kłania dawnym znajomym, którzy bez rękawiczek chodzą. Trudno mi sprawiedliwie rozsądzić, o ile ja się do tego nieszczęśliwego szczęścia przyłożyłam, to wiem jedynie, że mię przykład Edmundka wielkiej ostrożności nauczył. Mam obok siebie serdeczne, jak pociecha w smutku, a śliczne i wesołe jak radość przy powitaniu dziecię; nieraz chciałabym je upieścić, do serca przytulić, w czarne oczy ucałować, ale jakkolwiek Białą Różą i królową jestem, nie pozwalam sobie na takie objawy czułości. Gdyby znów dziecię owo zbudziło się przedwczesnym młokosem?... czuję, żebym daleko dłużej, daleko boleśniej żałowała go, jak wszystkich razem Edmundów. Ale nie, nigdy do tego nie przyjdzie, Kazimiero; żadnem słowem, żadnem spojrzeniem nie zamącę wyobraźni naszego Morysia. Niech sobie rośnie bez troski, bez życzeń niespokojnych, bez wymagań zuchwałych. Podoba mi się dzisiaj, podoba takim, jakim jest dzisiaj, ale któż mi zaręczy, że z „pazia" giermek, z giermka rycerz godny mej barwy się wykształci? Może jemu całe życie być paziem, dziecięciem, pieszczotką? W todze lub kirysie, czyż pan Maurycy zastąpi tego Morysia, co na moje skinienie biegnie, zatrzymuje się, powraca, w oczy mi patrzy i życzenia zgaduje? Czasem to mój trubadur — sadzam go pod światłem lampy alabastrowej, a w lecie

pod cieniem lipy na ławie kamiennej, daję mu gitarę w rękę i każę śpiewać wszystkie moje ulubione piosneczki, później znów do pazia zatęsknię, umyślnie zażądam jakiejś przysługi; poślę po co, dam co do trzymania, bo nie uwierzysz, jak lubię głos jego prawie sopranowy, ruchy jego wdzięczne, swobodne i tak często ruchom młodego kocięcia podobne; a te minki, co je bezświadomie stroi, gdy się czem bawi lub smuci, gdy zadziwia lub niecierpliwi! Każdą z osobna można wprost na minjaturę przenieść i w złotą broszkę oprawić. Teraz już Moryś jest bardzo do mnie przywiązany; czy kiedy w sercu jego żywsze wzbudzi się uczucie? Może, gdybym choć raz dłoń jego w żywszym przytrzymała uścisku, gdybym ciszej szepnęła te przyjazne, głośno dziś wobec wszystkich wymawiane słowa; gdybym tylko w nadziei mu rzuciła, gdyby choć w zapytaniu: „Dlaczegóż ja, Morysiu, pokochaćbym cię nie miała?“ Moryś do nóg moichby się rzucił, Moryśby płakał z radości, Moryśby mię tak ukochał, jak niewolnik i jak kobieta zarazem. Lecz ja się sama siebie lękam, ja nie chcę żadnej wywołanej miłości; bo niechże mi zaciąży kiedyś, lub życie struje tem przypuszczeniem, że ja, królowa, ja, Biała Róża, nie upragnioną, lecz przyjętą zostałam tylko? Dźwigać odpowiedzialność czy wątpliwość taką, nie! nie chcę nawet względem tego pazia ślicznego, co go już — i co go jeszcze nie śmiem pocałować...

Patrz więc sama, Kazimiero, nikt mi ciebie nie zastąpi; chcę kochać, będę kochała; ale czuwam nad sobą, żeby mi chochlik Oberona czarnoksięskim proszkiem sennych oczu nie zasypał i żebym później jak Tytanja na oślej głowie szczęścia mego, marzeń moich nie oparła. Bogate jest i rozległe bardzo królestwo Białej Róży, lecz bałwankami go nie zastawiłam; cześć fałszywych boż-

ków, gdzie mogę, wszędzie wytępiam, ciebie, Kazimierō, tylko wprowadzam bez obawy do państw moich, bo pewną jestem, że i ty bez obawy także zamieszkać je powinnaś; bądź pewna, że łokciem nie potrącisz, skrajem twej sukienki nie dotkniesz nawet mniej godnego twej obecności towarzysza. Powiedz mi teraz, czy zostaniesz ze mną? Czy masz jaką o wyleczeniu Augusty nadzieję? czy chcesz być siostrą naszą? Wiele, wiele nam możesz dobrego wyświadczyć; ale nie myśl o tem, z pierwszego wrażenia rozpoznaj jedynie, czy my tobie na cokolwiek w życiu się przydamy? czy będziesz mogła znosić Augustę, a kochać taką, jak twoja

Biała Róża.

Adres: Poste restante Opatów i t. d...

Zapewne pan Tomasz się domyśla, że niezbyt długo mój odpis zwlekałam. W trzy, lub cztery tygodnie już doszedł Białej Róży-Augusty, lecz jeśli pan Tomasz chce wiedzieć, co w nim było, to dłużej trochę poczekać musi, a najpierw musi mi szczerze powiedzieć, czy bardzo jest tego ciekawy i czy mu to koniecznie jako ciąg dalszy na uzupełnienie przeczytanej powiastki potrzebne?

Zostaje z winnym szacunkiem
zawsze wierną i posłuszną

Korespondentką.

Acha! mam cię ptaszku nakoniec, pomyślałem sobie, ostatnich doczytawszy wyrazów — drażnisz ty się ze mną, teraz ja się z tobą podrażnię — i ostro pióra przyciąwszy, taką karteczkę na pierwszą pocztę do Suwałk odchodzącą rzuciłem:

„Szanowna korespondentka wymaga ode mnie prawie niepodobnej obojętności względem wszelkich szcze-

gółów, które się do jej osoby odnoszą; zakazuje mi wnioskować o kolorze swych włosów, nie pozwala się domyślać, jakie imię na chrzcie świętym odebrała, żąda zupełnie abstrakcyjnego myśli z myślą braterstwa; jako obrazę swej godności intelektualnej uważa byle słówko zapytania, byle wzmiankę o chęci rzeczywistego stosunku; a kiedy ja moralnym przymusem wdrapuję się na alpejskie wysokości eteru i ducha; wśród obłoków srebrzystych spotykam się z tem samem co opuściłem na ziemi, to jest z całą ową zalotnością kobiecą, która nam biednym śmiertelnikom serce zakrwawia, rozum odbiera i życie marnuje. Godłem tajemnej rzymskiej polityki było „divide et impera“, godłem nie tajemnem, a przecież zawsze także tryumfującem polityki zręcznych kokietek jest „odpychając, przyciągać“. Na mocy tej zasady, jedne doskonale umieją grać wachlarzem: prostaczkowi zdawaćby się mogło, że nim twarz zasłaniają, one ją tylko odsłaniają właśnie; drugie znów celują sztucznym układem welonów na kapeluszach: przechodzącego czasem aż licho kusi, żeby lepiej się przypatrzeć tej migającej białością twarzyczce i tym djamentowo-połyskującym oczom; inne się w gazę kryją przezroczystą: niby je widać, niby ich nie widać, pół jawy niebezpiecznej, pół snu gorączkowego. Dla szanownej korespondentki wachlarzem, welonem, gazą jest jej korespondencja właśnie; to myśl rozwinie, to zwinie, to wysunie się ze swoich tajemnic, to się w nie schowa niespodzianie; to wzbrania patrzeć, a woła: czy chcesz mnie zobaczyć? Krótko mówiąc, szanowna korespondentka biednego członka redakcji kokietuje nielitościwie — i poco? bezstronny jestem, zwyciężonym się uznaję. Nie kocham się w pani, to prawda, lecz tyle przypuszczeń po głowie się roi, że mi nie dają w innej zakochać się kobiecie. Coraz więcej

omyłek zostawiam w korektach, coraz gorzej przepisuję referata biurowe; wczoraj nawet trzy kolumny rachunków trzy razy przerabiać musiałem. Czy pani tego sobie życzyła? No, więc tak się stało: jestem bardzo ciekawy odpisu Kazimiery i koniecznie go, jako dalszego ciągu Białej Róży, potrzebuję. Jestem w tym przypadku śmieszny, rozmarzony, według wszelkiego podobieństwa jestem najgłupszy ze wszystkich literatów warszawskich, ale za moją nędzę moralną, za domysły bezskuteczne i poszukiwania daremne, mam przynajmniej prawo raz jeszcze powtórzyć, że szanowna korespondentka jest bardzo, bardzo zalotną.

Niecierpliwie oczekujący jej przyszłego listu

Tomasz".

Ledwo rzuciłem w skrzynkę pocztową taki zaczepny akt oskarżenia, wielka niespokojność mię zdjęła — a jeśli się rozgniewa?... jeśli pisywać przestanie? Mała strata, krótki żal — perswadowałem sam sobie pomimo wrodzonego stoicyzmu jednak, te myśli mię trapiły zacząłem ważyć, rozpamiętywać, wnioskować, a przyszedłem do jaśniejszego od słońca rezultatu. Albo nieznajoma Kazimiera jest rzeczywiście kokietką; w takim razie oburzy się, nie odpisze i będę miał głowę spokojną; albo nie jest kokietką, w takim razie odpisze coprędzej z usprawiedliwieniem... i cóż ma być dalej? będę wiedział dalszy ciąg korespondencyj między panną Augustą, a panną Kazimierą. Zresztą, nie moja rzecz rozprawiać o tem, co mi się po głowie roiło; nie własnych pamiętników, lecz cudzych pism jestem wydawcą — dość powiedzieć, że wszystkie moje kombinacje na nic pewnego wprowadzić mię nie mogły; korespondencja nie została wstrzymaną, lecz odpowiedź też prędko nie nadeszła, i owszem,

później niż zwykle, a była taką, iż z niej nic wymiarkować mi się nie udało. Może dlatego nie udało, że zawsze pod każdym wyrazem dubeltowego szukałem znaczenia; moja zaś korespondentka, wbrew upowszechnionemu zwyczajowi, myśli swoje przyodziewała w stroje bez podszewki. Kto tam wie i kto zgadnie? Jeśli ciekawy, niech czyta przesłaną mi odpowiedź.

* * *

„Głodnemu zawsze chleb na myśli, a panu Tomaszowi ciągle kobiece zalotności w głowie. Pytałam się, czy pan koniecznie odpisu Kazimiery żąda, dlatego jedynie, gdyż go nie miałam pod ręką. Kazimiera nigdy prawie listów swoich dwa razy nie przepisuje. Byłabym więc zmuszona albo drugi raz mniejwięcej pamięciowo komponować, albo starać się różnemi sposobami, żeby mi do ręki ten wymagany przez pana wrócił; otóż przyznam się panu, że do „rekompozycji" nie czułam żadnej ochoty, w staraniach niewielką pokładałam nadzieję, i gdyby groza tak osobliwszego zarzutu na moją głowę nie spadła, posłałabym dzisiaj ogólne tylko sprawozdanie i usprawiedliwienie; możeby mi się udało pana przekonać, że Kazimiera nic tak bardzo zajmującego odpowiedzieć nie mogła. Lecz kiedy się okazała potrzeba bliższej znajomości, a konieczność usunięcia najniedorzeczniejszych nieporozumień, zrobiłam co tylko dało się zrobić, aby panu dalszego ciągu żądanej korespondencji dostarczyć. Nie jest to właściwie pismo Kazimiery, lecz jest myśl, którą ona zawsze dzieliła i uznawała. Po przeczytaniu krótkiego pamiętnika raczej niż listu Białej Róży, Kazimiera opisała, zwyczajnie jak młoda entuzjastka, z oburzeniem na własną niedomyślność, z dziękczynieniem dla ślicznej marzycielki, z oświadczeniami

najtkliwszego współczucia, o jedno prześlizgnięcie pióra byłaby już na przyjaźń i kochanie wpadła; szczęściem, że te wyrazy powagą uczuć i nawyknień rodzinnych przyodziane, jak na dnie serca, tak na dnie kałamarza bardzo głęboko leżą i niełatwo w rozmowie na usta, w pisaniu na papier się wydostają. Z tym małym wyjątkiem jednak, rozsypałam przed Białą Różą wszystkie perły mej życzliwości. Pokornie ją też przepraszałam za niewczesny żart Feluni i prosiłam, by mię z królestwa swego nie wypędzała, chociaż po łacinie tylko tyle rozumiem, ile rozumie każdy, co Dantego w oryginale studjował, a z greckiego języka znam jedynie alfabetyczne litery, przez porównanie z literami różnych słowiańskich narzeczy. Wkońcu jeszcze ważną bardzo zamieściłam prośbę:

„Chcesz ratować Augustę? mówiłam, o ile sobie przypominam, wyłączniej trochę do mojej Białej Róży; — chcesz ją ratować? ja ci szczerze dopomóc w tem pragnę; lecz ja sama, ja sobie zostawiona, to prawie nie ja, toby tylko pół-dusza i pół-rozum odzywały się do ciebie — a i ta dusza trochę twoją fantazją upojona, i ten półrozum trochę wpływem twoim owładnięty, nic nowego przynieśćby ci nie mogły. Daj mi się skupić w całości mego istnienia, daj mi nad przybywającym skarbem do mego życia cieszyć się razem z bratem moim i razem z bratem rozmyślać. Bo to widzisz, moja Biała Różo, Auguście przedewszystkiem dobrego i kochającego brata nie dostaje. Brat jaśniej niż kochanek, bezinteresowniej od najlepszego męża przedstawia siostrze swojej tę całą stronę męskiego świata, która jej do uzupełnienia pojęć, do starcia słabostek, do urzeczywistnienia kobiecych ideałów jest nieuchronnie potrzebną. Kobieta swemi dwoma oczami na świat patrząca, nigdy żadnego przedmiotu

w jego prawdziwem świetle dokoła nie obejrzy; jeśli ma ku pomocy oczy kochanka, można sto przeciw jednemu stawić, że albo jemu swój sposób widzenia choć do czasu narzuci, albo przymknie powieki i będzie pytała tylko, jak on i co on widzi. W małżeństwie znów najczęściej zachodzi potrzeba ukrywania wielu promyków prawdy dla świętej spokojności; słowem, wszędzie między mężczyzną a kobietą rozsądza się proces o wzajemne szczęście, o jednej i drugiej strony interes: przyjaciel nawet, jeśli go znajdziesz, to się szczerze do współki z tobą rozpatrywać będzie w wielu rzeczach i sprawach, ale nie we wszystkiem, nie w całym świecie Bożym, takim jakim jest, od Pana na wysokościach, do najtajniejszej myśli w nizinach ducha swego lub twojego; każde z was będzie miało pewną epokę życia obojętną dla siebie; zwierzenie, opowieść żadna nie wtajemniczy nikogo do tych wrażeń, jakie człowiek w danym czasie przebywa; tak często sami przed sobą inaczej przecież opowiadamy to, co się z nami działo, inaczej pojmujemy to, cośmy czuli niegdyś, bo przeszłości razem zrosłej ani teraźniejszość, ani przyszłość najdalsza zastąpić nie może; nawet choćby ją wynagrodziła, to jeszcze mi się zdaje, że która z nas brata nie ma i nie miała, to nigdy z zupełną samej siebie pewnością, bez majaczących przypuszczeń lub zastrzeżeń przyjaciela kochać nie potrafi. Brat jest z natury tobą i mężczyzną, ty jesteś ze krwi swojej bratem i kobietą; gdy was uświęci miłość wzajemna, niema już podobieństwa rozdziału; żadne zdarzenie na to wpłynąć nie może, żadna tajemnica, żaden egoistyczny stosunek; szczęście brata i siostry niezależnie, osobno się rozwija; on jej nie potrzebuje, ani przeszkadza; ona jemu nie cięży ani wymaganiem, ani obowiązkiem; zwyczaj i kodeks prawny chcą tylko od nich cichej zgody i pie-

niężnej rzetelności; wszelki naddatek jest dobrowolnym, jak wolny wybór, a jest zarazem konieczny, jak dola człowiecza; jest to najwyższy ów stopień przywiązania, o którym wspominasz, Biała Różo; dwie dusze, dwa organizmy, dwa życia tak posupłane ze sobą, że nie rozgatunkujesz władz, skłonności i wspomnień, chociaż to zawsze będą dwoiste władze, skłonności i wspomnienia.

Ty biedna nie masz brata!... z tego samego ojca i z tej samej matki urodził ci się tylko pan Djoni, współdziedzic majątkowy; lecz Opatrzność chce ten niedostatek wynagrodzić: skierowała twe serce ku takiej szczęśliwej istocie, która właśnie całą świętością uczuć braterskich jest lepsza, a całą pomocą braterskiej myśli mądrzejsza. Nie udaremniaj tego wsparcia, Augusto, przesadną nieśmiałością, lub brakiem ufności. Wszakże nie o karnawałową intrygę, nie o pustą rozrywkę nam chodzi, ale rzeczywiście chcemy być jedna dla drugiej sługą w pracy zbawienia; przyjmijże usługi moje z warunkiem, który ich skuteczność najlepiej zapewnić może...

Tak pisałam do Augusty, bo wtenczas jej list zdawał się zobopólnie ważnem bardzo zdarzeniem, a współudział Hieronima w każdem ważnem dla mnie zdarzeniu zdawał mi się tak potrzebnym, że się bez niego obejść nie umiałam. Szczęśliwe czasy!... Augusta serdecznie i poczciwie przyjęła moje przedstawienie, pozwoliła Hieronimowi list swój pokazać; zastrzegła sobie tylko, nie wiem dlaczego, by on o jej upoważnieniu nigdy ani słowa z ust moich nie słyszał. Wiernie w tym względzie dopełniłam jej woli; Hieronim był właśnie na kadencji w Suwałkach, jakoby więc z własnego natchnienia przesłałam mu wszystkie półarkusiki i zażądałam szczerego nad niemi sądu. Brat mi wkrótce odpisał i ten-to odpis w zastępstwie mojego posyłam. Prawda, że wiele wy-

rażeń zmieniło się i złagodziło pod mojem piórem, były wszakże całe ustępy, które dosłownie z cudzysłowami przepisałam, a nadewszystko tło zostało takie samo, bo odpowiedniejszego próżnobym wtedy i dzisiaj dla przekonań moich szukała. Niech pan Tomasz raczy to odczytać i niech sam później się zastanowi, czy kobieta dzieląca podobne zdania mogła kiedykolwiek życzyć sobie, aby pan Tomasz korektę nieuważnie prowadził, aby się zaniedbywał w pracy biurowej, mylił w rachunkach i nie kochał w takiej młodej osobie, która mu się z praw jego zasług, usposobień i skłonności najsłuszniej przynależy. Proszę coprędzej zdjąć ze mnie ten zarzut, proszę oczyścić mię z tego posądzenia; ach! proszę także nie pozbawiać mię użytecznego memu wykształceniu, a dotychczas dla swej sumienności, dla swych krytyk i dla swej dobrej wiary tak drogiego wdzięczności mojej korespondenta.

Zostaję z lepszą na przyszły list nadzieją —
niech i tak już będzie, że

Kazimiera".

LIST HIERONIMA.

A to widzę, moja siostrzyczko, nie żartem sobie głowę zawróciłaś warszawską pięknością; bodaj czy i mnie nawet nie chcesz bałamucić troszeczkę! Są potemu usposabiające okoliczności. Twoja Biała Róża Augusta, chociaż trudna do zbadania jak artystyczny kaprysik, wielką przecież w moich oczach ma zasługę; najpierw, że uwierzyła słowom pani Felicji, a potem, że się na wartości mojej Kazi poznała. Świadczy mi to o dwóch bardzo zdrowych jeszcze, bardzo użytecznych i bardzo wiele obiecujących władzach jej duszy; o zdolności wierzenia prawdzie i o przeczuwaniu dobrego w sercach ludzkich. Są-to władze daleko rzadsze, niżby ci się zdawać mogło, Kazimiero. Żeby na świecie, gdzie każdy umie gadać słowami prawdy, chwalić istniejące lub nieistniejące cnoty, wielbić rzeczywistych lub urojonych bohaterów, deklamować szczere lub nieszczere kazania, żeby na tym świecie, pomiędzy tyloma wykrzyknikami, zaręczeniami, sylabami i frazesami blisko-znacznemi nie dać się otumanić, nie wyekspensować na próżnię swego entuzjazmu, na lewo i na prawo swoich sympatyj, ugodzić w samą istotę rzeczy, pochwycić ciało, nie barwę: więcej pono trzeba mieć zręczności, niż jej miał ten, co mu w bajce kazano szukać swej kochanki pośród tłumu dziewcząt w jej zupełne podobieństwo zaczarowanych. Tutaj rozum, tutaj, co gorzej, poczciwość nie wystarcza. Rozum znajdzie własnemu szematowi odpowiedni sze-

mat, według rozmiarów matematycznych obliczy sobie, iż jeden do drugiego przystaje, więc już spokojnie dalej chce rozwijać swe wnioski i plany. Aż tu, w stanowczej chwili, jednego boku, jednej linji, czasem jednego tylko, lecz głównego punkciku brakuje. Cała robota na nic. Smutniej to wszakże, gdy poczciwość takiemu samemu zawodowi ulegnie; wtedy człowieka chwila zniechęcenia ogarnie. Jakto? więc nawet prawe serce nie wystarcza do rozpoznania twej przytomności, o prawdo wiekuista, tysiącem doczesnych parodyj oplątana? A zapominamy, że prawe serce także dobrowolnie oplątuje się grubą siatką maleńkich ustępstw, ogromnych pobłażań, systematycznej niekiedy ufności. Nie wymawiając, Kazimiero, ale i ciebie już kilkakrotnie postrzegłem systematyzującą w ten sposób swoje sądy o ludziach: „Póki się nie przekonam, że złe jest, póty mi się go w bliźnim moim domyślać nie wolno; lepiej się zawieść, niżeli powątpiewać; grzechem jest posądliwość nieuzasadniona“ i różne tym podobne stanowisz sobie maksymy, ale tych maksym piękność pozorna nie może wytrzymać probierczego kamienia czynnej życia praktyki. Alboż to niema faryzejstwa, niema obłudy, niema kłamstwa na ziemi? Są, niestety, więc też musisz przyznać, Kazimiero, że kto uwierzy faryzeuszom, zaufa obłudzie, rękę pomocną wyciągnie ku kłamstwu, lub je słodyczą przytakującą uzuchwali, ten srodze zgrzeszy przed Bogiem; subtelne rozróżnienie jakobyśmy cenili wartość pozoru, świętość tytułu, szlachetność roli, a nie podłość aktora, za wymówkę nam wobec Najwyższego Sądu przyjętą nie będzie. Podziśdzień stoją naprzeciw siebie Kaifasz z Chrystusem; zawsze co chwila prawie, wybierać nam trzeba; żadna omyłka bezkarnie nie ujdzie, bo każda nas w skutkach swoich do pałacu jakiego Piłata lub na szczyt Kal-

warji poprowadzi. Dlatego, siostrzyczko moja ukochana, im więcej widzę serdecznej dla wszech stworzeń Bożych miłości, tem więcej chciałbym cię na doskonałej, jak się pismo wyraża, „nienawiści“ ugruntować; chciałbym cię taką surowością i ohydą względem złego przejąć, żebyś ani jednej godziny swego życia na teatralne reprezentacje fałszu nie straciła. Ani ja cię prokuratorem królewskim mianuję, ani żądam, byś wojowniczo przeciw fałszerzom wdowich pieniążków i nazareńskich cudów występowała; inna rzecz prześladować, a inna nie przyjmować; precz kamień z ręki, lecz także precz z oczu kamieniujący; niech twój pokłon ich nie wita, twój uśmiech nie zachęca; — dobrze, zgadzasz się na to, lecz jakże rozpoznać? pytasz. Oto właśnie co mówiłem, rzadkie to i drogocenne władze owe, przez które mamy skłonność wierzenia prędzej słowom prawdziwym, niż kłamanym, kochania prędzej godnych, niż niegodnych uczucia naszego. Gdyby zdolność podobna nie była stokroć pożądańszą od najświetniejszych talentów, możebym ją nazwał talentem; że jednak nie chcę w drobniejszy wyraz szerszego kłaść znaczenia, nazwę ją łaską Bożą. Tej łaski Bożej tobie brakuje, a ma ją panna Augusta. Jest w tem wielka sprawiedliwość, Kazimiero. Z innych względów ułatwioną masz drogę zbawienia, powinnaś resztę pracą i siłą zdobywać; ona, w trudniejszych obłąkana manowcach, z tym drogowskazem przynajmniej na dobry gościniec wyjść może. Jestem pewny, że doświadczenie i ciągłe z rzeczywistością zapasy wyrobią kiedyś w twej duszy uzupełniające jej doskonałość warunki; jak raz i drugi zepsują ci mozolną twoją robotę, w brudnym procesie nadużyją twego imienia, jak opór stawią szczerej chęci twojej i odrzucą myśl twoją; jak osobiście pocierpisz przez nich, lub co złego popełnisz, tak ci łatwiej

będzie zrozumieć, czego to dzisiaj Hieronim od ciebie się dopomina, co mu na sercu leży, gdy tak upornie woła o nienawiść dla kłamstwa, o niewierzenie oszustom. Czy panna Augusta przez współczucie dla dobrych i wiarę dla prawdę mówiących dogoni cię jednocześnie, tego już na moją odpowiedzialność nie biorę; uznałem, że mogłaby dogonić, za nic więcej nie ręczę. Obok całego przepychu umysłowych zdolności, razi mię w niej pewne ubóstwo serca, pewna oschłość wewnętrzna. Jest tam prawdziwość sądów i spostrzeżeń, a niema jednej zasadniczej prawdy; bardzo trafnym kamertonem rozróżnia czyste i nieczyste brzmienia, lecz sama jako ryba bez głosu. Jej wychowanie wiele się do tego przyczyniło; wszystkiego jednak wychowaniu samemu przypisać się nie godzi. Żadne okoliczności nie są tak silne, by „już pragnącemu udoskonalenia“ na zawadzie stanęły. Augusta, pomimo wstrętu do świata, który ją otacza, gatunkiem swoim zupełnie jeszcze z nim razem się trzyma. Prócz tęsknoty ku lepszemu, nie dopatrzysz najmniejszej różnicy w składowych żywiołach, bo nie dopatrzysz pierwiastku wszystko przemijającej, wszystko rozświetlającej miłości. Jej skargi na zimny rozsądek matki na szyderczy dowcip pana Djonizego są przez pół uzasadnione tylko. Niema tak szczęśliwej pod słońcem istoty, którejby w twarz chłodnem powątpiewaniem lub gorzkim sarkazmem nie ciśnięto; są przecież takie, co powątpiewanie przeczekały, sarkazmu się nie zlękły. Może myślisz, że genjusze tylko i święci; nie, ja widziałem w ich liczbie wszystkie szczerze kochające serca. Ludzie mają prawo, nawet wspomniałem ci, Kaziu, że niektórzy mają obowiązek czujnego powątpiewania; nie przeczę, że sarkazm jest tego prawa nadużyciem, ale niemniej przeto stanowi wyborną asekurację przeciw błędnym ognikom i fajer-

werkom zwodniczym. Sama Augusta przyznaje, że masa obrzydliwości egoistycznych stroi się w pawie piórka świętości i ofiary; przeciw takim nieufność na straży stoi. Lecz druga masa, równie dla ludzkości niebezpieczna, jest plewą trudniejszą do odwiania, bo na bliższe ze zdrowemi ziarnkami podobieństwo. Tą masą, tą plewą są właśnie wszyscy „przesadni, egzaltowani, romansowi", wszyscy, którzy udają bez obłudy, którzy nie szukając ani osobistego zysku, ani bliźniej krzywdy, sami siebie najpierw zwodzić zaczynają i lekkomyślnie a świętokradzko biorą najważniejsze uczucia, myśli, cnoty dla zabawki. Tacy ludzie, jak wskrzeszone Baltazary, z naczyń Salomońskiej świątyni piliby wino szampańskie przy swoich ucztach szalonych. Nie pyta żaden, co jest prawdą w nim, w drugich i w Bogu; nie zastanawia się, na jakie przedsięwzięcie sił jego ducha wystarczy, jaki z przedsięwzięcia owoc dla drugich dojrzeje, a jaki z owocu rachunek Bogu zdać przyjdzie; o tem nigdy nie pomyślą; — „ach! jak to ładnie, ja muszę tego przymierzyć"; więc przymierzają wszystkiego, od loków do pięknych uczynków i poświęceń krwawych; kładą rękę na pługu, a ciągle chcieliby się choć w obłokach przyglądać, czy im z tą pracą do twarzy. Otóż przeciw tym muchom egipskim, przeciw tej pladze naszego społeczeństwa, bardzo często sarkazm skutecznym bywa lekarstwem. Muchy rade, by też i na krzyżu Chrystusowym słodyczą miodową się rozkoszować; więc zamiast słodyczy, piołunu kropelka, zamiast rozkoszy, przykrość, zamiast pochwały, żarcik ostro kłujący; przysiąc mógłbym, że większa połowa się odstręczy; jeśli reszta zostanie, to już tak śmiesznie zarozumiała i tak niezręczna, że przynajmniej poczciwi ludzie oszukiwać jej się nie dadzą. Dziwnym sofizmem bronili raz przy mnie jed-

nej takiej muszki rozigranej; była to piękna, zalotna kobieta, która się z prowincjonalnych nudów w literaturę i filantropję rzuciła. Jej stolik, bibljoteka, jej przedpokój, biuro informacyjne żebraków i uliczników; jej najmilsza rozmowa o francuskich ultramontańskich filozofach, jej rozrywka uprzywilejowana loterja na ubogich; jej sprawa najważniejsza bal dobroczynny i podróż do wód zagranicznych; jej suknia ulubiona z mocno wyciętym stanikiem; jej spojrzenie najtkliwsze nie dla męża; jej syn w klasach na oślej ławce, jej córeczka przed lustrem, albo przy każdym młodym człowieku, co z wizytą nadjedzie. Obok tego, twarzyczka pociągła, włosy ogromne, a nieprzyprawne ząbki jak perełki, oczy jak dwie łzy brylantowe w czarną emalję oprawne. Śliczna kobietka jednem słowem; gdyby chciała żyć taką, jaką się urodziła, toby aż weselej było w jej okolicy. Tańczyłaby sobie ze trzy razy na tydzień, śpiewała od rana do wieczora, nie obmawiała sąsiadek, bo ma dobre serce, nie rozwijała teoryj socjalnych, bo wiedziałaby z pewnością, że się na tem nie zna; wsparłaby nieszczęśliwego tem poprostu, coby miała najbliżej pod ręką, groszem, złotówką, czy cackiem kosztownem, aniby jej na myśl nie przyszło, że to jałmużna i dobry uczynek. Dla dzieci wyszukałaby rozumnych nauczycieli, w powątpiewaniu będąc o własnym rozumie — jeśliby czasem westchnąć jej przyszło, że już za stary trochę jej towarzysz dozgonny, wnetby sama przed sobą uznała, jakiego-to jest gatunku westchnienie, i sztucznemi teoryjkami nie podnosiłaby go do zacności wyższej cnoty, do potęgi ideału. Może nie tak długo klęczałaby na sumie, ale bezwątpienia i na cichej mszy i w domu daleko częściej, daleko pokorniej westchnęłaby do Pana Boga — „Mój Boże! jak mi też marnie dni płyną! jaki ze mnie próżniaczek

niegodziwy!“ Pan Bóg pokornym łaskę daje. Kto wie, coby jeszcze za kobieta na starość z tej salonowej lalki się zrobiła? Tymczasem niema nadziei, wpadła w szał poważnej zabawy i z nią razem bawi się mnóstwo starszych i młodszych elegantów; zaraza powietrzem się szerzy; moi zaś koledzy, wracając z proszonego wieczorku, gdy im to wszystko przedstawiam, purytanem mię nazywają i mówią: „Lepiej przecie, że się bawi dobrem, jak złem; lepiej, że na szpitale kwestuje, jak żeby na siebie kwestowała; lepiej że nas z de Maistra i Bonalda egzaminuje, jak gdyby egzaminowała z tego, co się w innych domach dzieje; lepiej, że na męża nie patrzy, a do wielu słodkie oczy zwraca, lepiej, niż gdyby go zwodziła, a tylko dla jednego z nas miała czulsze spojrzenie“. Ja powiadam, że nie lepiej, że gorzej daleko. Takie komedje smak ogólny psują, wykrzywiają opinję publiczną, zasypują żwirem, zanieczyszczają śmieciami ciężką drogę, po której inni z dobrą wiarą mniej śmiałe kroki już stawiają. Ale nie dość na tem: według mojego najgłębszego przekonania, złe nie złem, ale marnotrawstwem dobrego się pleni. Złe samo przez się ograniczone niejako, samo w sobie się kończy. Przeciw zbrodni jest kara, przeciw rozpuście pogarda, nędza, choroba, przeciw grzechom wszelkim jest oburzenie bliźnich i skrucha wewnętrzna, przeciw nadużyciom i przemocy jest walka, jest męstwo, jest poświęcenie. Gdzie spojrzysz, tam znajdziesz dowód tej prawdy najpospolitszego z przysłów narodowych: „niema złego, coby na dobre nie wyszło“, bo niema złego, coby jakiegoś oddziaływania nie wywołało. Jak się dobre zepsuje, zabłoci, skoszlawi, to już ratunek trudny: gnije, zatruwa powietrze, a nikt śmietnika tknąć nie może lub nie śmie, bo go niegdyś szumnem i uroczystem nazwiskiem ochrzczono. Biada tej

choćby najsłuszniejszej sprawie, którą łotr bronić zaczyna! biada tej choćby najpotrzebniejszej instytucji, którą niegodne ręce zakładają! biada temu, choćby najmoralniejszemu prawu, które skalany niemoralnością człowiek stanowi! Przeczekaj pierwszą chwilę złudzenia, zobaczysz jak sprawa upadnie, jak instytucja do rozszerzenia występków się przyczyni, jak prawo zgnębi niewinnych, a przestępców uwielmożni. Taka jest kolej nieuchronna, Mądrości i Wszechmocy palcem zakreślona. Ilość zepsucia przeważa na świecie — jakość dobrego musi świat podtrzymać. Co jest cnotą, musi być cnotą bez skazy złej myśli; co jest światłością, musi być słońcem bez plamy; co jest pracą, musi być szczerem utrudzeniem; co jest celem, musi być w niebie; co jest przyczyną, musi być w sercu świętością. Bez świętości, bez Nieba, trudu czystości i prawdy, każde ziarno czynów ludzkich na glebie historji w pustą słomę wykłosuje. Szczęść Boże wszystkim straszydłom na ptaki, które od rodzinnych zagonów muchy, wróble i trutnie odganiają, czy straszydłem niedowierzanie, czy formułka salonowa, czy potrzask bicza dowcipnych konceptów. Dla skowronka, dla rolników nie lękam ja się tego; skowronek z piosnką pod obłoki wzleci, rolnik coraz pilniej i głębiej będzie krajał swoją skibę. Kto prawdziwie natchniony, kto z głębi duszy kochający, ten nie poczuje lilipucich więzów na nogach, nie dosłyszy śmiechu szyderstwa; lub też jeśli poczuje nawet, jeśli dosłyszy, to o jedną tylko boleść zbogacieje, jedną ofiarę więcej anioł stróż jego w życiu pamiętnik zapisze — i pójdą dalej oboje...

Dziwi mię to, czemu Augusta nie lęka się, by ją o niedołęstwo i dumę pomówiono, a tak omdlewa i trwoży się, gdy ją drobniutki zarzut przesady, egzaltacji lub

romansu dotknie. Mimowolnie nasuwa mi się smutny domysł, że jest trochę przesadną, egzaltowaną. Z tego co pisała do ciebie widać, że nigdy sobie właściwem znaczeniem tych wyrazów nie określiła, ma do nich lekką słabość nawet; kto wie, czyby nawet jakiej tajemnej a bogatej treści nie podsunęła pod ich formę upośledzoną, a to się nie godzi. Dość już mamy babelskiego między ludźmi zamieszania; dykcjonarze nie wystarczają, trzeba się przynajmniej ściśle trzymać językowego zwyczaju. Językowy zwyczaj, to głos sumienia publicznego. Pani Kajetanowa może się często mylić w swoich zastosowaniach, niemniej wszakże trzy owe synonimy: przesada, egzaltacja, romansowość każdemu na myśl przywodzą trzy gatunki czczej parodji dobrego i tej lekkomyślnej zabawki, w której maluczcy ludzie wielkiemi się posługują myślami. Co do przesady jeszcze, tobym jej może wcale nie zarzucał Auguście. Przesada jest tylko niewłaściwą łysiną rzeczywistego jądra, strojem dorosłych osób na dziecięcych kształtach: ucieszy się kto na jedną tercję, a krzyknie całą oktawą; zmartwi na kilka łez serdecznych, a wypłacze na całe bicie serca; zajmie się czem na kilka spojrzeń przyjemniejszych, a rozchwali na dytyramby, polubi kogo na miłe spotkanie, a wyświadcza na przyjaźń dozgonną. Bardzo to niewinna choroba, która czasem jak febra ku zdrowiu posłużyć może; jeśli dla wielu temperamentów grozi wyczerpnięciem, dla niektórych trochę leniwszych gimnastykę zastępuje; dziecko, które się długo plątało śmiesznie w swoich zbyt obszernych szatach, rozwija się stopniowo i dorasta ich miary. Twoja Augusta ma słuch tak delikatny, że nie obawiałbym się fałszywej intonacji w głośnem wypowiedzeniu jej wrażeń; owszem, gdyby mogła sobie zaszczepić tę wadę, możeby kilku innym

zapobiegła przez to; trzeba oddać sprawiedliwość sumiennej rzetelności jej charakteru. Ségur pisze o Polakach: „C'est une nation des héros; ils se disent d'abord plus qu'ils ne sont, mais pas plus qu'ils ne peuvent être, et ils mettent leur honneur a rendre vrai ce qui d'abord n'avait été ni vrai, ni même vraisemblable". Nie tu rzecz mówić, czy się zgadzam na ogólne zdanie Ségura, to pewnem jednak, że mi się przypomniało, gdym list Augusty czytał. Niechby tylko jakim zewnętrznym objawem wzięła na siebie odpowiedzialność wewnętrznej myśli lub doznanego wrażenia, pewny jestem, że starałaby się później ciągiem życia dorównać tej chwili niebacznej może przesady; lecz ona właśnie jeśli sobie przesady pozwala, to raczej in minus, niż in plus; jej powierzchowna skamieniałość jest zbyteczną, przesadną ostrożnością tylko. Więcej nierównie egzaltacji wystrzegać się powinna. Egzaltacja ma źródłosłowem swoim „wzniosłość" i nic dziwnego, że tą wzniosłością bardzo czasem silnie głowy zawraca. Stworzymy sobie pewien ideał doskonałości, zachwycimy się jaką pięknością, uznamy wartość jakiejś cnoty; więc też coprędzej dyktujemy sobie własne postępki według zakroju tego ideału, tej cnoty. Zdaje się, że tak robić trzeba właśnie, a przecież, moja Kazimiero, najniebezpieczniejsza to jest metoda, bitym traktem wiedzie nas do obłudy, do zniechęcenia i mizantropji; mielibyśmy daleko więcej poczciwych ludzi, gdybyśmy nie mieli ich tylu, co odrazu, za pierwszym skokiem, doskonałymi chcieli zostać. Człowiek rodzi się z dobremi i złemi i skłonnościami; dobre skłonności w życiu rozwinięte dają ten owoc, który cnotą się zowie; złe dają ten, który wadami później i grzechem dojrzewa. Otóż cnota żadna nie jest cnotą w tobie, we mnie, w niej, tylko jest cnotą w stosunku uznania bliźnich naszych;

jeden się poświęca dla szczęścia rodziny, drugi cieszy strapionych, inny znów pożytecznie krajowi swemu służy; wszyscy są cnotliwi przed sądem ogólnej opinji, lecz przed sądem własnego sumienia wcale to ich cnotą ani zasługą nie jest; proste użycie daru i zdolności — nic więcej. Prawdziwa osobista cnota człowieka daleko niższa, cichsza, ale trudniejsza, ogranicza się na ciągłej walce przeciw naszym wadom, na strzeżeniu się grzechu, na czuwaniu, byśmy o ile można najmniej złego robili. Pełno jest takich szaleńców, którzy zapominają lub nie chcą rozumieć ważności tego obowiązku; zdaje się im, że gdy sobie przywłaszczą klejnot jaki duchowy, gdy sięgną wysoko zamiarem, lub uczynkiem jednym, to już klejnot zaliczy się na ich wartość rzeczywistą, a zamiar i uczynek pozbawiają siły do tych przedsięwzięć, które bez przymusu wykonać mogli. Ogólna zasada moja, Kazimiero, że niewłaściwa cnota przeradza się w szkaradną wadę; najszkaradniejsza wada poprawiona, uposaża nas zawsze właściwą naturze, bujną i piękną cnotą. Widziałem ludzi popędliwych, którzy sobie przepisali łagodność; apatycznych, którzy się rzucili w administracyjną służbę społeczeństwa; pysznych, którzy postanowili ultra-ortodoksji się trzymać; byli to wszystko ludzie szczerej chęci, nie obłudnego serca; i cóż z tego wynikło? — popędliwy stał się zawziętym, apatyczny rozpacza o świecie i przyszłości, pyszny zatracił w sobie miłosierdzie, niedowiarek zatracił wśród dogmatów uczucie religijności. Gdyby każdy pilnował się tylko od strony, po której chromał, a nie piął na wysokości mniej dostępne, jest wszelkie prawdopodobieństwo, że i z kalectwaby się wyleczył, i w jamę nie wpadł wilczą i zaszedł może, choć później, tam, kędy zajść pragnął; ale nieszczęśliwa nasza egzaltacja zawsze nas pędzi w górę,

jak aeronautów bez spadochronu; ja sam ileż to razy puściłem się pod obłoki! Być kapłanem, żyć z ludem i dla ludu, niema piękniejszego powołania, mówiłem sobie i przez czas jakiś chciało mi się księdzem zostać; aż na szczęście przekonałem się, że nie mam usposobienia na księdza, że przybiłbym się tylko do krzyża, któryby mi bardzo ciężył, a parafjanom moim żadnego nie przyniósł pożytku; kiedy znowu chciałem się w profesorską uzbroić cierpliwość; daremna praca: moja cierpliwość słabością niedołężną dla dzieci, surowością bezlitosną dla starszych, utratą zdrowia dla mnie samego. W końcu własnem doświadczeniem się nauczyłem, że tylko tem być mogę, czem jestem... dzisiaj, atom bezimienny; nie tracę przecież nadziei, że kiedyś i kapłańskie przyjmę na duszę święcenie i mistrza obowiązków dopełnię skuteczniej; znajdzie się to u celu drogi, lecz nigdyby nie znalazło, gdybym chciał z wrodzonemi skłonnościami łamane sztuki pokazywać. Co było w mrzonkach mej wyobraźni prawdą i miłością, co było chęcią służenia ludowi, co ukochaniem młodzieży to zostanie na wieki i stworzy sobie odpowiedniejsze działania warunki; co przyklejonym tynkiem, to już odpadło, dzięki Bogu. Panna Augusta ma jeszcze większą ode mnie skłonność do egzaltacji. Z prawd, przez jej Urszulę podanych, „ideałem dobroczynności szczególniej się zachwyca" i natychmiast chce być dobroczynną. Och! moja Kaziu! powiedz-że jej, że nie ten dobroczynnym, kto nim chce być, ale ten kto się nim urodził, kto w sobie nosi taką potrzebę wspierania, oddawania, ratowania, że ani o skutki jałmużny, ani o pozwolenie rodzonej matki nie pyta. W sercu panny Augusty jest sprawiedliwość dla ubogich, jest uznanie tego, co im się na ziemi Bożej zwrócić przynależy; bardzo to jest chwa-

lebne w jej położeniu uczucie; nie często się z niem spotykać musi, więc za uczucie dobroczynności je wzięła. Myli się jednak. Ta dobroczynność, o której ma jasne pojęcie, a dla której nie ma wyraźnej skłonności, ta dobroczynność, co się dzieli wszystkiem, co kocha wspieranych, co swoje, co potrzebne, co miłe sobie oddaje, jest wyłącznie biedniejszych przywilejem, a bogatszych już sprawiedliwość zasługą. Gdyby panna Augusta, jak św. Wincenty à Paulo, ot, nie szukając dalekich przykładów, jak u nas nieboszczka Wilczyńska, lub Stanisław Jachowicz, dobroczynną była z serca, z powołania, z natury, to najpierw wierzę mocno, że wszystkie okoliczności jej życia takby się skombinowały, iżby nigdy z czterystu złotemi w kieszeni długo po ulicach Warszawy nie chodziła; siarka z merkurjuszem zawsze się łączy, magnes żelazo przyciąga; na tej samej zasadzie fizycznej, serce litosne i dobroczynna ręka zawsze potrzebujących wsparcia i prawdziwie biednych przyciągają; a potem pewny jestem, że jakby przyciągnęło, to już żadne przedstawienia pani Kajetanowej, chociażby sobie pana Djonizego na pomoc przyzwała, na nicby się nie zdały. Co to jest siła najdrobniejszej prawdy przeciw wysileniom najdrażliwszych zaprzeczeń stawiona? to jak słońce przeciw ciemnościom, djament przeciw uderzeniom drewnianego młotka. Augusta sama porównać może, czem było jej postępowanie względem wdowy biednego malarza, a czem względem Urszuli. Kilka słów ją wstrzymało od pójścia na pogrzeb samobójcy: długa, choć skryta walka, nie wymogła na niej tego, by Urszulę kochać przestała; co najwięcej, to przestała pisać wiersze, naśladowane, czy oryginalne? nie bardzo się nad tem zastanawiam i rozczulam; daleko mię więcej pociesza, że się dla przyjaciółki swojej nie zmieniła; bo też kochać,

kochać tylko, a świat nasz i ludzie nasi, niema przeszkód, niema trudności, zniechęceń, ustępstw żadnych. Kto więcej kocha, ten wszystkich obojętnych upór przełamie, a nienawidzących prześladowania zwycięży. Mój Boże! czemuż my tacy nędzni, że sobie nawet kochania przysporzyć nie umiemy! Kiedy jest w duszy, to dobrze, kiedy niema, choćbyśmy własne piersi jak Katon rozdarli, to i zdziebełka nie zasiejemy dowolnie. Każdy z nas wie, że miłość potęgą, mądrością, szczęściem; jeśli aby przez chwilę, jeśli cokolwiek lub kogokolwiek w życiu swojem kochał, wie jakim wtedy był cudotwórcą, jakim panem, jakim prorokiem, a przecież gdy się coraz więcej do kochania napędza, to znaczy tyle, co gdy się do cnoty pewnej lub upodobanego idealiku dociąga. Miłość koniecznie być musi samorodną, niezależną, z siebie i przez siebie powstałą, inaczej miłością być przestaje, a romansem być zaczyna. Jest pełno między ludźmi serc do miłości stęsknionych, bo przecież jest i dusz pełno stęsknionych do ostatecznego zbawienia; ale czy sercom, czy duszom narzucony, przymus moralny równie szkodliwym się okazuje. Ty, Kazimiero, nie znasz jeszcze tego rodzaju wewnętrznego dramatu: bodajbyś nigdy nie znała przez własne doświadczenie! staraj się jednak dobrze zrozumieć wszystkie jego przejścia i cały rozkład sceniczny, bo może nieraz drudzy w czynną rolę cię zaplączą. Są także dziwne, niby gwałtowne a bezsilne, niby ogromnie bogate a ciągle potrzebujące i głodne, niby ruchliwe a nieczynne usposobienia, które znają zawiele, myślą zawiele, czują tylko zamało. Gdy się spostrzega w tem ubóstwie swojem, najpierw nie przypuszczają nigdy, aby to ich osobistej natury było skutkiem; przecież łaskawie chcą kochać, gotowe kochać, wyobrażają sobie jak tkliwie, namiętnie, artystycznie, niezmiennie kiedyś

będą kochać; lecz nie kochają!... nudno, zimno, głucho na świecie; więc to świat winien, to ten lub ów przedmiot, ta lub owa przyczyna; trzeba szukać innych przedmiotów, usuwać wewnętrzne przeszkody, gonić za wrażeniami, i dopiero zaczyna się szereg różnokolorowych romansów, nanizują się na przędzę życia szklane weneckie paciorki, żółte, zielone, czarne, białe, częstokroć, a prawdziwej perły jak niema, tak niema!... I cóż na to poradzić? Oto, najpierw trzeba przyjść do uznania własnego niedołęstwa i chorobę nie zewnętrznie, ale w sobie zacząć leczyć. Wszakże widzimy tyle jeszcze, nie do zbytku, zawsze jednak wystarczającej do przechowania prawdy; widzimy tyle istot kochających szczerze, prawdziwie, kochających tak, że nie mogłyby nie kochać, chociażby nawet ich losy od tego zawisły; co więcej, widzimy, że kochają nie same ideały wcielone, nie same piękności doskonałe, ale wszystko co do kochania Bóg im w bliskości postawił: jeśli rodziców, to rodziców, choć z najsmutniejszemi przywarami; jeśli dzieci, to dzieci, choć wcale nie obiecujące na przyszłość i nieponętne w teraźniejszości; jeśli przyjaciół, to przyjaciół, choć niesłynnych rozumem, znaczeniem, tkliwością; jeśli kochanków, to kochanków, choć zwyczajnych ludzi, choć ułomnych, choć nie bohaterów. „Dlaczegóż oni czy one kochają, a ja kochać nie mogę?“ Z tego zapytania kto sprawiedliwą odpowiedź wysnuje, kto rozpozna że jemu władz uczucia, nie zaś przedmiotów uczucia brakuje, ten już trzecią część przynajmniej skutecznej odbył kuracji.

Może tam na początku przyjdzie do rozpaczy i rąk załamywania, ale na końcu musi przyjść do wniosku, że kiedy miłość nie jest do zdobycia, to jest do wysłużenia zapewne; że kiedy nie jest uszczęśliwieniem, to jest na-

grodą i chwilą łaski będzie. Nie rozpraszać się tedy, nie łowić wrażeń w mętnych wodach świata, ale służyć trzeba wytrwale: wiedząc o chłodzie serca, pilniej baczyć na każde jego uderzenie; wiedząc, że drugich nie kochamy, pilniej strzec, byśmy samych siebie nie pokochali zbytecznie; ustępować, przebaczać, dobrocią wypełniać próżnię piersi naszej, światłem prawdy rozciepłać jej tętna zakrzepłe; oburącz chwycić się jakiej pracy użytecznej, czy nauki dla siebie, czy obowiązkowości dla drugich, nie wymagać, nie oczekiwać, nie gonić. Miłość zstąpi jak Bóg w ducha naszego i będziemy zbawieni. Ludzie sobie na nieszczęście wielki poemat o miłości ułożyli i w oderwanych wierszach, aforyzmach, ustępach ten poemat jak fałszywa moneta rozbiegł się po kraju. Według tego, com rzekł trochę wyżej, jest to ogólnie przyjętą zasadą, że wielkie czyny, święte sprawy, nieśmiertelne dzieła tylko z natchnienia miłości powstają; drugiem, również słusznem i upowszechnionem zdaniem jest to, że kto nie kocha, ten ani do wielkiego czynu, ani do świętej sprawy, ani do żadnego nieśmiertelnego dzieła ręki przyłożyć nie powinien. Prawda, lecz nawzajem jeżeli nie przyłoży, nigdy kochać nie będzie; jakże tu wyjść z tego cercle vicieux, jak rozwiązać tę fatalną dilemmę? Zdziwisz się, Kazimiero, gdy ci powiem, że jej rozwiązanie w kalendarzu znalazłem! Tak jest, moja siostrzyczko, w kalendarzu, a przecież to nie koncept z kalendarza; w nawiasie tylko daruję ci tę obserwację, że kto jest pełnym myśli swojej, ten zawsze ciąg jej dalszy, rozjaśnienie lub wytłumaczenie, stosownie do tego, co mu potrzebnem, zawsze, jak mówię, z byle zewnętrznego wypadku, z byle drobnostki wyciągnie. Newton ze spadającego jabłka i t. d.; znasz ten szczegół, na nic się nie zda powtarzać; wracam do siebie i do kalendarza. Otóż

mnie przez czas jakiś trapiły wszystkie takie uczuciowe wątpliwości; trochę dla własnej korzyści, trochę dla bliźnich pomocy głowę sobie nad niemi łamałem; aż tu raz mi potrzeba było do kalendarza zajrzeć; szukam daty o kilka tygodni ubiegłej, przesuwam palcem dni za dniami i czytam najpierw bez uwagi, potem z pewną przyjemnością imiona świętych patronów. Są męczennicy, biskupi, apostołowie, papieże; są panny, wdowy, męczenniczki, aż raz po raz spotykam „wyznawca, wyznawca". No proszę, jakaż to świętość wyznawcy być może? Zacząłem rozmyślać nad tem i zrozumiałem całą głęboką mądrość tego naszego kościoła godności. Istotnie, czyż każdemu jest dane papieżem, władcą dusz chrześcijańskich zostać, czyż każdemu owczarzem djecezjalnej trzody? albo kto zapragnie, ten głosem swoim tłuszczę pogan nawróci? czyż kto się ochrzci, ten za prawdę chrześcijaństwa krew swą jak wodę przeleje? Nie, zaiste, los podobny w rozporządzeniu opatrznem niewiadomych nam celów i niezapamiętanych przyczyn spoczywa; tylko wyznawcą każdy być może, każdy być powinien, wyznawcą na wszystkie chwile, zdarzenia i okoliczności swego życia; w biedzie i w dobrym bycie, w oschłości serca i w uniesieniu zachwytu, przed obojętnymi i przed wrogami, przed tymi, którzy nam dobrze czynią i przed tymi, którym my dobrze czynić nie możemy. Od słowa do zwyczaju, od świadectwa do zastosowania, od pochwały do potępienia być ciągle, być zawsze wyznawcą, nigdy kłamstwu nie przychlebić, nigdy prawdzie nie zaprzeczyć; wypowiadać ją, choćbyśmy czuli, że sami przy jej blasku zmalejemy, dopominać się o nią, choćby nam jako książeczka apokaliptyczna gorzkością zatruć miała wnętrzności; trzymać się jej, choćby ręce drętwiały. Kościół to narówni z innemi zasługami waży i świętością nazywa. O! gdyby więcej

wyznawców... ale ich tak mało właśnie, tak mało, że mniej niż męczenników i apostołów, niż lewitów i pustelników — a czemu? bo ludzie romansują; bo jak twojej Auguście, chce się im tylko rozkoszy serdecznej, a nie pomyślą, że przedewszystkiem duchowej trzeba zasługi. Straszna to bieda z takimi ludźmi i z taką panną Augustą, a Biała Róża jeszcze stokroć gorsza; Augusta przynajmniej szuka miłości na drodze dobrych uczynków, romansuje z ideałem cnoty, poświęcenia, z samą sobą romansuje; lecz Biała Róża gdy o miłości mówi, to jakby tylko jedną na całym świecie miłość pojmowała: kochanki i kochanka; przed jej wyobraźnią ciągle łamią się pryzmata owej gwiazdeczki, którą Bóg nad zenitem drogi naszej rozetlił, aby nam jej zstępną połowę trochę ułatwić, trochę oświecić, trochę rozgrzać. Gwiazdeczka jednak nie każdemu błyszczy: czasem zgaśnie, czasem chmurami zajdzie, czasem rozbije się w przestrzeniach, albo nabok usunie. Kto rozumny, ten ją do naddatków życia jak urodę, majątek, lub wyższy talent w sztukach pięknych policzy. Waszej Białej Róży zdaje się, że to jej święta przynależność; ku temu jak ku magnetycznemu biegunowi się zwróciła i za byle okolicznością, w byle jakie nauki ją oprawia. Podoba jej się powierzchowność młodego człowieka, rozrzewnia czyje położenie, unosi jakie mistrzostwo, zniewala uprzejmość doznana, w też tropy, zamiast coby poprostu rzecz każdą nazwała imieniem, ona już pyta, czy to nie miłość będzie? Sama z dobrej woli traci prawo do niewinnego ocenienia pięknej powierzchowności, do bezinteresownej ofiary, braterskiego współczucia, do artystycznych nieskalanych wrażeń, do czystej siostrzanej przyjaźni. Często bardzo wytłumaczyć sobie nie umiem, jak mogą niektóre kobiety za jedno uro-

jenie tyle oddawać skarbów; na nieszczęście, coraz dowodniej się przekonywam, że oddają rzeczywiście.

Usunąć tylko romans z towarzystwa, ręczę, że się wszystkie foremki rozprzestrzenią, lżej będzie oddychać; kobietom żadne rogatki między wschodem a zachodem, między północą i południem drogi nie przegrodzą. Miłości nawet będzie więcej, i kochanki szczęśliwsze i kochankowie wierniejsi; lecz na co się zdadzą moje pia desideria? Dzięki Bogu przynajmniej, że ciebie jeszcze, Kazimiero, na żadnym nie pochwyciłem romansie; kogo kochasz, to go kochasz, kto ci się podoba, to ci się podoba, kto ci na wyłączną miłość przeznaczy, tego spotkasz i rozpoznasz, a nie rozpoznasz, to wiesz zawczasu, żeś spotkać nie miała, i rozbudzasz i wzmacniasz serce swoje nie pragnieniem, nie tęsknotą jedynie, lecz prawdą, pracą i życiem. Ja też... chciałem najniepotrzebniej w świecie pisać o tem, że cię kocham. Kochałbym cię zapewne, gdybyś nawet inną była; nie o tem mowa wszelako: lepiej ci powiem rzecz daleko ważniejszą. Nie lubię przesady, lękam się egzaltacji, wstręt mam do romansów, to już wszystko mniejwięcej z listu mojego odgadłaś; teraz ci powiem, siostrzyczko, że wolę romans bawiący się w uczucie, wolę egzaltację bawiącą się w cnotę, wolę przesadę bawiącą się w piękność, wolę wszystko co jest śmieszne, zdrożne, zaczepne, wolę wszystko... niż marzenie! Marzenie! tobie się zdaje, że to lekka słabość tylko, a to jest prawdziwie śmiertelna choroba; radź o niej jak możesz najprędzej, moja Kaziu, jeśli chcesz sumiennie odpowiedzieć ważności położonego w tobie zaufania. Radź, niechaj Augusta bez litości swoją Białą Różę uśmierci, niech tańczy aż do płuc zapalenia, śpiewa aż do bólu gardła, niech wszystkie domowe utrzymuje regestra, niech co chce robi, byle tak skupiać mu-

siała uwagę, tak naciągać nerwy i tak się chociaż w najnudniejszym życiu wszystkiemi władzami duszy swej jednoczyć, żeby jej ani jedna chwila, ani jedno wrażenie ku bezpowietrznym szlakom nie uciekło. Dobrzeby zrobiła, gdyby codziennie do ciebie listy pisywała, gdyby wiersze nawet; wszystko jest zdrowsze od tego stanu „marzeniem“ zwanego. Młode głowy i niezapełnione serca widzą w niem tylko nadmiar wyobraźni, jakąś władzę szlachetniejszą, którą, co najwięcej, to hamować i ograniczać i radzą, a ja ci powiadam, Kazimiero: marzenie jest szkaradnym nałogiem, jest prostem pijaństwem, ze wszystkiemi skutkami pijaństwa, lubo z trochę napozór odmienną przyczyną. Odmienność ta fizycznie jedynie da się rozpoznać: marzyciel nie bierze flaszki z gorzałką, nie zapala naładowanej opium luleczki: niewidzialnie tylko chęć przyzwalającą podsuwa; w umysłowych sferach i różnica znika zupełnie; pijakowi o to chodzi, żeby trapiące działanie rozumu przytępić, o biedzie zapomnieć w błogiem odurzeniu i w przyjemnych fantazjach utonąć. Marzyciel nie ma także innej do marzeń podniety: w marzeniach swoich szczęśliwszym się czuje. Kazimiero, czyż tobie mam przypominać, że w tych krótkich między dwoma nieskończonościami wypożyczonych latach, człowiek ma inne przed sobą zadanie, inne nad sobą prawo Boże?

Ludziom, którzy w zbawienie i konieczność zbawienia swej duszy nie wierzą, próżnobym o szkodliwości marzycielstwa dowodził. „Nam z tem wygodniej“ — odpowiedzieliby — zapewne; lecz między braćmi wspólnej wiary mogę całym głosem mych piersi i całą surowością najstraszliwszej groźby o prawdę się upomnieć. Prawdą zaś ostateczną, jedyną, prawdą świętą i rzeczywistą w życiu człowieka jest jego duszy zbawienie; tu nie

o szczęście, nie o ciekawość, nie o przepchnięcie łatwiejsze lub trudniejsze jakiejś miary czasowej chodzi; tu chodzi o to, by człowiek osobistość swoją wzbogacił we wszelką możebną doskonałość, by dla niej wypracował najbliższe z Bogiem podobieństwo; już i tak trudno z karykatury się otrząsnąć, a cóż dopiero gdy przychodzi coraz jaśniej, coraz czyściej do pierwowzoru wiekuistej piękności się podnosić. Sama najlepiej wiesz, Kazimiero, i cały list mój tem zapełniłem, jaka jest nędza ubogiej naszej natury, ile trudów trzeba ponieść, ile cierpliwości zużyć, ile własnych upadków podźwignąć, by się do jakiejśkolwiek zewnętrznej pracy przysposobić; a taż praca dopiero, czy pigmejska, czy tytanowa, czy pacierza z małem dziecięciem, czy dziejowa siejba ludzkości, ta praca każda w każdej chwili jakiegoż-to potrzebuje przygotowania, jakiego natężenia wszystkich władz naszych, wszystkich potęg ducha naszego: pamięć nie starczy, rozum nie starczy, uczucie nie starczy, wola chwieje się tak często; człowiekby sobie, gdyby mógł tylko, wiary, miłości, nadziei przysporzył, geniuszby wszystkich wieków chciał zebrać do myśli, boleści wszystkich męczeństw chciałby w serce przelać, siłę wszystkich atletów chciałby mieć w ramionach i wie, że wtedy jeszcze niewieleby uczynił, i wtedy jeszcze krokiem zaledwie posunąłby się ku jasności zbawienia, ku obietnicom i splendorom Królestwa Bożego. Tyle jest do roboty, tyle jest do wyrzucenia z siebie, do stworzenia w sobie, do poprawy w zdarzeniach, do odratowania w bliźnich, do wydarcia przyszłości, do odpokutowania z przeszłych grzechów, do zasłużenia cnotami! Tyle jest do roboty, a ludzie marzą!... Duch z nich przed grobem jeszcze ulatuje, buja po kwiatkach, śni o miłostkach, rozkwita się nad srebrnemi promykami księżyca, zdaje mu się, że to ciągłe samobójstwo

nie liczy się między grzechami wołającemi o pomstę do Boga. Wierz mi, Kazimiero, stokroć lżejszy sąd będzie na złodziei, na samobójców jednorazowych, niż na tych okradających wieczność Pańską i dobrowolnie duszę z ciałem dzielących. Zuchwalec, który w cierpieniu zżyma się i targa, mniej grzeszy Prawdzie Najwyższej, niż ten, co przed troskami tego świata w marzenia się kryje. Augusta, póki marzyć nie zaczęła, póty serdeczniej kochała, głębiej czuła otaczające ją przesądy; kiedyś byłaby musiała z niemi do walki wystąpić, dziś jest spokojniejszą... Nie daj Boże spokoju takiego! Obudź ją prędko, bo zaczadzieje i potem nawet krwi puszczenie nie pomoże. Obudź ją prędko: pałace, w których Biała Róża zamieszkała, to domy rozpusty szkaradnej, to groby pobielane. Owa zdolność marzenia może jej się rodzoną siostrą poezji wydaje? Bluźnierstwo! poezja rozmyśla, poezja tworzy, poezja wypowiada się ludziom; a wiesz czem jest marzenie? oto w niebezpieczeństwie jest bezwładnością, w nieszczęściu jest niedołęstwem, w zepsuciu jest zagłuszonem sumieniem, w Egipcie jest Izraelitą nad garnkiem czosnku i cebuli siedzącym; w chrześcijaństwie jest renegatem nikczemnym; w nas, siostro moja, jest utratą Nieba dla kilku chwil martwej rozkoszy. Precz z marzeniami! precz z marzeniami!... Powiedz to Auguście.

Hieronim.

Powiedziałam to Auguście, radziłam jej, żeby coraz więcej pisała; ale dotychczas nie było na list mój żadnej odpowiedzi; czy ją rozgniewał, czy znudził? czy ją to rozczarowało, że po grecku nie umiem? — pomóż mi, panie Tomaszu, do rozgmatwania tych wątpliwości!

Nie wiem, czy kto z państwa widział u nas kiedy prawdziwie oryginalnie urządzony pokoik? Lecz najpierw zrozumiejmy się dobrze: co ja właściwie oryginalnością nazywam? Wiele osób robi z tego wyrazu trochę ubliżające dla twórczości przezwisko: oryginalne dzieła znaczyć mają bardzo często pierwszy raz odsłoniętą nową jakiej prawdy lub piękności stronę. Jest w tem słuszna przyczyna, zaiste, jeśli zwrócimy baczność na źródłosłów oryginalności, w której zarazem przypomnienie pierwotności leży; jednakże potoczna mowa zupełnie inny ma dykcjonarz, o źródłosłowy nadzwyczaj rzadko pyta, lada zbiór szumniej brzmiących sylab bierze, stempel zwyczajowy na nich wyciska i puszcza w obieg na podobieństwo biletów skarbowych; czasem się który, z rąk do rąk przechodząc, tak zedrze i zabrudzi, że go potem nikt brać już nie chce, czasem na całej masie ten lub ów bankier upadłość swoją ogłosi. Dość byłoby na przykład w krótkości przebiec tutaj kilka wyrazów koleje: honor, przyjaźń, poczciwość, a kolosalne nomenklatury filozofów; lecz toby pewnie dużo czasu nam zabrało, ja zobowiązałam się tylko do objaśnienia tego, co przez oryginalność rozumiem. Oryginalność więc przyjmuję nie według znaczenia początku, ale według potocznej mowy i w jej bieżącej wartości. Skoro powiemy, że ktoś jest oryginalnym człowiekiem, lub oryginalną kobietą, nikomu pewnie ani Adam, ani Ewa na myśl nie przyjdzie, tylko w rodzaju

męskim co najmniej to jaki Anglik — w rodzaju żeńskim co najwięcej to jaka zręczna i dowcipna kokietka. Stąd widzimy, że oryginalność jest pewną wyłącznością, pewnym znakiem jednej tylko osobie lub rzeczy służącym, niby drugiem imieniem własnem, które mogło być wprawdzie innym osobom i rzeczom już nadawane, które przeto nie jest zupełnie nowo skomponowanem, ale które my przynajmniej pierwszy raz słyszymy, wymawiamy, czytamy lub sylabizujemy, że zaś pierwszy raz okropnie nas to zaciekawia, zaciekawienie więc możemy położyć jako warunek niezbędny, prawie synonim oryginalności. Oh! kosztowny też to jest klejnocik! Spotkany w sklepie życia, na wagę czystych djamentów przepłaca się niekiedy, a jednak póty ma wartość jedynie, póki go kto do ręki nie weźmie, na wszystkie boki nie obejrzy, wszystkich zeszlifowanych fasetek nie przeliczy i stanowczo się nie przekona, do jakiego gatunku krystalizacji należy, czy przez ogień, czy przez wodę, czy przez grę promieni słonecznych; póki tego nie wiemy, póty nas bawi i drażni, dajemy zań wszystko, co mamy najdroższego w życiu: wyobraźni naszej skarby, piękne a niepowrotne lata naszej młodości, czasem nawet prawdziwy średniowiecznej cudowności karbunkuł, ten czarny djament, co blaskiem swoim najgrubsze ciemności rozprasza — dajemy serce! Później żal serca, żal lat młodych i zmarnowanych rojeń miodowej fantazji — co bawiło, to nudzi, co drażniło, to brzydzi; odgatunkowaliśmy nabyte cacko: oryginalność spowszedniała, jak pierwszy dzień tygodnia. Ale mnie pokoik oryginalny spowszednieć nie mógł, bo go nie odgatunkowałam dziś jeszcze.

W jednym z najwykwintniejszych pałacyków Nowego-Świata — znają go przecież wszyscy; ten, co to rozłożyste drzewa koło niego rosną, a za nim gęsty ogród

się cieni... I cóż? jeszcze państwo nie wiecie? Chyba musiałabym palcem wskazać, a mnie w dzieciństwie uczono, że to bardzo nieobyczajnie. W tym więc oto pałacyku na dole, od strony ogrodu, po prawej ręce, gdzie okrągła ścięta wieżyczka skrzydło poboczne zakończa, był śliczny pokoik; trudno powiedzieć, jak teraz wygląda, lecz w czasie odpowiadającym dacie powyżej przytoczonego listu był, według mego zdania, prawdziwie oryginalnie urządzonym. Widziałam dosyć świetnych salonów i pięknych buduarów; wszystkie jednak mniejwięcej do siebie podobne, wszystkie tak łatwe do podzielenia na kategorje, że wprawniejszy badacz nigdy się nie omyli i z pierwszego rzutu oka wywnioskuje, czy właściciel obywatelem, czy urzędnikiem? — już nie mówię, czy i w jakim stopniu bogaty? ale czy rozumny, czy nierozumny? czy próżny, czy prawdziwy komfortu i upiększenia amator? — właścicielka czy jest elegantką, czy tylko zbytnicą? czy piękną, czy przystojną, czy brzydką? — gdzie literatura, a gdzie muzyka? gdzie malarstwo, a gdzie bigoterja przeważa? wnet to można z pewnych tradycyjnych cech rozpoznać. Tymczasem w pokoiku przy Nowym Świecie na dole, od ogrodu, wiele rzeczy zaciekawiało, a żadna nie tłumaczyła, jak nudny cicerone, przyczyny swego umieszczenia, duszy swej pani czy pana, bo nawet tego nie zgadniesz odrazu.

Proszę sobie wyobrazić okrągłą, jak namiot, rotundę, obwieszoną, jak namiot, zwojami zielonej jedwabnej materji. U sklepionego sufitu złocista rozeta skupiała wszystkie jej fałdy, a trochę niżej złocista obręcz, miejsce gzemsu zastępująca, jeszcze je w lekkiej przytrzymywała karności, lecz od obręczy aż do posadzki płynęły już sobie swobodnie, jak ciężkie i gęste fale jakiejś ciemnoszmaragdowej kaskady. Rząd gwiazd złocistych, poroz-

sadzanych o kilka stóp nad ziemią, znaczył miejsca, w których można tę ścienną kotarę rozchylać i na stiukiem wyłożonych murach powłóczystemi festonami firanek układać. W jednem takiem, między innemi, rozsłonięciu, przez gotyckie okno biły latem promienie słońca i płynęło świeże ogrodu powietrze, w drugiem ukazywał się czarnym marmurem wyłożony kominek, w trzeciem drzwi, któremi niekażdemu, zaiste, wchodzić było wolno. Pod oknem z aksamitnych poduszek usłana otomanka. Naprzeciw kominka stał wygodny, jak próżniacze rozmarzenie, fotel. Podłogę w różnokolorowe drzewa mozajkowaną przykryto miękkim, a zielonym także, niby kawał podesłanego trawnika, dywanem; na dywanie tu i owdzie rozrzucono kuszące do sennego przeciągnięcia się wezgłowia. Słowem mógłby kto sądzić, że to jakiejś leniwej odaliski, albo chorowitego nababa schronienie. Dwa świeczniki ku środkowi wysunięte, a w doskonałym odlewie spiżowym przedstawiające dwie indyjskie niewolnice, które na schylonych głowach niosły mleczne jasnych lamp globusy, jeszcze dokładniej uzupełniały ten azjatycki obrazek. Dopiero śliczne pianino Pleyela, między Indjankami stojące, przypominało trochę europejską cywilizację, a kiedy wzrok się dokoła uważniej potoczył, cywilizacja ta niespodziewanie występowała w godłach osobliwie dobranych. Z jednej strony od drzwi do okna półwieńcem wznosiło się sześć białych marmurowych kolumn, a na nich z kararyjskich łomów biegłem dłutem wydobyte popiersia najsławniejszych arcymistrzów cierpienia i poezji. Ślepy Homer pierwszy z rzędu witał przybywających u proga; za nim Dante wygnaniec, Kamoens w szpitalu konający, Tasso szalony rozpaczą więzienia, Milton oślepły w nędzy i zapomnieniu, Adam nakoniec tuż przy otomance, rodzic wszystkich nowego pokolenia

udręczeń i pociech — rozbolały aż do bluźnierstwa ich męką, natchniony aż do proroctwa ich ukochaniem. Dalej, po drugiej stronie, od okna do kominka, jeszcze mniej spodziewane przedmioty zadziwionemu ukazywały się oku. Skrajne kolumny dźwigały w całych postaciach przedstawione dwie najczystsze dziejowej niewiasty uosobistnienia — bliższą była królowa Jadwiga, według pomysłu jakiegoś artysty, w królewskim płaszczu a cierniowej koronie, dalszą Joanna d'Arc, przerobiona z wersalskiego księżniczki Marji wzoru — obok tych pięknych ofiarnic ludzkości, więcej już zbliżone ku środkowi podstawy, dźwigały białe alabastrowe naczynia, w których, stosownie do pory roku, narcyze, lilie, białe róże lub białe kamelje, ale zawsze białe kwiaty w pełności swego życia, w świeżości swego blasku się rozwijały. Z pośrodka tych kwiatów nagle istna sprzeczność z resztą komnaty, urągowisko jej sybarytowskim wygodom, może groźba dla zbytku i próżniactwa, może błoga nadzieja dla marmurowych posągów i twarzy, symbol piołunny goryczy, a wiekuistego zbawienia, krzyż ogromny, wyższy od wszystkiego, nad wszystkiem, uroczyście ramiona swoje rozciągał, a byłto krzyż poprostu z dębowego drzewa wyżłobiony, nie zheblowany nawet, szorstki, trochę już żółkniejący i grubemi ćwiekami wbity do jednego z owych wielkich kamieni, które czasem na miedzach granicznych leżą.

To też pomimo wszelkich aksamitów, wezgłowi, kobierców — gdy rozpuszczano i szczelnie zesunięto draperje namiotowe, cała rotunda, w jednostajnej a ciemnej barwie swojej, z białemi jak duchy posągami, z tym nagim krzyżem od tła ponurej zieloności odstającym, cała rotunda mówimy — nagle, jak dekoracja teatralna, jak w oczach się mieniła i przybierała surowy jakiejś

pustelni charakter. Niczem to jednak było w porównaniu z owem majaczeniem wrażeń i marzeń, które poniewolnie przystępniejsze fantazjowaniu ogarniało głowy, gdy, jako właśnie w tej chwili, co ją opisywać mamy, zimowy wieczór głuchą ciszę rozciągnął dokoła, a na odsłonionym kominku rozniecony ogień płomiennemi połyskami zaczął swobodnie wśród zapadłej ciemności dziwaczyć. Wtedy popiersia marmurowe, i białe niewiast natchnionych i czarne wschodnich niewolnic postaci, pianino czworonożnemu potworowi, a wezgłowia pełzającym gadzinom podobne — wszystko to zdawało się ożywiać, ruszać i potrzaskami ognia, piskiem rozpalających się głowni, szelestem wytryskujących iskier sobie tylko zrozumiałą prowadzić rozmowę.

W onej więc chwili mistycznych widziadeł, na otomanie pod oknem, między królową Jadwigą u głów na straży stojącą, a poetą Mickiewiczem, którego jej drobne stopy dosięgały — taż sama panna Augusta, co kilkanaście dni pierwej list żartobliwie rozpaczający do Urszulki swojej pisała, tażsama, jak nowoodkopany z przed-Peryklesowych czasów posąg, wyciągnęła się poważnie i zadumała głęboko.

Sięgnęliśmy porównaniem do przed-Peryklesowych czasów dlatego, że wtedy snycerze doskonale już dłutem swojem władali, już umieli najcudniejszemi kształty pomysły swoje przyodziewać, a nie poważyli się jeszcze uchylić ani tajemniczego znaczenia religijnych alegoryj, ani spadającej na ciało bogiń zasłony. Panna Augusta więc, jak owych wieków czy wzór, czy z wzorów wykonane dzieło, spoczywała na miękkich aksamitach, uwinięta w białej kaszmirowej szaty draperje, bo juścić nie godzi mi się tych fałd, co po jej członkach rysunkowo spływały, nazywać zniemiecka po gospodarsku „szlafro-

kiem". Wiele bardzo osób jest tego zdania, że się na nic żadne opisy kobiecej piękności nie zdadzą, bo nikt sobie takiej właśnie, jaką opisujący chciał przedstawić, nie wyobrazi. Prawda, nikt oczyma duszy swojej nie ujrzy „takiej właśnie" — ale zobaczy inną, może stokroć wdzięczniejszą i milszą jego sercu. W każdym opisie jest chociaż jedno słowo, chociaż jeden szczegół, który natychmiast uprzytomnia nam czy twarz niegdyś w ranniejszej godzinie życia napotkaną, czy postać, co nam wśród tłumu jak zjawisko mignęła, czy dawne jakieś marzenie, czy niespełnioną nadzieję, czy zapomniane już szczęście — dość, że nam uprzytomnia i że my później z opisaną istotą, jak z dobrą znajomą naszą, krok za krokiem idziemy przez wszystkie jej życia koleje. Nietylko wszakże dla zaskarbienia sobie tej magnetycznej pomocy w umyśle czytelnika, lecz i dla innych powodów jesteśmy prawie zmuszeni portret panny Augusty o ile się da, najwierniej, tutaj odszkicować. Wszakże to głównem być miało założeniem w przeniesieniu kilku ustępów z jej życia na scenę literacką, aby młodzieży, która była wówczas młodzieżą, dowieść, że istotnie ręka miljonowej dziedziczki wyciągnęła się ku jej niebrakowanym szeregom, że każdy mógł ją był pochwycić, byle tylko pewnych nadzwyczaj łatwych dopełnił warunków. Z dalszego toku rzeczy pokaże się jakich, a teraz czuję się tylko w obowiązku stwierdzenia tożsamości i rzeczywistości tak niepospolitego fenomenu; należy mi się przeto choć mniej zręczną próbą, przy braku wszelkich malarskich zdolności, o malarskie właśnie przedsięwzięcie się pokusić. Może ten, może ów, może ktokolwiek nareszcie przypomni sobie zimną a świetną jednak gwiazdę, która nad horyzontem warszawskim przez cały karnawał 18* roku najżywszym blaskiem jaśniała, może nawet pozna królową ba-

lów, przykład doskonałości wyprowadzanych na świat panienek, ową młodą piękność tak wzorowo ułożoną, że gdy raz ją wszyscy w kolej obchwalali, nikt, nawet pani Z., panny X. i panowie Y. nic o niej do powiedzenia nie znaleźli, bo jej nie było z czego obmawiać. Otóż w tej chwili, w której ukazaliśmy ją przy świetle gorejącego kominka, na otomance posągowo leżącą, panna Augusta miała już rok dwudziesty piąty. Łatwo się można domyśleć, że to nie był rok jej modnych triumfów, lecz natomiast rok życia stokroć piękniejszy, punkt zenitowy biografji niewieściej, dla takich przecież tylko, co wcześniejszem małżeństwem z jego przywilejów się nie wyzuły. Augusta — jako wiemy — wolną była. Niezaprzysiężone nikomu jutro pod jej zarządem, wszystkie marzenia i życzenia w jej prawach zostawały jeszcze; ale świat już zrozumiany, możliwość różnych wypadków w rzeczywistości swojej przejrzana, rozsądek z fantazją amalgamowany, proza z poezją spleciona, więc też i marzenia, choć dziwacznym arabeskiem, zawsze jednak na tle stałych wyobrażeń i pojęć się snują, a życzenia, choć śmiałem skrzydłem poprzed siebie, choć bardzo daleko lecą, nigdy przynajmniej tak w górę nie biją, jak się to zdarza przy pierwszej nowych piórek próbie. Zbyt młoda ptaszyna Boża ani wie nawet, że powietrza i słońca pod miarą wciągnąć trzeba: wypełnia się eterem, upija słońcem i dalej w chmury, obłoki, na złote gwiazdy, na srebrne księżyce, na djamentowe drogi mlecznej błonia... A tu między ziemią i niebem wielka próżnia do przebycia! Jeśli zapas oddechu, i ciepła i jasności wystarczy, to może, może wicher nie rozedrze, piorun nie spali — i ptaszyna zanuci na wysokiem drzewie, co rośnie w ogrodzie jej Ojca; lecz czyż podobna wystarczyć przez szlaki drogi niewymierzonej, niepodzielonej na mile i staja, przez

szlaki drogi pustej i bezwodnej, głuchej i ciemnej — gdzie niema ranka i wieczora, gdzie nigdy nie można sobie westchnąć — oh! już blisko! — oh! już niezadługo! — nawet westchnąć — „tam“ lub „wtedy“ — choćby najdalej, choćby najpóźniej — ale „tam“ — na promień mego wzroku — „wtedy“ — na miarę wiekową! — przez szlaki tej drogi lecieć i snuć ciągle z własnej piersi nitkę pajęczą wytrwania, nadziei, siły — przebaczcie, bracia, ptaszynom, co wzleciały i upadły! Ale w dwudziestym piątym roku piękna kobieta nie upada jeszcze — lot jej równiejszy, więcej horyzontalnej niż wertykalnej trzyma się linji; zawsze jednak pewny siebie i wolno mu ostateczny niżej lub wyżej przyjąć kierunek. Z tej przestrzeni, w której szybuje swobodnie, jeśli nie widać wszystkiego, co niebo ukrywa, wszystko dokładnie widać, co się na ziemi znajduje — królestwa i chwałę ich. Święć się, święć się — dwudziesty piąty roku życia niezamężnej kobiety! Pełnia jej władz ciała i duszy, świadoma siebie rozwiniętego organizmu tajemnico i najwszechmocniejsza rozwiniętego umysłu potęgo!

Trochę pierwej była dziecinna nierozwaga, trochę później będzie może zniechęcenie, odrętwiałość, zepsucie lub śmieszność; teraz jest siła, chęć i uznanie — teraz w każdym uścisku jej ręki rzetelność, w każdem spojrzeniu słowo, w każdem słowie wartość jego gramatykalna i wiekuista. A w miłości? Oh! w miłości — jeśliś kochany, to jest miłość właśnie. Młodsza dziewczynka przyjmie cię z pustoty, na zabawkę, na urozmaicenie wesołych dnia każdego igraszek, na to, żebyś jej dogadzał i służył, żeby przez ciebie otrzymała dyplom dorosłej osoby, a jeśli go jej nie zaprzeczają, to świadectwo pewnej wyższości nad rówiennicami swojemi. Trochę zaciekawienia, trochę próżności, trochę tego, że jej z tobą lepiej, niż bez ciebie:

oto cała miłość jej. Nigdy z drżącego głosu, z nabiegającej rumieńcem twarzy, ze wzniesionej westchnieniem piersi, z gwałtowniejszych serca jej uderzeń, nigdy pewnym być nie możesz, czy to prawdziwe ukochanie, lub też nagle przy zdarzonej sposobności zbudzona wyobraźnia, sztucznie zadrażnione nerwy, naśladownictwem wywołane twego uczucia odbicie — coś, do szczepionej ospy i zwierzęcego magnetyzmu podobne.

Jeszcze niebezpieczniej o starszą kobietę romansem zaczepiać. Przecież starsza umyślnie tak długo nie czekała na ciebie: albo niedołęztwo, albo grzech, albo zawód i cierpienie w jej przeszłości leży. Jeśli to jakaś limfatyczna natura, co w nikim sympatji nie umiała wzbudzić, a względem ciebie żywszą niby okazuje przychylność, o dziewięćdziesiąt dziewięć przeciw jednemu założyć się możesz, że to jest praktyczne wyrachowanie jedynie, potrzeba rodzinnego w społeczeństwie stanowiska, bojaźń osamotnionej starości, tęsknota *(tak)* za ważniejszemi obowiązkami — wszystkie poboczne i towarzyskie przyczyny, których skutkiem dopiero owa miłość, owa niepokalana miłość, właśnie według piękności młodzieńczych marzeń i według prawdy swojej przyczyną wszelkich przyczyn być mająca. Kobieta zaprzęga się do wspólnej społecznej pracy, przyjmuje chaotyczne stosunków ludzkich zawikłanie; przyjmuje na swą odpowiedzialność gospodarstwo domowe, pielęgnowanie dzieci, tych jej samej nieznanych duszyczek, które ją zbawić lub potępić mogą, która ona bezwiednie w piekło wtrącić może, a koniecznie wprost do Boga wznieść powinna; kobieta przyjmuje te wszystkie trudy, niebezpieczeństwa, grozy wieczności swojej, przyjmuje dlatego tylko, że cię kocha. Jakże to śmieszniej i smutniej wygląda, gdy właśnie ciebie przyjmuje, dlatego tylko, że jej się chce tamtego wszyst-

kiego skosztować; mimowolnie na myśl przychodzi staropolskie a wybornie takie wypadki przewidujące przysłowie: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie...“ dalej nie pamiętam — lecz tobie radzę pamiętać; gdy ci wpoprzek drogi stanie przeszło dwudziesto-pięcioletnia panna lub wdowa-kochanka — o mężatkach nie piszę, boć to byłby wyraźny plagjat z Balzaka romansów, a między nami nie takie zwyczaje. Kiedy więc spotkasz pełnoletnią Galateę, ani kochaną, ani kochającą, niechaj cię Pygmaliona parabola na pokuszenie nie wodzi; lecz gdyby ta kobieta kochaną już była kiedyś?... Wtedy masz dwie drogi do wniosków, naoścież roztwarte przed sobą. Jeśli kochała wzajemnie, jeśli nie była, jak ja mówię, limfatyczną albo marmurową, wtedy koniecznie grzeszną albo nieszczęliwą być musiała, to jest musiała skłamać czyjemuś uczuciu, musiała zawieść, oszukać, zmarnować czyjś najpiękniejszy duchowy majątek, lub sama oszukana, zawiedziona, w bankructwie zupełnem ostatnie grosze swoje, jak szuler niczem niezrażony, na kartę swego życia ryzykuje. Niech będzie jeszcze ponętniejszą, niż w ośmnastej wiośnie swego życia, niech jej wdzięki zawracają puste głowy elegantów, niech jej słowa upajają artystów i marzycieli: ty, co nie jesteś elegantem nerwowym, artystą chwytającym pomocnicze do wydania dzieł rozmaitych wrażenia, marzycielem szukającym jakiejbądź formy na przesypanie w nią gotowych już i nazbieranych u siebie materjałów; ty, co jesteś człowiekiem i chcesz kochać istotę różną od swojej własnej istoty, a jednak zgodną z wszystkiemi jej właściwościami, chcesz kochać ją dlatego, że taką, jaka ci się objawia, ty cenisz, pojmujesz i widzisz udoskonaleniu swej własnej natury potrzebną, a nie dlatego, że taką być może, jaką sam sobie na kształt obiadu u Marego z karty dysponujesz; ty, co chcesz być warunkiem prawdy, rze-

czywistości i ideału kochany — ty nigdy na łonie żadnej Dydony, ani żadnej Heleny Menelausowej spokojnie głowy wesprzyć byś nie zdołał. Jak widmo złowrogie, w każdej chwili ta myśl za każdą goniłaby pieszczotą, że jej serce już raz kochać przestało, że dla niej zmiana jest niemożliwą, że ona wie, jak to zapał ostyga, uwielbienie się krytykuje, skrzydła anielskie łamią, nieskończoność na lata, miesiące, dni i godziny rozpada. Grzesznej ty nie uwierzysz, nieszczęśliwa tobie wierzyć nie będzie. Obok jednej całe piekło trwogi, zazdrości, podejrzeń, w złych chwilach mimowolna wzgarda, w najlepszych sofistyczne usprawiedliwienie; od drugiej wymagań tysiące, kodeksem nieobjęte, a jednak mordercze okrucieństwo. Tobie się nawet nie śni, żeby kogo innego ukochać było podobnem; a tu już argusowe, łzami zalane oczy twe postępki śledzą; ty rozszalejesz namiętnością i zachwyceniem, a tu słówko szydercze lub wątpiące, jak ton fałszywy na klarnecie orkiestry w twoje „tutti“ się wmiesza, jak nietoperz piwniczny wleci do twoich jarzącem światłem promieniejących salonów. Gdyby to można jeszcze rozstać się spokojnie! — ale gdzież tam właśnie: niema uporniejszego serca nad serce trochę starzejącej się już kobiety, która po pierwszym zawodzie drugą próbę przedsięwzięła — uczuciowej karjery.

Bądź pewny, że jak tonący brzytwy, tak ona ciebie, choćbyś jej duszę zakrwawił, całemi siłami trzymać się będzie. Bez wyrzutów sumienia opuścić jej niepodobna: płacze, boleje, choruje. Są takie, co i umierają z rozpaczy — strach doprawdy wspomnieć o tem! Dwudziestopięcioletnia jedynie tych kłopotów ci oszczędzi. Ona w przeszłości swojej mogła swobodą i żartem szafować, mogła zdawkową monetą zalotności na wszystkie strony rozrzucać; ale żelazny fundusz jej uczuć nietknięty jesz-

cze na dnie serca leży, słoneczny pierwiastek jej krwi i ducha nie ulotnił się żadnem zastosowaniem, ani żadnem rozbiciem; jeśli się czasem zadumała trochę dłużej nad czyjemś imieniem, lub w pamięci dokładniej odbitym wizerunkiem, to zadumanie dowiodło jej tylko, że nie tego i nie tamtego Bóg jej na ukochanie przeznaczył. Kiedy ciebie ukocha, będziesz jej jedynym, jej wybranym, jej z przeszłego na przyszły żywot sądzonym oblubieńcem. Ona też tobie będzie i szczęściem i rozkoszą, i niebem i ziemią. W niej zrozumiesz wszystkie starożytnych bóstw symbole; zrozumiesz Izydę, dziewicę-karmicielkę, Westę niepokalaną i Astartę z płomiennych ołtarzy. Cóż ty na to, mój przyjacielu? Ty na to troskasz się bardzo, że ci trzeba wśród kobiet z aktami kościelnemi chodzić i co krok, co spotkanie, co twarzyczka ładniejsza, metryki wszystkie przeglądać, a dowiadywać się, czy już te czarne oczy dwudziesty piąty rok na ludzi patrzą — czy te jasne warkocze od dwudziestu pięciu wiosen na składnej główeczce rosnąć zaczęły; czy białe perełki, co w rubinowych usteczkach świecą, przed ośmnastu laty, czy po ośmnastu leciech miejsce mlecznych zębów zajęły? Istotnie, trudny obowiązek; ale też, Symplicjuszu! — chciej zrozumieć o co rzecz idzie. Toć uczyłeś się bezwątpienia, że różne miejsca o różnym czasie południe miewają. Z kobietami tak samo się dzieje, iż południk niezawsze pod dwudziestym piątym stopniem długości, od wschodu na zachód, od kolebki do grobu się posuwając, przypada — lub raczej ich rok dwudziesty piąty stosownie do rozmaitości temperamentu, organizmu, wychowania, klimatu i wpływu różnych okoliczności może wcześniej lub później nastąpić; między dwudziestym a trzydziestym skala dla niego otwarta — pomnieć trzeba jedynie, że przed dwudziestym szkoda

się jeszcze zakochać, po trzydziestym już nie warto — są to dwa zwrotniki serdecznych dziejów kobiety. Jeśli tutaj na środkowym punkcie rozwinęła się tutejsza *(tak)* teoryjka, to dla przystępniejszego jej wykładu, dlatego głównie, że nam do myśli przyszła wtenczas, gdyśmy zaczęli opisywać kobietę, która właśnie dwudziesty piąty rok miała. A była to przepysznie piękna kobieta. Kształtami całej postawy przypominała greckie posągi, ale rysy jej twarzy, głębszą nacechowane inteligencją, przewyższały temsamem arcytwory klasycznej rzeźby.

Pierwsze spojrzenie było tylko zdumione czystością zakreślonego owalu i jednostajną, a przecież świeższą, zdrowszą prawie od rumieńca bladością jej cery; im dłużej kto się wpatrywał, tem więcej dopiero piękność innych szczegółów zrozumieć mu się dawała. Kolor włosów z kolorem oczu dziwnie się jednoczył, nawet rzecby można, odbijał się wzajemnie: warkocz ciemno-blond i oko ciemno-żółte; warkocz niby brunatną sepią napuszony, w przygładzeniu i w karności sztucznego uczesania prawie czarnym zdawał się niekiedy; lecz aby tylko z więzów plecionek go uwolniono, włos każdy osobnem życiem drgający odpryskiwał w swoją stronę, a jeżeli światło po tak rozpryśniętych zagrało, to w przezroczu widać było wszystkie żywiczne i bursztynowe blaski.

Z oczami też same działy się cuda. Spotykasz po raz pierwszy piwne oczy; przy świetle prawie czarne i nic więcej. Przypatrz się im: oszalejesz, a właściwego wyrazu na oznaczenie ich koloru nie znajdziesz; bo to niby trochę zielone, jak morska woda, niby brunatne, jak bistr najciemniejszy — ot, gdyby można złoto w piorunie trochę roztopić, trochę na węgiel spalić, toby się dla nich porównanie znalazło.

Nad takiemi oczami brwi wązkie, ale gęste, jak dwie

proste linijki, ku osadzie nosowej lekko tylko nadół przegięte, granicę otwartego czoła znaczyły. Od ich spadku rysunek profilowy z większą swobodą niż na helleńskich marmurach wzdłuż wydatniejszego nosa się rozwijał: znać, że Lais Praksytelesa, Tycjana szkołę przeszedłszy, inne sobie wyrobiła zdolności, że gotowa była czynniej i szlachetniej we wspomnieniach dziejowych się zapisać, że chociaż jeszcze nie Madonną, to przynajmniej już Dogaresą obok Doży, jakąś Laurą obok Petrarki stanęła.

Przejrzyjcie państwo Lawatera, jeśli się na prawdę chcecie dowiedzieć, jak ważnym organem i hieroglifem umysłowego wykształcenia jest ta część twarzy, która dla wielu mizantropów do ucierania jedynie przeznaczoną być się zdaje.

W nawiasie muszę też czytających te kartki dobrem życzeniem pobłogosławić, a to jest, ażeby nigdy kosztem własnego serca nie odbywali kursu fizjognomiki na tych trochę szablastych, trochę orlich nosach, których typ zidealizowany przechowały nam obrazy pięknej lecz niebezpiecznej do pokochania Marji Stuart, a których parodję spotkać można i w arystokratycznem kole balowego kontredansa, i w środkowej alei Ogrodu Saskiego, i na modnej mszy u kapucynów, i na schodach sławniejszych mecenasów, i przy tualecie złocistej i przy kuchennym garnku z krupami — wszędzie, gdzie tylko dla próżności, światowego znaczenia, intrygi, zysku i skąpstwa — krótko mówiąc, dla wszystkich samolubstwa konarów, drażniące do wybujałości znajdą się podniety. Niech każdego Bóg dobry strzeże od podobnych nosów! Stokroć lepszy chłopski bez charakteru, nawet murzyński spłaszczony, najlepszy jednak taki, jak go panna Augusta miała. W samą porę szeroki i długi, ku środkowi wypuklejszy, ku nozdrzom trochę rozdęty, ale

nie mięsisty i nie zatyły — pod słońce widać, że tam krew purpurowa dobiega — dość powiedzieć, cudowny nosek! A co za usta pod tym noskiem! jakim świeżym rubinem wezbrane, a jak powściągliwie przywarte! jakie czyste w swem odkrojeniu, a jakie wabne w swej pełności! Gdyby się uśmiechnęły — musiałbyś uciec, bo pocałować nie wolno — lecz w tej chwili nie uśmiechają się; i owszem, całe oblicze, znieruchomione pod wpływem głębokiego zamyślenia, mogłoby nawet uśpionem się zdawać, gdyby kształtna ręka jednostajnym, lecz ciągłym ruchem nie zwijała i nie rozwijała jedwabnego sznura, który, w pasie zasupłany, przytrzymywał gęste fałdy wełnianego odzienia i dwoma nierównemi końcami aż za kolana spadał.

Naprzeciw tej monarchicznej piękności, w fotelu przy kominie, siedziała druga kobieta. Szczupła, miernego wzrostu, przechylona trochę ku płonącemu ogniowi, drażniła się z nim długiemi stalowemi szczypcami i w milczeniu głębokiem przypatrywała się ruchliwości jego migotania, jak guślarka uważna, wróżbiarskie z tej gry połysków wyprowadzająca wnioski. Była to właśnie taż sama Urszula, którą list Augusty wzywał do Warszawy. Urszulę zapewne tacy jedynie pamiętają dzisiaj, co byli bezpośrednio do jej życzenia wplątani. Między obcymi przesunęła się cichuteczko, niepostrzeżenie. Musiałby ten mieć dobrą pamięć, a bystrą uwagę, musiałby jednak zachowywać wspomnienie każdego dnia łagodnie pogodnego w ciągu roku, każdej szklanki wody świeżej i orzeźwiającej ze smakiem wypitej, każdego drzewa cienistego, pod któremby z przyjemnością odpoczął, słowem każdej drobnostki życia błogiej, a mimo wiedzy przejętej, musiałby, mówię, zachowywać to wszystko żywem bardzo wspomnieniem, aby mu Urszuli odpowiednie

wspomnienie, miłe bez rozgłosu, wdzięczne bez zwracania na siebie łączności, w zapomnieniu dalekiem nie przepadło. Jej rysy to najzawilsza dla estetyki zagadka; trudno powiedzieć że piękne, nie podobna zarzucić, by znów brzydkie były, pospolitemi także zwać ich się nie godzi. Są-to rysy prawdziwie słowiańskie; krągławość nad pociągławością w nich przeważa, ale nigdzie spłaszczeniem nie razi: pewna wrodzona szlachetność urok wdzięku zastępuje, pewna powaga serdeczności dopełnia. Czoło szerokie i śmiałe, oczy duże, błękitne, w nienagannej oprawie niebem na świat patrzeć się zdają, policzki trochę kościste, nos, wprawdzie nie typowy, dość składny jednak, choć, jakby to rzec można, swego własnego kształtu; usta o pół linji szerzej rozcięte może nad wymagania malarskich przepisów, ale raczej zbyt skąpe, jak to się w rysopisach paszportowych i książeczkach legitymacyjnych wyrażają, niż zbyt namiętnie zgrubiałe, ogólny wyraz oblicza zmienny, jak dzieje duszy człowieczej, ma swoje dni powszednie, swoje niedziele swobodne i swoje wielkie uroczyste święta. Sto razy powiesz to, co Gustawowi jego znajomi o portrecie Maryli mówili: — „At sobie kobieta“ — z dziesięć razy będziesz musiał wykrzyknąć: — „Ach! doprawdy śliczna kobieta!“ — Raz może ujrzysz ją w chwale Taboru i sam przed sobą się zawstydzisz; kto wie nawet, czy nie pożałujesz mimowolnie, że tak długo jej prawdziwej, zatajonej nie odgadłeś piękności. Na tę chwilę, o której właśnie jest mowa, tylko niedziela przypadała.

Już tak przez czas jakiś głuche milczenie między dwiema przyjaciółkami panowało, gdy je nakoniec panna Augusta przerwała swoim dźwięcznym, a trochę kontraltowym głosem:

— Czemuż to nie północ już!

Jej towarzyszka spojrzała na zegarek nad kominkiem stojący i uśmiechnąwszy się, odrzekła powoli:

— Najpewniej dlatego, że jest dopiero dwadzieścia minut po ósmej.

— Oh! doctissima, doctissima! — powtórzyła z lekkim przyciskiem niecierpliwości miljonowa dziedziczka; — trzeba ci przyznać, że masz zadziwiającą przenikliwość w odgadywaniu najjawniejszych przyczyn, najnieosobliwszych wypadków.

— Zdaje mi się, że dość stosownie odpowiedziałam na zapytanie najjaśniejszej Augusty.

— Cóż to? znowu doctissima nie umie znaku zapytania od wykrzyknika odróżnić?

— Alboż tam był wykrzyknik na końcu?

— I wykrzyknik i cały szereg kropek okrągłych.

— Czy była kreska po kropkach?

— Na cóż tobie kreska potrzebna?

— Bo same kropki znaczą proste zawieszenie głosu. W takim razie czekam, co dalej będzie? Kreska zaś na czytelników i słuchaczy wkłada obowiązek domyślenia się reszty niedopowiedzianych wyrazów.

— Oh! to była ogromnie długa kreska — dwie kreski — trzy kreski nawet!

— Ja się i pierwszej zrzędu nie podejmuję domyśleć.

— Cóż to za niedołęstwo znowu!

— Powiedz mi, Augusto, czy podjęłabyś się zgadnąć, o czem duma za piecem w waszej kuchni stara Wojtkowa jednooka? Wszak niezawszebyś w karykaturę lub w sielankę wpadła, tak samo jak nie mogę zgadnąć, ja, niepiękna i niebogata, co i kiedy przez głowę pięknej, bogatej kobiety przeleci; zawsze najniewłaściwiej w nutę hymnu lub satyry głos rzucę *(tak).*

— Urszulko, nie godzi się tak ze mną postępować.

Ja listy po listach z modlitwami wzywającemi wyprawiam do ciebie, i kiedy przyjechałaś nakoniec, kiedyś już zamknęła się ze mną na stanowczą i długą rozmowę, kiedyś widziała, jak się do niej namysłem i rachunkiem sumienia przygotowywam, ty nawet półsłówka odgadnąć nie umiesz, nawet mojego wykrzyknika pojąć nie chcesz.

— Usprawiedliwiłam się dlaczego. Wykrzyknik pięknej, rozpieszczonej powabami życia kobiety migotliwiej się mieni od iskierek śniegu pod promieniami słońca. — „Czemu to nie północ już". — Skądże ja nawet, znając cię, Augusto, dojdę prawdziwej tych wyrazów wartości, czy one niecierpliwość, czy nudę, czy tęsknotę znaczą?

— Brawo, Urszulko, brawo! widać, że dojdziesz niezawodnie, dojdziesz i zrozumiesz lepiej odemnie samej, bo już w pierwszem przypuszczeniu na trzy rzeczywiste symptomata natrafiłaś. Istotnie, mój wykrzyknik znaczył niecierpliwość, bo mam często bardzo to uprzedzenie, że jakaś późniejsza godzina więcej od teraźniejszej wartą będzie; znaczył też nudy, bo rozmyślałam trochę nad sobą, trochę nad panem Filipem; a wreszcie znaduch jaki pokaże o tej czarnoksięskiej godzinie, albo przyśni kochanek nieznany.

— Nieznany? Był w twoim liście wiersz jeden, który zwiastował już poznanego właśnie.

— Poznany, nieznany, czyż to nie wszystko jedno w tym świecie, na którym ja żyję? Kochanek zresztą, moja Urszulko, w każdym świecie, choćby na Słońcu i na Syrjuszu, zawsze musi być nasz nieodgadnięty, niepojęty, nasz nieznany.

— A ja widzę, że przez cały czas rozstania, przez

długie trzy lata, licząc w nie nawet jeden rok, przestępny, moja najjaśniejsza Augusta nic a nic się nie zmieniła.

— Zmieniłam się jednak choć troszeczkę. Wpatrz się tylko dobrze we mnie: jestem daleko smutniejsza, zaczynam coraz częściej wychodzić z moich djamentowych pałaców, a coraz dłużej przesiadywać ze śmiertelnymi gośćmi w bawialnych pokojach. Rodzinne moje położenie bardzo się także utrudniło. Matka już stanowczo chce mnie zamąż wydać; jeśli niegdyś samodzielność moja potrójnym szpagatem przyzwoitości, ładnego ułożenia i sądu hrabiny X. skrępowaną była, to dzisiaj ze szpagatu prawdziwe powrozy, liny okrętowe ukręcono. Co się ruszę, to strach, żebym sobie w opinji światowej nie zaszkodziła. Co się odezwę, to zaraz proces: czy nie skompromitowałam się względem jakiegoś tam niegodnego zostać moim mężem młodzika. Co zamilknę, to wymówki, że tylko wszystkich od siebie odstręczam. Za progiem tego pokoiku, tej mojej najmilszej samotni, życie wśród ludzi wlecze mi się pod ciągłem wrażeniem śmieszności, próżni i niesmaku.

— A przecież, gdybyś szczerze chciała, tobyś je mogła zmienić.

— Mogłabym, jestem pełnoletnia, prawda, że mogłabym zmienić. To twoja nieustanna zwrotka, Urszulko, ale moja znów wiecznie tażsama piosneczka, że do zmiany trzeba siły moralnej, do siły moralnej potrzeba jakiejś podniety, trzeba wiedzy przynajmniej, co na co zmienić się pragnie. Ja właśnie takiego wsparcia jestem pozbawioną. Gdybym w tej chwili odebrała przypadający na mnie majątek, wyswobodziłabym się z pod samowolnego matki mojej zarządu, objęła ster własnego życia po najhałaśliwszych przejściach, zgorszeniach, zatargach — jutro nie wiedziałabym już do czego moją

wolność przyczepić, jak z mego majątku zrobić użytek, w której stronie osobny mój namiot rozwinąć? Nie warto, nie warto jeszcze tak wielkich usiłowań przeciw tak małej stawiać korzyści.

— Masz słuszność, Augusto. Kiedy serca w piersiach brakuje, nie warto i żyć nawet, choć się jest piękną, bogatą miljonowym posagiem, dowcipną wszystkich Francuzów i humorystów angielskich dowcipem.

— Źle się wyraziłaś w gniewnem uniesieniu, moja zwykle łagodna Urszulko. Mnie serca nie brakuje, tylko mi w sercu brakuje miłości. Gdyby ta mała jaszczurka dniem i nocą o pokarm nie dopominała się w mej piersi, daleko zręczniej i weselej prześlizgnęłabym się po gościńcu mego życia. A cóż może dokuczyć kobiecie bez serca, gdy jest — jak mówisz — piękną, dowcipną i miljonowo majętną? Co ją zasmuci kiedy? za czemże ona tęsknić, za czem wzdychać będzie? Świat cały na jej posługi — od brylantów, do pieśni poety — jak tylko zechce, czy za pieniądze, czy za uśmiech przychlebny, wszystkiego natychmiast dostanie. Lecz mieć serce i nie móc ukochać nikogo, mieć serce i nie zapełnić go uwielbieniem, radością, zachwytem; mieć serce i ciągłą próżnię, ciągłą ujemnością tylko czuć jego obecność — oh, to dopiero boleść prawdziwa, to nędza, która mię do wierutnego żebractwa przywiodła! Ty nawet pojąć nie możesz, ilu zamożniejszych od siebie o jałmużnę miłości prosiłam. Lecz sama zmiarkuj — do ciebie, Urszulko, jakże ja często a jak natrętnie kołaczę!

Urszulka już od chwili z fotelu się podniosła, stanęła przy otomance i skarg pięknej Augusty uważnie słuchała; na ostatnie jej wyrazy przyklękła trochę, a pieszczotliwie obejmując ramieniem leżącą:

— Nie natrętnie, oh! wcale nie natrętnie! — ze

szczerem rozrzewnieniem rzekła, a później, jakby rozmyśliwszy się lepiej — być może jednak, że bezskutecznie — dodała poważniej. — Na twoją chorobę, Augusto, w nikim lekarstwa, ani nawet dobrej rady nie znajdziesz. Jeśli to prawda, żeś czcza i uboga, aż do gruntu serca, żeś martwa i bezwładna, aż do niezdolności powzięcia jakiegoś życzenia — to Bóg sam chyba w swój kształt człowieczy myśl i uczucie tchnąć może, niby w ulepionego z gliny przy początku świata człowieka. Lecz mnie się zdaje, że się musiałaś w użyciu wyrazów pomylić; ubóstwem zowiesz prawdziwe bogactwo swoje. Doctissimie wolno przecież łacińskich używać sentencyj — odwołam się więc do tej najpospolitszej ze wszystkich: „Nadam, że w naturze nigdzie próżnia nie istnieje, więc też i w duszy ludzkiej istnieć nie może. Gdybyś rzeczywiście próżne, jak butelka pneumatyczną machiną wypompowana, obnosiła po świecie serce, toby w nie zaraz pełno błota, koronek brukselskich, ploteczek zazdrostek lub szalonych namiętności wleciało. Brak dobrego wnet się głupstwem, grzechem, częstokroć i zbrodnią wypełnia. Kiedy zaś tobie, Augusto, ani salonowe powodzenia, ani zbytki i wygody, ani miodowe słówka lalek wyfrakowanych, ani nic z tego, co cię otacza, duszy wypełnić nie zdołało, powinnabyś się domyśleć nakoniec, że w owej duszy inny żywioł złożony, inne potrzeby i władze ukryte... Ja mam wyraźne przeczucie tej prawdy. Nie zbliżyłabym się nigdy do miljonowej dziedziczki, którejby się mojego towarzystwa na chwilową rozrywkę zachciało, a sama widzisz, jak chętnie przyjechałam do smutnej Guci mojej, której się szczera przyjaźń i poczciwe słowo na cokolwiek zdać mogą.

Augusta w czoło pocałowała mówiącą.

— Zrób jeszcze coś więcej dla mnie — rzekła z na-

legającem przymileniem — wskaż praktycznie, szczegółowo, jakie-to żywioły, jakie potrzeby i władze drzemią w duszy mojej, ku jakim celom skierować je należy?

— Tylko ku najwyższym i najpiękniejszym, Augusto moja, tylko ku Bogu przez modlitwę, ku dobru ludzi przez poświęcenie.

Znów długa chwila milczenia zapadła.

— O Bogu jeszcze nie mówmy — odezwała się nakoniec Augusta, głęboko rozważywszy każde słowo swej przyjaciółki. — Są ludzie, którzy się tego imienia wcale a wcale nie boją. Co ranek i co wieczór z kilkadziesiąt razy je wymówią, a nie znać tego po nich — zawsze tak samo się nienawidzą, tak samo kłopoczą, tak samo tańczą, śpią, jedzą, wino piją i w karty grają. Co do mnie, jestem lękliwsza daleko. Pozwalam sobie z własnem szczęściem żartować, pozwalam z prawami doczesnemi się kłócić, pozwalam odważnie wszystkie towarzyskie zasady probierzem sofizmu doświadczać; ale nie pozwoliłam sobie nigdy imienia Bożego nadużyć i pojęć moich o Bogu mniej pewną, mniej czystą myślą zamącać. Od czasu jak do rozumu przyszłam, nikt mnie nie widział, bym się kiedykolwiek w djamentowy lub złoty krzyżyk ustroiła. Sumienie moje nie znosi rażącej sprzeczności modnego świecidełka z godłem ofiary, boleści i śmierci. Tutaj, w ulubione moje ustronie, patrz Urszulko, prosty drewniany krzyż wnieść kazałam także. Nie klękam przy nim codziennie, aby codziennie wracać do zabaw, zbytków i grzechów. Oh! nie — kiedy ja raz u stóp jego czoła nachylę pokornie, kiedy raz obiema pochwycę rękoma i raz do serca przycisnę ten krzyż prawdziwy, ciężki, nieozdobny, to go już pewnie po ostatnią chwilę zgonu ani ludziom, ani szatanom wydrzeć sobie nie dam. Kto wie: gdybym się w przeszłość cof-

nąć mogła choć do tej pięknej marzycielstwa godziny, w której mię tak okropnie wyśmiano, że się wdziękom księżyca przypatruję; gdybym znów była trzynastoletnią, kryształowego serca i zdrojowej myśli dziewczynką— możebym lepiej zrobiła, przykuwając się do tego symbolu, choćby przysięgą, na wieki. Dzisiaj nie pora — zapóźno i zawcześnie. Czuję, że, przystąpiwszy, znów odstąpićbym mogła, ukochawszy tę świętość, zatęskniłabym znowu ku porzuconym a nieznanym jeszcze wrażeniom. Przesuwające się zdala chińskie cienie moich własnych myśli, w znikomości swojej niedotknięte, w tem, co mogą mieć prawdy, niedoznane — kusiłyby mię bezprzestannie. Rękę do pługa przyłożywszy, ciągle poza siebie spoglądałabym rozżalona i niebo straciła może dlatego, żem sobie ziemi nie zagarnęła w poddaństwo.

Nie, Urszulko, ja się na taką próbę nie odważę. Albo muszę znaleźć w doczesności mojej skarb jakiś tak piękny, tak wystarczający na wszystkie potrzeby mej duszy, bym się go w wieczności całej nie wstydziła, bym nieśmiertelność moją razem z nim nawet przez niego zbawić mogła; albo muszę dowodnie się przekonać, że tu skarbów niema — że tu same błota, kłamstwa, potwory, że owoc życia, co go w ręku trzymam, to malowana łupina spróchniałego orzecha, którą kamieniem rozbić, nogami zdeptać, śliną wzgardy opluć i za okno wyrzucić trzeba. Póki jednego lub drugiego celu nie dopnę— póty mi zdala od krzyża, jak od wracającej z Siloe arki. Mówmy lepiej o ludziach, Urszulko: cóż tedy dla nich pokorna sługa twoja uczynić jest w stanie?

— Wszystko razem się wiąże — reguluje, moja Augusto. Fantazjujesz sobie, że przy Bogu i przy krzyżu stanąć ci jeszcze nie pora, a bez Boga i bez krzyża nic zrobić nie można. Bez Boga i bez krzyża, ty, rozumna

i bogata wśród przesądów i niedostatków wiecznie pytać się będziesz: co dla uznanej prawdy, co dla rozrzewniającego cię nieszczęścia uczynić jesteś zdolną? Pytać będziesz, lecz kategorycznej odpowiedzi nikt ci nie poda, Augusto. Sztuczne recepty pobożnych zachęt, doradzań i projektów, cała ta trebhauzowa metoda rozgrzewania serc leniwych ku dobremu, na nic się tobie nie przyda. W konieczności twego położenia to leży, abyś sama sobie pod tym względem dawała rozkazy. Jeśli miljonowa dziedziczka, z natchnienia, czy to książki, czy przyjaciółki, pięknem zdaniem się rozmarzy, jeśli z podszeptu czyjegoś tylko po wsparcie dla ubogich do biurka swojego sięgnie, to się z mimowolnem uczuciem wyświadczonej łaski nie rozstanie — a łaska przez człowieka wyświadczona jeszcze mroźniej serce mu ziębi, niż je kiedykolwiek rozpłomienić zdolną była łaska od człowieka przyjęta. W stosunkach twoich z ludźmi, najjaśniejsza Augusto, musisz jakiś sposób wynaleźć na to, byś ty im właśnie uniżenie wdzięczną była, gdy ci nie przeszkodzą coś dobrego zrobić dla siebie.

— Masz słabość do ogólników, moja droga — chciej teraz na szczegóły rozdrobnić je trochę.

— Zgóry zapowiedziałam, że szczegółów nikt ci nie poda; a zresztą twoja to rzecz, Augusto, mnie ich więcej udzielić. Powiedziałaś mnie już, czemu od krzyża z daleka stoisz; bardzo też ciekawa jestem, czemu do ludzi się nie zbliżasz... użytecznie.

— Jaka ty doctissima! jaka ty przebiegła! Wiesz, a pytasz? Pytasz i zaraz sobie odpowiadasz: „Czemu do ludzi nie zbliżasz się użytecznie?“ Bo użytecznie do ludzi się nie zbliżam. Jeśli mam trochę rozumu, to go w żaden sposób nie mogę na walkę z przesądami i ciemnotą wyprawiać. Mój najlepszy i mój prawdziwy rozum

tylko w listach do ciebie wypisać się i tylko w tym pokoiku z tobą pogawędzić może, wszędzie zresztą, „gdzie mama na wizytach bywa“, ten rozum smutną rolę Don-Quichotta odgrywaćby musiał i najdzielniejsze cięcia jego zawszeby tylko na skrzydła wiatraczkowe, lub na niewinne stada baranów padały. Co zaś tak zwana dobroczynność wszelka, to się z mej strony jałmużną ograniczać musi; wiesz o tem nie od dzisiaj, Urszulko, a sama wybornie rozumiesz i tłumaczysz, że rozdawanie jałmużny nie uszlachetnia i nie rozgrzewa wewnętrznego człowieka. Nigdy te datki pieniężne bez ofiary, te wsparcia bez osobistego zespolenia, przez trzecią lub czwartą rękę na los ślepy rzucone, nie mogły rozbudzić zadrętwiałych władz ukochania w mem sercu, bo nie mogły ani rzeczywistego współczucia, ani rzeczywistej wdzięczności wywołać. Wiem, że są ubodzy i głodni, ta myśl jednak bez uprzytomnionego obrazu mniej mię rozrzewnia, niż piękny o głodzie i ubóstwie w powieści przeczytany ustęp, nie bez tego, żeby mi też na myśl nie przychodziły zdania wielu nabożnych osób, które słowami ewangelicznemi dowodzą, że biedni są i być muszą, bo Chrystus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie“. Nie bez tego, żeby i systemata ekonomistów politycznych nie trafiały do mego przekonania i żebym w ubóstwie indywidualnem nie widziała warunku zbogacającego najsilniejszego państwa. Wszystko to, wstyd może powiedzieć, ale wszystko tak mnie zewsząd niepodobieństwem przegradza od uczestnictwa w skutecznej przeciw nędzy moich bliźnich pracy, wszystko tak mi dowodnie ich cierpienia, jako nieuchronną konieczność przed oczy stawia, że mimowolnie zobojętniałam na to, co jest, bo być musi. Wolałabym, zaiste, aby głodnych, obdartych i żebraków nie było, lecz wolałabym także,

aby nie było szczurów, ropuch i karaluchów na świecie. Pan Bóg je stworzył przecież, to cóż ja na to poradzę?

— Oh! zapewne, że z takiem usposobieniem nawet nie waż się radzić temu, Augusto; radź najpierw samej sobie, stokroć potrzebniejszą *(tak)* jesteś ratunku — i głos Urszuli drżał oburzeniem, a powściągał się jednak wielką litością nad sofizmującą towarzyszką. Chciała odjąć trzymaną pół uściskiem na jej sercu rękę, lecz Augusta, przygarnąwszy ją despotycznym ruchem:

— Mnie też głównie o to chodzi, żebym siebie ratowała — rzekła, powoli sylaby skandując i niby nie zważając na wrażenia Urszulki. — Mnie głównie o samą siebie chodzi — powtórzyła przekornie. — Jednostkowa dobroczynność, jednostkowie dla mojej duszy, kto wie, czyby dobrą nie była; gdybym wiedziała, że czyj los zapewniam, czyjeś łzy ocieram, lub czyjeś życie ratuję, zaczęłabym się przywiązywać, mnieby także kochać zaczęto, i przesadzalibyśmy się aż do śmierci w tych uczuciach wzajemnych starań i odwdzięczeń. Ale, niestety, Urszulko: w mojem położeniu i tej niewinnej uciechy światowe względy poskąpiły. Przypadek nic mi poczciwego nie nasunął, a ja sama wyszukiwać nie mogłam. Oprócz więc najsmutniejszego gatunku jałmużny groszowej, dozwoloną mi tylko zostaje jałmużna składek filantropijnych, bodaj czy nie dokładniej zastudzająca serca od wszystkich jej rodzajów, po dzień dzisiejszy wymyślonych. Dla mnie przynajmniej, chciej posłuchać, jaką to idzie koleją. Cząsteczkę bez przeznaczenia leżących w szkatułce pieniędzy, ja bogata, w twoje lub upoważnione do tego cudze ręce składam, inni mnie naśladują i wy, miłosierni z urzędu, macie pewien fundusz do rozporządzenia. Jeśli nim jak najsumienniej masę potrzebu-

jących obdzielicie, to się jednym nic jeszcze, a drugim tylko tyle dostanie, żeby natychmiast znowu potrzebować zaczęli. Mniejsza o to: nie wtrącam się do administracji; moralnych jej owoców, dla mnie najłakomszych, moralnych uczuć patrzę tylko. Zaiste, odbierający wie aż nadto dobrze o tem, że udzielone mu wsparcie nie od ciebie, nie od wręczającego mu je pochodzi; pierwszy dawca jest mu obojętny, bo nieznany, drugi jest w jego oczach machinkowym tragarzem najczęściej niewystarczającego mu wsparcia: kogóż i za cóż on więc kochać będzie?

— A tobie koniecznie się chce wdzięczności na odpłatę, Augusto?

— Mnie się koniecznie chce pięknych wrażeń na rozgrzanie serca; nie posądzajże mnie o jakąś pyszkę drobniuteczką, o chęć zużytkowania na własną chwalbę dziękczynień zobowiązanego małą przysługą człowieka. Te wszystkie czcze komedje tak mi już zbrzydły, że choć do grobu uciecbym chciała przed niemi. Wszakże na zawołanie mieć je mogę w każdej chwili. Niech z karety dwuzłotówkę zamiast trzech groszy, cisnę pierwszemu lepszemu żebrakowi, to mi zapewne całą litanję szumnych błogosławieństw i przymiotników wyśpiewa; niech jeszcze z tysiąc rubli na zakład jaki przeznaczę, to i w gazetach o mnie pisać będą; lecz co mi po tej muzyce głośnych, bo próżnych wewnątrz instrumentów, co mi po tej pewności nawet, że Gawłowi grosz mój ulgę przyniesie, gdy mnóstwo niedowidzianych Pawłów zgniłemi kartoflami się truje i zapycha? Co mi po tem wszystkiem, kiedy ja chora, kiedy sama żadnego wsparcia, żadnej nie odbieram jałmużny. Stwórz mi inne ku czynieniu dobrego warunki, daj mi sposobność poświęcenia czegoś na widoczną korzyść moich bliźnich, a nadewszystko daj

mi ich ukochać! — a czego dziś nie pojmuję, to jutro zrozumiem, co mi się dzisiaj niepodobnem, to jutro najłatwiejszem do spełnienia wyda. Ukochać tylko, ukochać! Przyjdzie chwila natchnienia, objawią się cuda, stworzę siebie inaczej. Dziś wszystkie próby daremne; nie dowiduję, nie dostrzegam, nie umiem. Jedno mi do myśli nie przyjdzie, drugie wnet z głowy uleci, tego nie spotykam, o tamtem zapominam mimowolnie; każdy mój dobry uczynek, jak wiersz dobrego pisarza, jest konceptem, a nie jest poezją. Dziękuję ci za taką dobroczynność bez miłości.

— Gdybyś w całem rozdziwaczonem życiu twojem, Augusto, choć jedną chwilkę prawdą Bożą przeżyła, mogłabym się do tej chwilki odwołać, aby cię z gorączkowych marazmów na zdrowe powietrze wyprowadzić; lecz są rzeczy, o którychbyś słuchała, jak o żelaznym wilku. Zostawmy to na później, jak się cierpieniem lub szczęściem wyuczysz tego języka, którym ja mówić oddawna już przywykłam.

— Szanowna mistrzyni, toć na oswojenie potulnych uszu moich, racz mi choć słówko o tym żelaznym wilku w swoim djalekcie powiedzieć.

— Na oswojenie uszu powiem pięknej cudzoziemce takie na przykład wyrazy. Kto chce kochać w zachwycie płomiennym, w uweseleniu ducha i w nieba radościach, ten powinien kochać długo w oschłości, w tęsknocie, w niedbalstwie ziemi naszej. Powinien kochać, nie żądając ani od siebie samego, ani tembardziej od drugich, choćby najeterycznieszej nagrody. Wzniesienie uczuć gorętszych i czystszych, łatwość, jasność, wszechwładność zawsze przytomnej sobie myśli: to jest korona miłości, to jest przedsmak ostatecznego zbawienia, ale to jeszcze nie miłość jest sama.

— Prawdę powiedziałaś, doctissima, w tym mistycznym języku nie zrozumiemy się tak prędko; ja myślę, że kto niczego od ludzi nie wymaga, ten chyba najokropniej pogardzać nimi musi, i kiedy przestanę od nich wymagać datku wsparcia, siły, uczucia i szczęścia, kiedy przestanę sobie życzyć tej eterycznej, sercowej nagrody, wtenczas bądź pewną, moja droga, że nawet z tobą nie będzie mi się chciało... nawet o braku miłości rozmawiać.

— A wiesz, Guciu moja, co te wszystkie pretensje do świata i do ludzi założone znaczą?

— Zdaje mi się, że wiem, lecz i ty mów, Urszulko.

— Oto znaczą, że w twoim wieku powinnabyś się rozkochać, pójść za mąż, mieć dzieci, mieć cel życia, mieć światek swój własny, przez którybyś wszystkie światy planetarne i słoneczne zrozumiała natychmiast, w którymbyś wszystkich dopełniła obowiązków i wszystkie zaspokoiła wymagania.

Augusta na głos się rozśmiała.

— Dziękuję ci, Urszulko moja — rzekła, po ramieniu lekko ją uderzając — bardzo serdecznie ci dziękuję, że w ten sposób moją sprawę przedstawiasz; niezręczny jaki doktór medycyny byłby się mniej ozdobnie, a daleko surowiej wyraził. No, i cóż powiesz na to? ja się zgadzam z twoim wyrokiem. Przekonaj się najpierw, moja pani, że wyrazami ludzkiego dykcjonarza łatwo i nadzwyczaj rzetelnie rozmawiać się umiem.

— Kiedy tak jest, najjaśniejsza Guciu, śpiesz-że się, kochaj śmiało!

— Czy pana Filipa?

— Nie narzucam ci pana Filipa, bo go nie znam, choć zawsze waruję sobie, że mam prawo trochę więcej zajmującym od skreślonego przez ciebie portretu go znaleźć. Ty już przywykłaś do swego utworu obrazów i gdy ci

przyjdzie wzór żywy kopjować, ani kolorytu, ani wymiaru właściwego nie przestrzegasz dość pilnie: dajmy jednakże panu Filipowi odprawę. Kochaj tego, w kim ci się zdaje, że jesteś zakochana.

— Trudno, trudniej — oh! najtrudniej podobno.

— A to dlatego, że masz dwie przywary, najszkodliwsze w stosunkach sercowych. Gucia jest straszek nieznośny, przed mamą, przed bratem i przed ludźmi boi się przyznać do swoich skłonności, a najjaśniejsza Augusta znowu jest harda, jak kogucik na kościelnej wieżyczce, i tej skłonności wobec jej przedmiotu „uznać“ nie chce nigdy.

— Na ten raz chybiłaś zupełnie: najjaśniejsza Augusta w innym jest kłopocie; czy powiedzieć?...

— Ma się rozumieć, a powiedzieć tak szczerze, jakgdyby moje nawet uszy nie słuchały.

— Pierwej ty, Urszulko, przyznaj mi się, ale to przyznaj, jak gdybym ja także nie słuchała cię nawet: czy kochałaś kiedy?

— A na co ta ciekawość! zmów tylko pacierze.

— Nie mogę, źle odmówię bez twojej pomocy.

Urszula rozśmiała się półgłosem, lecz twarz jej trochę zbladła i ręka w ręku Augusty zadrgnęła.

— Więc ci powiem: kochałam — rzekła nakoniec spokojnie.

— Jeszcze nie dość na tem: wybacz mi, wybacz, jedyna moja, widzę, że cię dręczę boleśnie, ale muszę pytać. Kiedy kochałaś, co się działo w twem sercu? Kiedy kochałaś, czemu swoją miłością szczęśliwą nie jesteś?

— Czy chcesz kurs anatomji odbyć na mojem sercu, Augusto?

— Nie, tylkobym chciała lepiej własne serce pojąć.

— Jedno drugiego nie wytłumaczy nigdy.

— Sprobój, a zobaczysz, na co mi twoje zwierzenia potrzebne.

— Na ośmielenie.

— Bynajmniej, na schemat życia.

— Och! niech ci Bóg da lepszego dobrać sobie! Ale nie targujmy się, Augusto. Mów, co masz na myśli; ja znów, co mi przyjdzie na myśl, powiem i schemat nowy, daleko właściwszy, się ułoży.

— Twoja górą niech będzie, Urszulko! Więc od czegóż tu zacząć? Trzeba się chyba do przeszłości odwołać. Pamiętasz owe szaleństwa i marzenia bezcelne, kiedy w tajnikach mej wyobraźni rozkochiwałam się codziennie inaczej, codziennie w kim innym i z innego powodu? Zdawało mi się, że zbieram farby i kształty oderwane, ziarnka piasku, srebra i złota, z których kiedyś najdoskonalszy jakiś posąg się odleje. Zbierałam, czekałam i dziś czekam jeszcze. Nie są to już owe mrzonki efemerydalne, znajome ci niegdyś, któreby właściwiej nazwiskiem rzeczy, niż imieniem człowieka oznaczyć się dały: skrzypce, wiolonczela, poemacik, głowa z Rembrandta obrazu i tym podobne przedmioty; nie, gorzej daleko, to są trzy wyraźne postacie, które, jak trzy błędne ogniki, po manowcach mnie wodzą. Urszulko, ty mi chyba stanowczo powiesz: którą z nich kochasz prawdziwie?

— A to istotnie osobliwy na mnie wkładasz obowiązek! Nigdy nie chciałam wierzyć temu, żeby którakolwiek kobieta mogła nie wiedzieć, w kim jest zakochaną.

— Bo doctissima na drukowane książki tylko, a nie na świat patrzyła. Przecież to zwykła wszystkich nieomal historja. Gdyby kobiety wiedziały z pewnością w kim się kochają, ileż zawodów, nieszczęść, zgorszeń oszczędziłyby sobie! Lecz nie traćmy czasu na sprzeczki: ja nie wiem — i koniec.

— Jestże to podobnem, Augusto?

— Przysięgam ci, jest najpodobniejszem, moja droga. Wszakże bogatą się urodziłam — oh! fatalnie bogatą — i miljonami, które mi się na nic dobrego nie przydadzą, i różnostronnością władz natury mojej. Każda władza osobno wzięta mogłaby całemu życiu innej kobiety wystarczyć, a wszystkie, razem w jedną indywidualność połączone, plączą mi tylko obecność i ciągłem zaniepokojeniem mej przyszłości grożą. Po każdej stronie losu — zbytek w ubóstwo przechodzący. Gdybym miała parę tysięcy własną pracą zarobionego dochodu, swobodna jak ptaszek, rozrządzałabym wszystkiemi zdarzeniami mego życia, mogłabym zawsze rok przeciw godzinie szczęścia stawić, wszystkie lata rzucić w jaką nadzieję, w jaki zamiar, w jakie poświęcenie; dzisiaj mój posag, moje dobra i listy zastawne przykuwają mnie do jarzma najnieznośniejszych zwyczaików, ostrożności, kłamstw, nudów i próżniactwa. Taksamo gdybym miała pod jednym tylko kierunkiem rozwinięte zdolności, prędkobym dla nich zastosowanie znalazła. Niechże która inna kobieta, prawdziwie planetarnej duszy i ślicznie bluszczowej myśli — taka Aldona naprzykład, co sobie nic wyobrazić nie umie: „gdzie to ma lecieć, po jakie rozkosze — kto poznał Boga wielkiego na niebie i kochał męża wielkiego na ziemi...“ taka więc niech spotka męża wielkiego na ziemi — męża rzymskiego hartu a rodzimej cnoty — pięknego jak na medal, czystego jak na ofiarę ubłagania, silnego jak na zwalczenie piekła. Wszakże dość już będzie dla niej wielbić, zachwycać się, błyszczeć w świetle jego promieni. I cóż, Urszulko? mnie to nie wystarcza. Prawda, że się garnę pokornie ku jasności słonecznej — ale poza tem, stokroć świętem uczuciem entuzjazmu, odzywa się drugie, właściwsze jeszcze kobiecie uczucie — odzywa się po-

trzeba uszczęśliwienia wybranych swoich. Mistrz przewodnik, wszystko mi daje, wszystko mi objawia, ciągle mnie wspiera — lecz ja nawzajem chciałabym udarowywać, objawiać i wspierać. Czuję w sobie jakieś żywioły, jakieś siły na nic nieprzydatne dla orła ideałów moich, lecz mogące zbawić tęsknego w nizkiem gniazdeczku kolibra. Wierz mi, Urszulo, i to jest niewyczerpniętem pociech, rozrzewnień, pięknych wzruszeń źródłem, kiedy się trzyma jakby w ręku swoim cały los, całą duszę czyjąś, kiedy się ma kogo tkliwem otoczyć staraniem, macierzyńską przeciw złemu obronić opieką, wszystkiemi skarbami na drogę ku dobremu obdarzać — kiedy się go może łajać, chwalić, zasmucać, rozradowywać, wtajemniczać we wszelkie piękne życia i uczuć ludzkich misterje *(tak)*. Ja myślę, że ty, Urszulko, najłatwiej powinnabyś właśnie zrozumieć piękność tego stosunku.

— Dla siebie niekoniecznie; a jednak tobie ponobym i radziła ograniczyć nim całą akcję układanego w twej wyobraźni dramatu. O ile mogłam poznać, zbyt jesteś dumną, zbyt wymagającą, żeby uwielbienie dało się z epizodu w ciąg i treść dzieła zamienić: tobie na okupienie zbytków różnogatunkowych przedewszystkiem pierwiastek dobroci trzeba z uśpienia obudzić. Poprzestań na roli opiekuńczej, Augusto.

— Zapominasz, że nie mój własny wybór, ale wprost fatum jakieś greckie kazało mi inną prócz tego na świecie odgrywać: jestem piękna, jestem młoda.

I niby na udowodnienie tych wyrazów posągowa Augusta, niespodzianym, a silnym i zręcznym ruchem, jak z zasadzki wyskakująca trochę za łupem, trochę za swawolą tygrysica, wyskoczyła ku środkowi pokoju, otworzyła pianino i uderzając kilka dziwacznych akordów,

zaczęła na dziwaczniejszą jeszcze, w tej chwili, jak widać, pomyślaną nutę, pełnym swoim śpiewać głosem:

A znasz ty kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
A znasz-że ty
Dwóch spojrzeń błyskawice
Gorętszej krwi
Rumieńcem wzbiegłe lice?
A znasz-że ty
Chwil przelotnych wrażenia —
Jak serce drży,
Jak w głosie drżą westchnienia?
A znasz-że ty
Młodości wir zuchwały,
Jawy i sny,
Promienie, wichry, szały —
Czy znasz je ty?

I nagle, jak stuknęła wszystkiemi palcami w jakieś dziesięć ze sobą pomieszanych klawiszów, tak się zdawało, że struny powinny były pęknąć; widać jednak przezorny Pleyel na Lisztowskie uderzenia ich siłę obliczył.

— No, moja Urszulo — rzekła nakoniec, jedną ręką jeszcze o pianino wsparta, ale całą swoją majestatyczną, wyprostowaną postawą ku siedzącej odwrócona — już ci ostatni wyraz tej zagadki powiedziałam; twoja teraz kolej — rozwiązuj!

— A ja właśnie teraz, kiedy mi zaśpiewałaś, znowu nic nie rozumiem o co ci chodzi — z uśmiechem odparła zapytana Urszula. — Zły sposób wybrałaś może: bo to trzeba ci wiedzieć, Guciu, że w twoim śpiewie nie jeden głos, ale ze sto innych głosów, czasem głosy mojej najcichszej myśli słyszę — jakże chcesz, żebym potem wąt-

pliwości twego życia z tą swoją własną wątpliwością zmieszane rozwiązywała! Na ten raz piosenka niezupełnie była w moim tonie, innych tonów przecież tak wiele, a są między niemi i takie... że doprawdy boję się pomyśleć, boję się moją najjaśniejszą rozgniewać — a wolniej domawiając tych ostatnich wyrazów, Urszula przeciągłem, więcej jednak opamiętywającem, niż badawczem spojrzeniem w oczy Augusty patrzyła.

Dumna piękność wstrząsnęła głową, jakgdyby z niej zaciężką chciała zrzucić koronę.

— I ty się nie mylisz i ja się nie gniewam — przemówiła po chwili bardzo stanowczym głosem. — Dlatego się urodziłaś, żebym choć z tobą jedną na tym Bożym świecie bez obłudy i kłamstwa wszystko co myślę wypowiedzieć mogła. Spełnijże swoje przeznaczenie — bardzo cię proszę, nie narzucaj mi żadnych obwijań bawełnianych. Kogo ja kocham? wyrokuj. Czy Samuela przez uwielbienie, czy Morysia przez opiekę, czy tego szatana Seweryna przez pokusę? — I domawiając tych słów, znowu się jak najpokorniej na otomance wyciągnęła.

— Wyrokuję sumiennie, Augusto: żadnego z nich nie kochasz — rzekła pół-uroczystym, pół-żartobliwym głosem Urszula.

— A to zabawna historja!

— Rzeczywiście, dla ciebie zabawna tylko historja, ale nie miłość, Guciu moja. Gdybyś kochała, nie miałabyś ani czasu, ani siły na takie subtelne rozróżnienia, bo miłość, to chwila doskonałej właśnie, zupełnej łączności wszystkich władz duszy naszej i wszystkich zmysłów naszego ciała; gdyby miłość zostawiła ci w sercu jedno uczucie niezgarnięte ku sobie, w głowie myśl jedną przez siebie nienatchnioną, w nerwach choć jedno obce wraże-

niom swoim zadrgnięcie: a toćby nie była miłością, Augusto. Oj, dziecko, dziecko z ciebie, tajemnic życia nieświadome! Co ty mistrza z kolibrem twoim, kolibra z szatanem pokusy rozdzielasz? Ukochany jest wszystkiem tobie, jest mistrzem i pisklęciem, jest Adamem i szatanem twojego raju. Słuchasz go, jak przeznaczenia; staraniem i tkliwością go otaczasz, jak Benjaminka duszy twojej; szalejesz nim, upajasz się, jak wyziewami delfickiej jaskini siedząca na trójnogu kapłanka. Nie lękaj się, żeby ci wtenczas jakieś niezużytkowane fantazje o inny przedmiot zajęcia się dopominały; stokroć prędzej ty sama poczujesz, że jest ciebie zamało, że jest w tobie za ubogo, że jest od ciebie niewystarczająco jeszcze. Bo miłość chłonie, miłość ogarnia, miłość przepełnia i znicestwia zarazem; gdyby trwać mogła, gdyby się nie zmieniała, nie psuła — toby chyba aż źle było... ludzieby zapomnieli, że: „Nie będziesz miał cudzych Bogów przedemną".

— A widzisz, jak słusznie przeczułam, że mi wiele rzeczy nowych o tym przedmiocie powiesz! Kiedyś zaczęła, to dokończ. Urszulko, wytłumacz: dlaczego ty sobie przypomniałaś, co właśnie, według słów twoich, ludzie zapomniećby mogli?

— Dlaczego? Dlatego, że każdy, chcąc czy nie chcąc, swoim czy cudzym grzechem, katastrofą czy powolnem cierpieniem, utratą złudzeń czy ich wybujałością na grobie jakimś, lub na nieprzejrzanych rozstania obszarach, każdy prędzej czy później przypomnieć sobie musi. Tak Pan chciał, tak słudzy czynią, tak Opatrzność rozrządziła, tak się ludziom dzieje.

— Nie uciekajże mi w omówieniu, Urszulko — powiedz szczerze: z jakich wypadków chęć Pana i rozrządzenie Opatrzności pojąć mogłaś?

— Ze wszystkich, które się tylko przed oczami memi przesunęły.

— Doctissima! takich sekretów gospodarskich, jakie ty zdajesz się posiadać, żaden kalendarz nie uczy; tylko z własnego doświadczenia poznać je trzeba koniecznie.

— Alboż się tego wypieram, że z doświadczenia poznałam?

— Kiedy się nie wypierasz, bądź-że łaskawa dokładniejszą obdarzyć mię informacją. Usnąćbym nie mogła spokojna, gdybym raz w ogólniku przyjęła tę zasadę, że niema jutra dla chwili miłości, a dla mnie bez chwili miłości zmartwychwstania nie będzie. Jak-to być może prawda z kłamstwa, mądrość z szaleństwa, a cnota z grzechu? Gdzie w tem sens i sprawiedliwość? Dotychczas zdawało mi się, że nieszczęścia gorzkich zawodów tylko nad romansem, to jest nad małoletnością uczuć i pojęć, ciężą. Kto się na mój dawny sposób w rzeczy, a nie w człowieku zakocha, kto pięknie przetańczonego mazura, jeźdźca na bystrym koniu, dobór przedeklamowanych wyrazów, pejzaż otaczający pierwsze spotkanie, a zresztą może ładny koczyk i spodziewane krocie intraty w kochanku przeidealizuje — temu się bardzo słusznie pokuta należy; ale tobie, Urszulko, tobie dorosłej sercem i myślą, skądże wypadło takież samo jak lada pensjonarce przechodzić koleje? Czemże ty zbłądzić mogłaś? Czyś zamało kochała?

— Wykochałam całe serce aż do dna; nic mi już dla nikogo wśród ludzi na drugą ofiarę nie zostało.

— Więc może kochałaś trochę zanadto, Urszulko?

— Prawda, że bez targu — nie umiałabym na łokcie zmierzyć — ale wiem, że kochałam po granice szaleństwa i hańby: tej linji demarkacyjnej nie przeszłam.

— To zbłądziłaś wyborem?

— I mnie się tak zdaje — powinnam była wybrać przed urodzeniem twój kolor włosów, twoje oczy, rysy, a ja sobie wzięłam twarz taką pospolitą, oczy takie blade, włosy takie wypłowiałe!... No, podziękuj mi, że chociaż starsza, zostawiłam ci ładniejszy przyodziewek — podziękuj, bo przecież mogłam wybierać.

— Ach! zapomniałam, że wybór niepodobny, a przecież sama jestem tego zdania — lecz kiedy niepodobny, moja Urszulko, czy nie mogłabyś mi powiedzieć, na co się zdadzą ludziom i Bogu te wszystkie zawieruchy? na co te próby daremne?

— Zdadzą się, zdadzą, jak elektryczna burza roślinności. Nie zgadłabyś czasem, ile piękna i potęgi w twojej duszy drzemie, nie domyśliłabyś się co to wykonać, przedsięwziąć i poświęcić jesteś zdolna, gdybyś na wyłącznem, pośredniem między samolubstwem a zaparciem się siebie uczuciu wprawy nie nabrała; uczucie później na atomy pryśnie, w najlepszym razie straci tylko swoją podbudzającą własność, spowszednieje — lecz tobie zostanie pamięć jego i zostaną pod jego wpływem nabyte lub rozwinięte zdolności. Wstyd ci będzie dla świętszego słowa, wstyd dla zbawienia i dla Boga w niebie mniej być wylaną, zasobną, gorliwą, jak *(tak)* nią byłaś dla równego sobie, może nawet drobniejszego od siebie człowieka. Co do mnie, przynajmniej z owej elektrycznej burzy młodego wieku tę wielką odniosłam korzyść, że umiem na każde pożądanie dobrego i prawdy tak oddać wszystko i tak spokojność, tak mój los narazić, jak niegdyś oddawałam i narażałam za jedną jego radości godzinę.

— Więc prostem porównaniem rzecz tę objaśniając, miłość dla ciebie, moja Urszulko, była tylko przygotowawczą szkołą do wyższego gimnazjum życia, a gimnazjum miało cię przygotować do uniwersytetu cnoty, świę-

tości i t. p. Gdyby jednak porzucić ten pedagogiczny system, gdyby zwrócić się do fizjologji roślinnej, czy nie lepiej byłoby gorących krain palmy i nasze własne sosny naśladować? Palmy i sosny wysoko biegną ku niebu, a przecież najwyższy i najświeższy listek ich korony ta sama wilgoć karmi, którą najniższa ich gałązka z łona matki ziemi wyciągnęła — czemuż serce ludzkie, a nadewszystko czemu twoje serce nie uniosło w koronę swojej świętości tych samych żywiołów, któremi się w czasie wzrostu swego zasilało?

— Co za botaniczne porównanie! Ja nawzajem daleko prostszem je objaśniając, muszę ci powiedzieć, moja Guciu, że nie zaród uczucia, nie żywioł z natury wyciągnięty na dalszych stopniach udoskonalenia zmieniamy, ale zmieniamy przedmioty żywotowi owemu posługujące; tak jak ty, najjaśniejsza, nie zmieniałaś swoich kształtnych nóżek od dziesiątego roku dajmy na to, ale zmieniłaś miarę ich obuwia, i nie mogłabyś na nie włożyć ówczesnych pantofelków.

— Oh! szkaradna pedantka! Pierwszą miłość swoją staremi pantoflami nazywa.

— Dla większego „efektu" mogłaś jeszcze dodać: pierwszą i ostatnią jedyną wyłączną miłość swoją...

— Tem gorzej: muszę koniecznie pantofelkom na wszystkie strony się przypatrzeć — podaj mi je natychmiast.

— Zaczekaj — może kiedy przyjdzie mi o nich w liście ci napisać.

— Urszulo, ja chcę teraz słyszeć.

— Augusto, ja nie chcę nigdy o tem mówić.

— Jesteś najnieznośniejszą pod słońcem dziwaczką.

— A ty najkapryśniejszem z pod księżyca dziecięciem.

— I kiedyż w liście napiszesz? Czy doprawdy napiszesz?

— Napiszę, Guciu, napiszę bajeczkę, obrazki powklejam i dam na gwiazdkę mojej rozpieszczonej jedynaczce. A teraz niech na tem poprzestanie, że kiedy mnie było lepiej na świecie, kiedy ja byłam szczęśliwa, to przygarnęłam sercem smutniejszego od siebie; kiedy zaś jemu potem zaczęło być lepiej niż mnie, on odszedł sobie daleko...

— Ależ to była nikczemność z jego strony, Urszulko! Jakże ty mogłaś, znając go, czy nie znając, nikczemnika pokochać? Oh! wiem, wiem, że nie mamy prawa wyboru; lecz natomiast musi być pewne tożgatunkowości, a przynajmniej równoległości prawo, na mocy którego róża kocha słowika lub motyla — jak śpiewają poeci — lecz biała lilja nigdy żaby nie kochała.

— Między nami mówiąc, Augusto, nie przysięgłabym za lilją — ostateczne sprzeczności najwięcej czasem pociągu mają ku sobie; lecz my nawet nie byliśmy ostatecznemi sprzecznościami, ani ja lilją, ani on żabą: i owszem, z wielu względów można go do znakomitszych ludzi policzyć. Rzetelny jak książki kupieckie, rozumny jak bibljoteka. Gdyby mu kto powiedział, nie obwijając w bawełnę — „Kochałeś Urszulę, póki była bogatszą od ciebie, a przestałeś ją kochać, gdy sam od niej bogatszym być zacząłeś“ — wyobrażam sobie, jakby się zdziwił i rozgniewał, a przecież choćby to się dało z pieniędzy na moralne powody przetłumaczyć, zawsze prawdy środkowej jądrem te szkaradne, poziomo brzmiące słowa zostaną. Lecz dajmy pokój mojej nudnej historji; zaczęłaś mi sama o sobie ciekawszą trochę rozpowiadać — proszę o dalszy ciąg i słucham uważnie.

— Wielką mam ochotę do przyszłego listu cię odesłać.

— Niesprawiedliwa, pensjonarska prawdziwie zemsta, moja Guciu! Za to, że mnie jest przykro o przebolałych wypadkach wspominać, ty się chcesz pozbawić przyjemności mówienia o rzeczach, które cię bawią jeszcze.

— Jestże to mała złośliwość, szanowna Urszulo?

— Nie jestem dość wielką panią, abym sobie małych złośliwości pozwalała; o dziecinną gadatliwość cię nie posądzam, lecz z własnego doświadczenia znam różne ludzkiego serca tajemnice i wiem, jak mu jest błogo czasem w dźwiękach słów żywych długo skrywane myśli usłyszeć; to jakgdyby piśmiennie zanotowaną melodję kompozytor, przez długi czas fortepianu pozbawiony, twego Pleyela spotykając pod ręką, odegrał sobie nakoniec *(tak)*. Śmiało więc, Guciu, wróćmy do fenomenalnej twojej wątpliwości i zastanówmy się nad tem, czy możesz kochać jednego chociaż z tych trzech wybranych, których wszystkich razem nie kochasz wcale według mego zdania.

— Czemuż mię oni więcej od innych zajmują?

— Mam nadzieję, że się ta osobliwość da łatwo bardzo wytłumaczyć — tylko mi powiedz pierwej: kto jest ów dla mnie bardzo ciekawy, idealny, a może tylko zidealizowany pan Wiktor — i kto ów niebezpieczny Seweryn? bo prześlicznego Morysia to już pewno znam oddawna.

— Właśnie że nie znasz. Jakże ci się zdaje? kto jest prześliczny Moryś?

— Wasz domownik przecie.

— Z jakim pogardliwym akcentem rzucasz to słowo „domownik". Jużby też lepiej moja matka nawet nie wymówiła.

— Powiedz mi, jak mam nazwać młodego człowieka, zdrowego na ciele i umyśle, który bez żadnego zatrudnienia, rok po roku w domu bogatych opiekunów przesiaduje, szklanki wody przynosi i odnosi, na służących dzwoni, sprawunki balowe załatwia, daje się „kochanem dziedzictwem" przezywać, je dobrze, śpi dobrze — i nigdy ani na wątrobę, ani na zgryzotę sumienia nie zachoruje?

— Otóż miałam słuszność, że nie znasz Morysia; widzisz w nim tylko wychowańca na cudzym koszcie żyjącego — lecz czem jest Moryś rzeczywiście, o to mnie pytaj, Urszulko.

— Jaknajchętniej, kiedy każesz; więc pytam: czem jest Moryś rzeczywiście?

— Jest mało potrzebującym człowiekiem.

— Wyborna definicja próżniaka. Kto ma smaczny obiad, wytworne pomieszkanie, z cienkiego sukna fraki i tużurki, mnóstwo drobnych wygódek i cacek, obejdzie się bez reszty, obejdzie się bez własnej godności, bez szacunku bliźnich i bez chwały Pana Boga. Jeno mu ciągle na kominku ogień lub w salonie woskowe świece i kinkiety palić, toby się nawet bez gwiazd i słońca obszedł; bo próżniak jest „mało potrzebującym człowiekiem". Niezapomnę tego szlachetnego omówienia.

— A ja ci nie zapomnę tej gorzkiej ironji. Fe! wstydź się, doctissima, takie pociski rzucać — i przeciw komu? Przeciw biednemu Morysiowi, który sam nigdy na nikogo kamieniem nie cisnął, który ma taką szczerą dla każdego życzliwość, taką ustępną, wdzięczną, łatwo dobremu wierzącą, a na złe niepodejrzliwą naturę — i za cóż obelgi najdotkliwsze? Za to, że się z drugimi *(tak)* nie kręci, nie popycha, nie rozbija wielkiemi kułakami o bardzo drobne rzeczy. Spojrzyj dokoła, Urszulko, sumiennie rozsądź

sprawy tych bezbożności najemników: czy jest o co mózg w głowie sobie smażyć, a serce w piersiach wysuszać? Co do mnie, to ci się przyznam, że mi już zbrzydła owa prawdziwie mrówcza skrzętność otaczających mnie ludzi. Jak wół i osioł jarzmo swoje wloką, żeby do najniżej ustawionego celu najbrudniejsze częstokroć ździebełko dowlekli. Jednemu kresem zabiegów kuropatwy z truflami na święto, a pieczona polędwica w inne dni tygodnia. Dla drugiego u szczytu mrowiska leży tytuł, który mu nawet nie da prawa łaski dla drobniejszych, a wsiąknie *(tak)* w siebie zdrowie, swobodę i wieczność może całą. Trzeci waruje niby wyżeł do ideału posażnej żony. Temu karjerą zrobienie majątku; tamtemu głównym obowiązkiem życia się zdaje pewne dobra do dóbr już posiadanych przykupić. A niczego bez trudu i hałasu otrzymać nie można. Dopieroż tedy, bezsennie spędzane nocy, ulewy żółci, przeziębienia, choroby! Oh! moja Urszulko, mów co chcesz sobie: stokroć większy mam szacunek dla jego na małej cząsteczce poprzestającej bezczynności, i stokroć piękniejszym mi się zdaje jego cichy egoizm, jego ograniczone, ludziom niezaczepne szczęście.

Man wants but little here below
Nor wants that little long.
(Człowiek mało na tym świecie potrzebuje,
I tego mało nie potrzebuje na długo).

Jestem pewna, że Moryś w tym dwuwierszu angielskiej ballady streściłby całą swoją filozofję, gdyby mu kiedy przyszło na myśl filozoficznie ze swego postępowania się tłumaczyć.

— Ależ, Guciu, chcesz koniecznie na jakiegoś filozofa, bodaj czy nie ascetę, pana Morysia wystrychnąć —

a pan Moryś dwudziestu czterech godzin nie obszedłby się bez hawańskiego cygara i schudłby niezawodnie po tygodniu naszej zwyczajnej ubogo szlacheckiej strawy. Jeśli mi powiesz, że na wygodnem, zbytkownem życiu poprzestaje, że nie jest dumny, że się za czczę sławą urzędów, nauki, poezji, sztuk pięknych i tym podobnych szaleństw nie ubiega — ha, to ci natychmiast uwierzę; ale jeśli mi powiesz, że mało potrzebuje, to muszę śmiać się koniecznie.

— Jesteś niesprawiedliwa, moja droga; zastanów się tylko, czem mógł zostać młody człowiek z gwałtowniejszemi namiętnościami, z drażliwą pychą i ruchliwszą próżnością w położeniu takiego Morysia, odbierającego prawdziwie pańskie wychowanie, noszącego trochę świetniejsze od swoich dobroczyńców nazwisko, a przy dojściu do pełnoletności obejmującego w posiadłość okrągłą sumę 50.000 zł. — Gdybyś pięćdziesiąt tysięcy młodzików zgromadziła, nie wiem czyby się między nimi dwóch takich znalazło, co w podobnych warunkach ster życia biorąc do ręki, nie pokierowaliby nim na pełne morze hulanki i rozpusty, albo nienawiści, zazdrości, intryg i występków. Tymczasem potulny Moryś niewinnem, serdecznem a wesołem jak ptaszek dzieckiem został tylko. Nikt mu w naszym domu nie dokucza, skąd więc on, pełen ufności, domyśleć się mógłby nawet, że go nikt szczerze nie kocha? Z usposobieniem mojej matki jemu właśnie bardzo jest łatwo do równowagi się ułożyć: ani zbytkiem gorąca, ani zbytkiem zimna, to jest ani egzaltacją, ani zapomnieniem i nieuwagą przeciw formom światowym nie grzeszyć. Od dzieciństwa przywykł też do nader kornego względem niej uszanowania, które, w nawiasie mówiąc, rodzone jej dzieci podzielają, nie czuje się przeto bynajmniej poniżonym zawisłością swojego z tej strony

stosunku — mogłabym prawie powiedzieć, że i matka po swojemu przywiązała się do niego. Ileż razy słyszałam, jak wspominając o nim, mówiła ledwie że nie rozrzewnionym głosem: „Ten Moryś to taki łagodny, taki delikatny, jak gdyby go w domu nie było". — Owo: „jakby go nie było" może ci się dowcipną przymówką zdawać — ale nie, Urszulko, to jest najwyższy stopień pochwały w ustach mojej matki — już wierz mi, ja się znam na tem. Co do mego brata, który tak często Morysia „kochanem dziedzictwem" nazywa — prawda, że czyni to z pustoty, lecz ta pustota jest pamiątką jednej trochę tkliwszej sceny w naszym rodzie. Kiedy mój ojciec przywiózł do nas siedmioletniego chłopczynę, ubranego w grubej żałobie, najpierw matce, a później Dyonizemu i mnie jako trzecie przybrane dziecko przedstawiał, dziś jeszcze pamiętam, głos jego lekko drżał, mówiąc te słowa: „Po walecznym żołnierzu, uczciwym człowieku i wiernym przyjacielu oto jest moje kochane dziedzictwo". Djonizy, sam jeszcze wtedy nie o wiele od małego sierotki starszy, a niekoniecznie zwiastujący dzisiejszych salonów dowcipnisia, wziął ostatnie wyrazy za nazwisko przywiezionego kolegi i w godzinę potem wielkiego śmiechu narobił, dając znać, że „dziedzictwo nie chce pić ustawionej mu na moim stoliku herbaty". — Śmiech wywołany był, jak widać, najwyższym już dla mego brata triumfem — choć go objaśniono o pomyłce, raz po razu swój kompliment powtarzał, aż dopiero znudzona tem powtarzaniem matka pod grozą surowej kary wzbroniła mu na czas jakiś używać tego przezwiska; później znów przy zdarzonej sposobności na wierzch ono wypłynęło i dotychczas zatonąć nie może. Więcej ci nawet powiem: drugie się jeszcze znalazło, lecz to już Morysiowi tylko w kółku rodzinnem i tylko trochę z pie-

szczotliwym akcentem się daje. Ponieważ ojciec nasz był przez jego ojca w testamencie wyznaczony opiekunem i ponieważ, sam umierając, także przez testament polecił naszej matce, aby zawsze nad losem wychowanka czuwała — stąd też wychowanek bardzo często, ale, jak mówię, w dobrym pieszczotliwym sposobie „testamencikiem“ się zowie. Jest to pomysł Djonizego — Djonizy nie więcej sobie z Morysia, jak *(tak)* z wszystkich innych, jak ze mnie naprzykład, żartuje. Moryś nawzajem uważa jego złośliwość za wrodzony jakiś nałóg; odetnie się czasem, rozdąsa się niekiedy, lecz nie ma nawet pojęcia, aby w tych żartach lekceważenie na wierzch wybijało, lub też by on zabezpieczyć się przed niemi moralnie był obowiązany, dlatego jedynie, że kto zdaleka podobnych żarcików słucha, to je może lekceważeniem wytłumaczyć sobie. Oh! nie, to nie jest jednak przychlebny domownika, pasorzyta, pieczeniarza charakter. Moryś uszlachetnia swoje położenie prawdą szczerego przywiązania i dziecięcą w przywiązanie drugich *(tak)* ufnością. W wielu okolicznościach prócz tego podziwiam jego rozsądek: nic a nic go nie korci, że Djonizy ma swoje kabrjolety i wierzchowce, że w karty grywa i śniadania znajomej młodzieży wyprawia; on się wcale do naśladownictwa zmuszonym nie widzi. Ma swoje zupełnie odrębne upodobania, które wielkich nakładów nie potrzebują i nie zawadzają nikomu: lubi polowanie, rybołówstwo, lżejsze warstwy literatury i pieska swojego. Na balach tańczy wesoło, lecz namiętnie za balami nie wzdycha. Najczęściej widzieć go można z dubeltówką lub siecią na plecach, z rododendronem lub francuskim romansem w ręku. Trzeci rok już niby o dzierżawę się stara, lecz posądzam go, że to jest tylko zręcznie wypowiedziana odpowiedź dla tych, którzy z niepotrzebną cie-

kawością o dalsze na przyszłość zamiary go wypytują. Przyszłość Morysia w najodleglejszych granicach swoich sięga zaledwie od wiosny do lata, od jesieni do zimy, według tego, jak w której porze które kwiatki się rozwijają i który rodzaj myśliwstwa przypada. Oranżerja nasza dostarcza mu głównego zajęcia, naszych błot cyranki i słomki głównych w życiu pociech. I cóż, Urszulko, czy zgadniesz dlaczego ta miękka wata, co się nitką bawełny przędzie, ta woda strumienna bezmyślnie po swej pochyłości płynąca, ten Moryś bez hartu i bez karjery, to wszystko takie słabe, takie wiotkie — dlaczego to wszystko ma dla mnie tyle uroku?

— I czemuż nie śpieszysz, Augusto? Zdawało mi się, że się już ze wszystkiemi niezrozumiałościami twego charakteru oswoiłam; tymczasem widać, że masz zawsze nową niespodziankę na pogotowiu. Co znaczy to bałamucenie Morysia? Czy rzeczywiście jesteś tego pewną, że gdy mu zawód obierzesz, on w nim do celu jakiegobądź dojdzie, ty go pokochasz i ręką swoją wynagrodzisz? Jeśli tak jest, dlaczego próżne opóźnienie? Czemu pan Maurycy już w Rzymie za stalugą nie siedzi? Muszę ci się przyznać, Augusto, jak też ja sobie te różne sprzeczności tłumaczę. Oto mi się zdaje, że w artystyczną przyszłość Morysia nic a nic sama nie ufasz; bawisz się rolą opiekuńczego anioła, rolą podszeptującej piękne zamiary Egerji, lecz gdy o wykonanie najmniejszego z nich idzie, cofasz się pierwsza, bo wiesz, że posłuszna twej woli duszyczka o lada kamień na gościńcu się rozbije, a pono wiesz także, Egerjo, że twój Numa wkrótce cię znudzi i nie chcesz stanowczej względem niego zaciągać odpowiedzialności. Masz dobre serce, więc prędzej czy później sumienieby ci wyrzucało, że kogoś tam, jak dudka, o kilkaset mil w pole wywiodłaś i samego zostawiłaś. —

Wszak prawda? przez dobroć serca jedynie zatrzymujesz Morysia? przez rzetelność nie dajesz mu ani kierunku, ani do działania podniety? Inaczej trudno pojąć, coby ci przyszło z tego marnotrawstwa dni i lat całych, kiedy już w końcu pan Filip zjeżdża, a ty, chcąc nie chcąc, będziesz musiała jednem „tak“ lub „nie“ o przyszłości swojej postanowić.

— Toćby mi nic nie przyszło z tego także, gdybym Morysia do Rzymu wysłała; przed końcem karnawału pewnieby jeszcze Rafaela nie dosięgnął, a Tycjana nie przerósł. Mnie też nic na jego pendzlu nie zależy. Powiem ci, czego ja chcę, moja Urszulko: oto prawdziwie ja czekam tylko, żebym się w nim zakochać mogła. Rozbudzam szlachetniejsze swoje popędy, dobieram mu takich usposobień, wrażeń i marzeń, w którychby mu najwięcej było do twarzy. Już mi ślicznie wygląda czasem z tą zaniepokojoną męską dumą w sercu — jeszcze śliczniej z tem pokornem we mnie zaufaniem, z tą ciągle do mnie odwołującą się myślą, z tą próbą czynnego życia nawpół trwożną, nawpół zuchwałą. Ani się spostrzegę może, jak przyjdzie chwila apoteozy, i Moryś tak mi się pięknym wyda, tak pięknym że za najpiękniejszym tęsknić nareszcie przestanę.

— I cóż zrobisz wtedy z panem Samuelem, z panem Sewerynem, nie licząc pana Filipa?

— Przyjmijmy jako ostateczną zasadę, że w tym pokoiku pan Filip nigdy się nie liczy; co zaś do Samuela, do Seweryna — właśnie twoim podobno będzie obowiązkiem zbliżyć mię do jednego, od drugiego wyzwolić.

— Więc na to mię sprowadzałaś tak śpiesznie do Warszawy? Niema co mówić, zaszczytne czekały mię urzędy: faktorki i duenny.

— Pani łaskawa, czekał cię urząd na świeczniku po-

stawionej lampy. W mojej duszy, w moim losie niemniej trochę, niż w tej pustelni teraz, gdy ogień zapomniany przygasa *(tak)*. Sama sobie zostawiona, mogłabym się potrącić, zaczepić, rozbić, upaść i nogę złamać; ale wniosłam moją Urszulę: jasno się zrobiło i wszystko widzę, a mnie tego najpierwej potrzeba: dobrze widzieć. Czyż to ja z pewnością wiem kto Samuel? czyż wiem kto Seweryn? Jeden zdaje mi się taki wysoki, jak góra Mont-Blanc przynajmniej, drugi taki świecący, błyszczący, jak meteor. A może jeden jest tylko długim, ukośnie pod światło księżyca padającym jakiego pieńka cieniem; może drugi jest próchnem albo fosforycznym wyziewem... *Fiat lux* — światło się stanie i zaraz prawda wszystkiego wyjdzie, jak oliwa, na wierzch.

— Wiesz co, Guciu, że jednakbym za całą piękność twoją, bo już nie mówię za twoje miljony — łatwiej bez miljonów obejść się kobiecie — ale za piękność ową klasyczną, nienaganną, wzorową, za tę piękność nawet nie podjęłabym się żyć z takiemi ideałami w głowie, a z takiem ciągłem zastrzeżeniem w sercu. „To olbrzym! — kto wie, czy nie karzeł? To djament! — kto wie, czy nie mika? To mój artysta! — kto wie, czy nie głupiec?“ I mieć tak każde wrażenie na dwa zupełnie sprzeczne głosy rozłożonem! Istotnie, chyba musiałabym oszaleć.

— Mnie się nie zbiera jeszcze na szaleństwo. Od dzieciństwa przykładam się do tej kociej muzyki, wtórującej najpyszniejszemu *oratorio*. Wprawa cudów dokazuje — dlatego przy zdrowych zmysłach się uchowałam; ale że mi często okropnie smutno bywa, tego się nie wypieram, i gdyby mi kto pomógł do przygłuszenia nieznośnego moich szyderstw *charivari*, gdybym z czyjej łaski choć dzień jeden przeżyła harmonijną, bez dysonansów pieśnią! — oh! złota Urszulko, jakbym ja to ko-

chała mego dobroczyńcę! Jeśli Samuel jest rzeczywistością...

W tem pode drzwiami lekkie stukanie słyszeć się dało. Augusta brwi zmarszczyła, uniosła się na jednym łokciu i z najwyższą niecierpliwością:

— Któż tam znowu? — krzyknęła.

— A to, proszę pani, kąpiel już dawno zrobiona i stygnie — odezwał się cieniutki, czysty, jak srebrnego dzwoneczka głosik.

— Szkaradna nudnica! — zawołała jeszcze z podobnem pierwszem uniesieniem: lecz nagle niby coś sobie przypominając. Augusta wróciła się do Urszuli i trochę ciszej dodała: — Dobrze jednak, że przychodzi, zaraz ci Morysia w spódniczce i z długim warkoczem przedstawię. Panno Salomeo, prosimy! — zawołała znów podniesionym, lecz bardzo uprzejmym tonem.

Na to wezwanie uchyliła się wisząca przede drzwiami zasłona i do owej ciemno-zielonej rotundy, między białą jak łabędź Augustę, a pół-żałobną, nakształt jaskółki, Urszulę, wleciało trzecie stworzonko, młode, jaskrawe, trzpiotliwe, ubiorem i zwinnością zupełnie krasce naszych borów podobne. Według naszkicowanego przez Augustę portretu, Salusia miała trochę zadarty nosek, czarne oczy, świeże i pełne usteczka, a płeć bodaj czy nie zanadto po cygańsku śniadą; wcale to jednak nie raziło w jej powierzchowności, i owszem, przy tej azjatyckiej cerze jeszcze wydatniej rozkwitały pełne czerstwości, żywe jak kwiat granatu rumieńce, a przy tych rumieńcach znowu lekko sinawe półkola pod oczami zakreślone zdawały się być dla podwyższenia blasku tryskających płomykami spojrzeń umyślnie i z wielką starannością przez jakiegoś znakomitego malarza odcieniowane. Po obu stronach tak bogatej kolorytem, niena-

gannej też i rysunkiem twarzy spadały dwie, niedość duże, jedwabisto-lśniące, lecz zato grube, gęste i prawie granatowo-czarne plecionki; z pod tych plecionek wysuwały się ogromne burgundzkie perły przy złotych kolczykach raz na raz od szybkich rzutów głowy drgające smugami mlecznej jasności, która niekiedy aż na szyję się osuwała. Szyja żółta, jak szafran, ale doskonałego toku, prześlicznych żmijkowatych ruchów i lazurowemi przebijająca żyłkami, objęta była tuż przy osadzie swojej bielutkiej śnieżkiem tiulowym; śnieżek tiulowy podtrzymywany był koralowym bajaderkiem; bajaderek koralowy rozwieszał swoje sute kutasy na wysoko zachodzącym staniku niebieskiej „mousseline-laine“ sukni; stanik, po wydatnych kształtach gładko obciśnięty zwężał się i ścinał coraz mocniej, aż naostatek w przepasce bajecznej prawie dochodził szczupłości; przepaskę obejmował czarny mantylowy fartuszek, a kieszonkami fartuszka bawiły się dość pulchne rączki, w wąskich rękawach, tak jak szyja koralikami i tiulikami powyżej dłoni obwiedzione.

Wszystko to razem składało najwdzięczniejszy typ ładnej, wesołej i zalotnej pańskiego dworu pokojówki. Gdyby jej się można było uważniej przypatrzeć, toby z pierwszego rzutu oka najciekawszym dla fizjognomisty szczegółem okazało się niezawodnie jej czoło wysokie, pięknie wyrazistemi brwiami zakończone, a w śmiałych rozmiarach swoich dziwną sprzeczność z całą postawą drobnego dziewczęcia tworzące; zazwyczaj jednak niełatwo komu przyszło na myśl spokojną obok tej wcielonej niespokojności się zebrać. Każdy po pewnym czasie dopiero spostrzegał osobliwość tego rysu jej twarzy, nie każdy zaś i wtedy sprawę sobie zdać umiał; co stąd za wnioski snuwać się godziło? czy hieroglif tajemny zna-

czył szlachetniejsze własnej wartości poczucie, czy wyższe umysłowe zdolności, czy tylko zuchwalszą na wszelkie zepsucie odwagę? Byli tacy, którzy utrzymywali, że i jedno, i drugie i trzecie można w nim było wyczytać, ale to pewnie skutkiem ciągłej zmienności wrażeń, skutkiem ciągłego gwaru, co prawie atmosferycznie rozśmieszonej Salusi wszędzie towarzyszył. W owej chwili na przykład, gdy weszła do cichego Augusty schronienia, wnet się zdało, jakby na jego tle poważnem różnobarwny kalejdoskop zamigotał, a w promieniach kominkowego ognia jakoby żywsza wibracja nastąpiła i niby hałas jakiś się zrobił.

— Czy dawno kąpiel gotowa? — spytała na rozpoczęcie rozmowy Augusta.

— Och! już więcej niż z godzinę czekamy i nie możemy się doczekać — z lekkiem nadąsaniem odpowiedziała pewna łaskawych względów swej pani subretka — a doprawdy myślałam, że już nic z tego nie będzie; ledwo mi żółć nie pękła. Pan Djonizy wszystkich ludzi porozsyłał. Piotr, jak go pani zna, w niczem nigdy mi nie pomoże. Wysłałam Katarzynę, żeby choć stróża odszukała; Katarzyna do reszty oślepła, czy stróż się w ziemię zapadł, ani go znaleźć. Już, powiadam paniom, myślałam, że się rozchoruję.

— Patrz, Augusto, jak wielkiego nieszczęścia twoja wschodnia gościnność przyczyną stać się mogła — rzekła na to żartobliwie utyskującym głosem Urszula.

— Cóż nam uratowało nieocenione zdrowie szanownej panny Salomei? — zagadnęła wesoło Augusta.

— Uratował je pan Maurycy — z figlarnym uśmiechem odpowiedziała zapytana — z jego rozkazu i Piotr się ruszył, i stróż się nalazł, i wody przywieziono i wszystko już jest gotowe.

— No, Urszulko, miejże spokojne sumienie; choć ta kąpiel, którą ci na wywczas po drodze ze wschodnią, jak mówisz, gościnnością ofiarowałam, tak wiele trudów pannę Salomeę kosztowała, wszystko szczęśliwie się zakończyło, skoro tylko pan Maurycy na ratunek przybył. Oj! ten pan Maurycy! wszak prawda, Salusiu, że on zawsze z każdego kłopotu cię wybawi?

Augusta, zwyczajem wielu pań dzisiejszych, nawet takich, co za najlepsze uchodzą, lubiła się drażnić ze śliczną swoją pokojówką, jak z młodem kocięciem, któremu raz po raz kłębek splątanych nici przed nogę rzucamy, ażeby nas bawiło, to swojem splątaniem chwilowem, to swojemi zręcznemi podskokami. Zwolna kocię zaczyna coraz wyżej podskakiwać, a że ma ostre pazurki, nieraz dłoń zaczepiającą udrapnie: więc skarga na niewdzięczność, skarga bardzo niesłuszna. Między młodemi kobietami szczególniej, jakiekolwiek jest ich społeczne stanowisko, i od łachmanka do brabanckiej koronki, wszystko pod jednym względem prawu równości ulega. Jest królewskość, jest władza, jest potęga dla każdej z nich dostępna, jest djamentowa korona, którą właśnie na pokornem czole ubogiej prędzej częstokroć, niż na skroniach najpyszniejszej dziedziczki promieniejącą widzieć można. Tą koroną bywa miłość zyskana. Wszystkie skarby w oczach kobiety o tyle jedynie mają wartości, o ile ku jej osiągnięciu służą. Chyba cicha modlitwa i cichej cnoty pełnienie za blaskiem takiej nawet ponęty nie tęskni; ale zresztą na co się zdadzą młodość, piękność, dowcip, talenta i stroje, jeśli za nie ów monarchiczny wieniec głowy nie ozdobi? Kochać, to szczęście. Być kochaną, to wielkość kobiety. Najwięcej ukochana, najwyższą i najjaśniejszą panią wśród ich grona. Czuje to każda z głębi swego serca, a mało jest takich, któreby, dostat-

niej od losu uposażone, wobec sióstr pokrzywdzonych ciągle pamiętały *(tak)*. Szczególniej też, wolne ślubów i złotego pierścionka, zdają się nie przeczuwać nawet, że ładne stworzenia, upinające troskliwie ich włosy, dociskające ich sznurowadeł, szykujące im zagraniczne mydełka i batysty śnieżyste, mogą wziąć górę nad niemi o całą wysokość zdobytego na swoje posługi serca, i Auguście nigdy podobne przypuszczenie do myśli nie przyszło. Kiedy czasem rozfantazjowana na temat Morysia, chciała koniecznie, żeby ktoś inny obok niej imię jego wymawiał, zaczepiała zwykle Salusię i żarcikami wywoływała z niej pełno półsłówek, szczegółów, napomknień, z których później dowolne wyobraźnią swoją układała desenie. Gdyby jej wtedy Urszula była powiedziała, że to gra niesumienna, że dla obu stron niebezpieczną bardzo stać się może, Augusta swoje wielkie, ciemne oczy byłaby otworzyła na nią i zapytała najpewniej: w jakim-to cudzoziemskim, niezrozumiałym przemawia do niej języku? Tymczasem podrażniona Salusia prędko podniosła rzuconą ku sobie szpileczkę i bez namysłu, na cały głos się chichocząc, odparła:

— Co prawda, to prawda, zawsze mię z kłopotu wybawi pan Maurycy, szczególniej kiedy idzie o przysługę dla mojej pani. Niech mi pani wierzy — bez śmiechu dalej mówiła — tu w całym domu nikt tak pilnie i szczerze nie dba o pani przyjemności, o spełnienie każdego pani rozkazu, jak ten poczciwy pan Maurycy. Czy pani myśli, że te upragnione przez panią białe kamelje rosłyby tutaj i kwitły tak bujnie, że na każde zawołanie miałaby pani bukiet z heliotropów i laku, gdyby się tylko przyszło na tego niedołęgę Józefa oglądać? Pewnieby się tak obszedł ze wszystkiemi, jak z ową chryzantyną starszej pani, co to ją przez noc jedną zwarzył, jakby na

jarzynę do kuchni. Strasznie był zły, kiedy potem śmiałam się z niego, że lepiej umiałby gotować, niźli sadzić kwiaty. Pan Maurycy nie da mu się też prawie dotknąć tych, które pani więcej od innych lubi; wziął je pod swoją wyłączną opiekę, sam je podlewa, obcina, stawia na słońcu, usuwa od zamarzłych okien. Teraz na przykład... — i nagle ucięła, palec do ust podniosła, a kiwając główką, jakby się sama wstydzić i upominać chciała.— Co też ze mnie za sroczka! — z udaną grozą wykrzyknęła po chwili — przyrzekłam sekret, a ledwie mi już z języka nie uciekł.

— Daj mu uciec, panno Salomeo — rzekła na to Augusta — drzwi szczelnie przymknięte, okno zabite gwoździami, złapiemy go napowrót i ludzie nic a nic wiedzieć o tym przypadku nie będą.

— A jaka pani ciekawa! — poufale zaczęła się przekomarzać swawolna i o łasce Augusty niewątpiąca dziewczyna. — Pan Maurycy właśnie chce pani małą niespodziankę zrobić. Niech-no pani sobie przypomni, czego-to pani przed dwoma miesiącami tutaj, do tego pokoju, najwięcej sobie życzyła?

— Urszulko, czego ja sobie do tego pokoju przed dwoma miesiącami życzyłam? Może ty pamiętasz? Ja tak często, a zawsze czego innego sobie życzę! Pewnie pisałam wtedy do ciebie; czy nie życzyłam sobie jakiej gwiazdki z nieba, na miejsce tej rozety bronzowej, która mię już niezmiennością swego położenia, szczególniej w dnie słotne, okropnie nudzić zaczyna.

— Nie, nie, pani sobie czegoś z ziemi, nie z nieba życzyła.

— Z ziemi? czy nie góry Cimborrazo?

— Co to za jedna? nie słyszałam o niej — aleć góra nie zmieściłaby się tu pewnie.

— Jest to rzeczą dość prawdopodobną — a więc życzyłam sobie szkieletu mastodonta?

— Fe! szkieletu? — co za obrzydliwość!

— Więc djamentu z korony Wielkiego Mogoła.?

— Och! na nieszczęście chyba to znowu zakosztowne.

— Więc może trochę daktyli i miarkę wody z takiej oazy, w której dotychczas noga ludzka nigdy nie postała.

— A proszę pani, gdzie to ma być taka oaza?

— Tam, moja Salusiu, gdzie się lwy rodzą i gdzie promienie słońca takie są gorące, jak twoje żelazka przy prasowaniu.

— Oj! to gdzieś strasznie daleko! Przez litość, niechże pani o tem swojem zachceniu głośno nie wspomina, bo jakby się pan Maurycy dowiedział, pewnieby lotem ptaka wybrał się tam niebożątko.

— A Salusi żalby go było serdecznie?

— Żal, albo nie żal... Co tam o tem rozprawiać! Lepiej niech pani zgaduje swoją supryzę, tylko już bez żartów, naprawdę; gdyż ja sama wręcz nie powiem: uroczyście to panu Maurycemu przyrzekłam.

— Więc naprawdę, moja Salusiu, w tym pokoju i do tego pokoju dla siebie — nadewszystko, jak mi się zdaje— szczerze kochającego pragnęłam serca, dlatego też napisałam z prośbą do panny Urszuli i wskutek mego listu panna Urszula przybyć raczyła.

— Myślałby kto, że pani w istocie nie ma serc kochających koło siebie i dopiero przez listy sprowadzać je sobie musi! Wiem-ci ja z pewnością, że panna Urszula bardzo panią kocha, ale choćby się na mnie rozgniewać o to miała, muszę jednak powiedzieć, że tu są inni, którzy także panią szczerze kochają.

— Podobne uwiadomienie w żaden sposób rozgnie-

wać mię nie może — z łagodnym uśmiechem nawiasowo wtrąciła Urszula.

— Ot, już resztę pomijając — ciągnęła dalej Salusia — czyż pan Maurycy nie jest do pani wiernie jak piesek, przywiązany?

— Ta dziewczyna ma szkaradnie rozczarowujący sposób wyrażania się o niektórych rzeczach — przyciętym głosem niby to do Urszuli, niby do samej siebie odezwała się Augusta.

— Szkaradnie? co w tem jest szkaradnego? — z żywością podchwyciła najdobitniejsze dla siebie słowo obrażona Salusia i zaczęła się krzątać po pokoju, układać porozrzucane wezgłowia, przesuwać, dosuwać wszystko, co tylko z miejsca porozrzucane być mogło, zwyczajnie, jak nałogowo do uprzątania wdrożona pokojówka; krzątając się jednak, nie przestawała szczebiotać: — A ja znajduję, że to coś prześlicznego właśnie, taka potulność wiernej psiny; w oczy się patrzy człowiekowi, żeby myśl jego odgadnąć, na każde zawołanie przybiega, na każdy rozkaz do kąta swego wraca, łasi się, służy, o nagrodę nie pyta, krzywdy cierpliwie znosi. Oho! nie bardzo to zwyczajne między ludźmi na świecie! Panna Urszula nie jest do pani jak piesek przywiązana, bo niech tylko pani jej w czem ubliży, niech co nie według jej myśli zrobi, to zaraz się usunie i swoją drogą pójdzie. Pan Djonizy nie jest tak do pani przywiązany, bo gdyby mu pani tylko jego wierzchowca na przejażdżce okulawiła, gotówby choćby do sądu zapozwać. Pan Filip nie jest do pani jak piesek przywiązany, bo się o panią stara, chce jej ręki i posagu w przydatku. Wszyscy, którzy tu częściej od innych u pani bywają, nie są do pani jak pieski przywiązani, bo jedni mają takie same jak pan Filip nadzieje, drudzy szukają własnej przyjemności w otwartym domu

i grzecznem towarzystwie. Nawet ja do pani jak piesek nie jestem przywiązana, bo gdyby mi źle było, natychmiastbym się o inne postarała miejsce. Wczoraj jeszcze mówiłam o tem z Marysią, która u pani prezesowej służy. Zaczęła mi się przechwalać, jak jej tam dobrze, jakie prezenta dostaje, ile ma młodszych do wyręki — a ja na wszystko razem odpowiedziałam jej tylko: „Twoja pani prezesowa brzydsza, niż półtora nieszczęścia; moja pani piękniejsza niż słońce; twoją panią prezesową w Wisłę wrzucić, to jutro będzie można do rzeki z beczkami po ocet zajeżdżać; moją panią do zgangrenowanej rany przyłożyć, to się przed wieczorem zgoi. Gdybym od mojej pani raz coś podobnego usłyszała, jak ty od swojej siedm razy na tydzień słyszysz, pewniebym ani kwadransa nie została w jej służbie — a jak mówiłam, takbym i zrobić gotowa.

— Miałabyś wielką słuszność — przerwała nakoniec rozweselona Augusta — bardzo mi się ten sposób myślenia podoba; kochaj mię i zaszczycaj swoją obecnością póty jedynie, póki na to zasługiwać nie przestanę. Teraz chciej mi powiedzieć, skąd wnioskujesz, że względem mnie uczucia pana Maurycego w czemkolwiek od twoich się różnią?

— Pan Maurycy, żeby mu pani kołki na głowie ciosała, to on zawsze dla pani takim, jak jest będzie.

— Nie możesz za to ręczyć, moja droga panno Salomeo, bo przecież ani jemu, ani też nikomu, o ile wiedzieć mogę, kołków na głowie nie ciosałam.

— Prawda, że go pani nie wybiła, nie wykrzyczała nigdy; ale czyż to nie gorzej daleko, że tu wszyscy państwo, jak jesteście, żartujecie sobie z tego biednego pana Maurycego: „A gdzie nasze dziedzictwo idzie? — a czemu dziedzictwo nie tańczy? — a z czego dziedzictwo się

śmieje?“ — i tak ciągle dzień po dniu, od rana do wieczora.

— Przynajmniej konceptów pana Djonizego nie chciej kłaść na mój rachunek.

— No, pani jakoś częściej powie: „Morysiu“, lecz cóż stąd? „Morysiu, idź mi po to; Morysiu, przynieś mi tamto; Morysiu, zagraj; Morysiu, dobierz mi włóczki“... — zresztą nie wiem o łaskawszem słowie.

— A przecież mam je zawsze dla Morysia na ustach i myśli; możeby się tobie zbyt łaskawem nie zdawało, ale on powinien je właśnie za wielki dowód przyjaźni uważać z mej strony.

— Ciekawam bardzo, jakie też to jest słowo?

— Słowo dobrej rady.

Salusia okropnie wstrętną zrobiła minkę.

— Przeczuwałam — mówiła dalej, uśmiechając się, Augusta — nawet zapowiedziałam z góry, że się to pannie Salomei podobać nie będzie, a jednak życzę jej najpierw, żeby w potrzebie zawsze takie słowo znalazła, powtóre, żeby znalazłszy, nie lekceważyła go sobie.

— Oh! mój Boże, nie tak ci trudno o dobre rady między ludźmi; kogo zapytać, to bez namysłu ze swojemi występuje; ale co też pani na przykład panu Maurycemu radzi?

— Żeby do Włoch pojechał i sławnym malarzem został.

W oczach Salusi nagle fajerwerkowy młynek zaiskrzył a brwi jej drgnęły mocno, jakgdyby komar uciął ją w sam środek czoła. Nie zważała na to inną myślą roztargniona Augusta; lecz Urszula, która się ciągle z wielką lubością przypatrywała Salusi, dostrzegła owej przelotnej zmiany na jej twarzy. Była to szybka błyskawica jedynie, za chwilę znów oblicze wypogodniało, białe

ząbki w uśmiechu zaświeciły, spojrzenie ledwo że trochę psotnej wesołości zachowało odblask; baczność Urszuli wszakże, raz niespodzianie zbudzona, już się w dalszym toku rozmowy z mimowolnej jakiejś nieufności otrząsnąć nie mogła.

— Do Włoch, do Włoch — powtórzyła tymczasem, równie żartobliwie jak pierwej, Salusia. — Więc to go pani tak daleko, aż het! za morze wyprawia?

— Nie lękaj się o jego bezpieczeństwo, Salusiu — odrzekła w podobnymże tonie Augusta. — Włochy jeszcze nie są za morzem, tylko za wysokiemi górami.

— Pan Maurycy i o morzu coś prawił.

— Pan Maurycy, jak widać, różne ci opowiada szczegóły, zwierza się ze swoich zamysłów, przedsięwzięć i nadziei.

Salusia nie odbiła tej przymówki, ale zręcznie, do pierwszej niby wracając myśli:

— Proszę pani — spytała — co też pani na tem zależy, żeby Maurycy gdzieś daleko we Włoszech malarzem zostawał?

— Bo we Włoszech są najpiękniejsze w świecie obrazy; jak się im przypatrzy, sam daleko poprawniej zaraz będzie pracował, nie na świstkach papieru do sztambuchów, ale na wałach płótna większych niż pół ściany w pokoiku panny Salomei.

— Pięknie to będzie, prawda; jednak potem?

— Co za „potem" znowu?

— A juścić potem, kiedy już pani wszystkie ściany obrazami pozawiesza? — Augusta w głos się rozśmiała.

— A to zabawne stworzenie! czy słyszysz, Urszulko? — rzekła do zbierającej w milczeniu swoje spostrzeżenia. — Jej się zdaje, że ja Morysia za wieczystego najemnika chcę wziąć sobie i każę mu się malarstwa

uczyć, aby mi obrazami salony przyozdabiał — coś jak w Ostapie Bondarczuku, zupełnie po ukraińsku!...

— Więc jeśli pani o jego obrazy nie dba — znów odpornie wystąpiła Salusia — czemu go pani w taką daleką stronę za góry i przepaści wyprawia? Na co jemu po obcych krajach karki łamać, kiedy w swoim własnym może spokojnie sobie siedzieć i Panu Bogu dziękować, że mu przecież do śmierci tego co ma na kawałek chleba nie zabraknie?

— Ale też, moje dziecko — poważnym, jak z katedry tonem odezwała się Augusta — na zjednanie sobie między ludźmi powagi, tego co ma, ty sama widzisz, nie wystarczy mu jeszcze. Żeby Moryś uwolnił się od zarzutów Djonizego, i od moich mimowolnych uchybień i od twojej nawet, Salusiu, litości, żeby nikt go „biednym panem Maurycym“ nie nazywał, trzeba koniecznie, by go „sławnym panem Maurycym“ nazwano; Bóg go znakomitym obdarzył talentem; niech tylko mojej rady posłucha, niech talent ów pilną pracą rozwinie i udoskonali, zobaczysz jak wszyscy dziełom rąk jego przyklasną, a ta, co go pokocha, jak chlubić się swoim wyborem będzie.

— Ciekawam, czyby też pani pokochała go wtedy?

Dopiero na te słowa Salusi zmiarkowała Augusta, że nieznacznie z pytającej na wypytywaną przeszła; upokorzyło ją to stanowisko i wnet odzyskując swoją salonową sztywność:

— Mam nadzieję, że takie przypuszczenie nigdy się w głowie pana Maurycego nie wylęgnie — rzekła obojętnym, aż trochę prawie pogardliwym głosem.

— Oj! pewnie, że się nie wylęgnie — przyświadczyła dowcipna pokojówka, udając, że nie zważa na zmianę humoru swej pani. — Panu Maurycemu prędzej na myśl by przyszło, że przetakiem księżyca ze studni dostanie, jak

to, że jemu w pani zakochać się wolno, a cóż dopiero, że pani w nimby zakochać się miała!

— Nadzwyczajnie mię cieszy takie świadectwo o jego rozsądku — z wybitniejszym jeszcze oschłości akcentem sylabę po sylabie rzuciła Augusta.

— A widzi pani — triumfująco zawołała Salusia. — Byłoż o co się gniewać na mnie, kiedy mówiłam pierwej, że on jak piesek do pani przywiązany? Pani sama od niego posłuszeństwa tylko wymaga — wszak prawda? Niech to zrobi — niech tam będzie; lecz wara jemu do najserdeczniejszych uczuć!

— Bardzo się mylisz, bo ja nie posłuszeństwa, tylko szczęścia pana Maurycego pragnę, i nie dla przyjemności rozkazywania, ale z prawdziwej przyjaźni dla jego własnego dobra.

— Ej, mnie się tak jakoś nie zdaje; gdyby podróże, ona sława, on stan malarski był prawdziwem szczęściem i dobrem dla pana Maurycego — toć pan Maurycy nie dziecko, wziąłby się już oddawna sam przez się do tej pracy; ale jemu nie śniło się nawet. On sobie na cichego człowieka stworzony i kobiecie, co go pokocha, nie trzeba w nim ani chluby, ani znakomitości, ani talentów szukać; jakim jest, takim niech go weźmie, najlepszy da mu dowód prawdziwej miłości i najpewniej też z sobą w zgodzie wszystkie lata, co im do życia sądzone, przeżyją. Dajmy na to, że już się która panna kocha w panu Maurycym, nie wielką jej pani zrobi przysługę, jak go wyśle na koniec świata, a później sprowadzi innym zupełnie człowiekiem, rozrywanym po towarzystwach, nachodzonym przez owych licznych przyjaciół, o których pani wspominała, zajętym swojemi obrazami, kiedy właśnie ona go polubiła dla siebie, nie dla świata, i chce czas jego sobie przywłaszczyć, a nie na tandetę puścić!

— Strasznie długobym ci musiała tłumaczyć, że się nikogo w ten sposób kochać nie godzi, ale wróćmy się lepiej do przygotowanej niespodzianki. Powiedz mi, Salusiu, czy to już nie będzie jaki obraz prześliczny?

— Nieszczęśliważ moja godzina, że się z tą niespodzianką wygadałam; jak pani zacznie Bóg wie co wyobrażać sobie, tak później tem, co dostanie, nawet się nie ucieszy, jestem pewna.

— Czy słyszysz, Urszulko? wcale trafne przypuszczenie! W tym razie jednak biorę na siebie, aby mu kłamstwo zadać wierutne. Przyrzekam ci wobec świadka, moja Salusiu, że się ucieszę dobrą chęcią pana Maurycego, choćby mi tylko stołeczek pod nogi ofiarował.

— A gdyby wyżej sięgnął — tak coś do okna?

— Do okna? wiem, wiem już teraz, pewnie bluszczu mi się wystarał.

— No, to przecież pani zgadła, choć ja nie powiedziałam; a gdyby pani wiedziała, jakie śliczne bluszcze! — bo to nie jeden, kilka ich tam z doniczek przesadził w taką długą, jak szerokość framugi skrzyneczkę, dodał im siatkę z cieniutkich pręcików, wzniósł na parę łokci w górę, a później znów ku dołowi przegiął wolno spuszczające się gałązki — istna firanka liściowa!

— Ach! już widzę jak to pięknie będzie! Niech tylko Moryś przyniesie swój podarunek, pewnie że go z wdzięcznością przyjmę, nawet by ciebie, Salusiu, od podejrzeń uwolnić, klasnę w ręce i zadziwię się, jakgdybyś mi o niczem nie wspominała nigdy.

— Bo ja też nie wspomniałam o bluszczu ani słowa; przyszłam tylko przestrzec, że kąpiel stygnie.

— Masz słuszność, idźmy prędzej — rzekła Augusta, szybko ze swojej miękkiej otomanki się podnosząc.

— Idźmy prędko! — powtórzyła Urszula i wszyst-

kie jednocześnie prawie u drzwi osłoniętych się zbiegły; nim Salusia rozgarnęła przed paniami jedwabną portjerę, Augusta raz jeszcze w głąb rotundy się cofnęła, stanąwszy przy oknie, podumała chwilkę maleńką, uchyliła draperji, przypatrzyła się miejscu, które skrzyneczka z bluszczem miała zajmować, i wreszcie nawpół cichym głosem sama do siebie szepnęła:

— Bluszczu mój! bluszczu kochany! będzie ci tu dobrze ze mną.

Salusia obejrzała się, chmurka jakaś jej wesołą twarzyczkę ocieniła — lecz nagle pędem strzały naprzód biec zaczęła, a z drugiego pokoju dzwonkowaty jej głosik rozległ się już nutą naszej powszedniej piosenki:

Kocham Jasia, kocham Stasia,
Zazdrości mi tego Basia;
Lepiej czterech niż jednego,
Ja nie widzę nic w tem złego.

— Co myślisz o mojej pannie Salomei? — spytała wolniej trochę, odprowadzając gościa swego, Augusta.

— Ja myślę — odrzekła po chwili zastanowienia Urszula — ja myślę, że gdybyś się kochała w Morysiu, tobyś o nią zazdrosną była.

— Co tobie w głowie, Urszulko! — z niekłamanem podziwieniem wykrzyknęła Augusta — ja zazdrosna o Salusię! Ha! tak źle ze mną nie będzie.

Później zamyśliła się krótko, lecz głęboko, westchnęła i gdy już u progu łazienki stanęły:

— Zresztą niech jak chce będzie — rzekła na rozstanie — byle kochać... [1]

---

[1] Na tem urywa się manuskrypt — po wyrazie »kochać« jest jeszcze jeden nieczytelny, prawdopodobnie »przynajmniej«. *(P. R.).*